

Opisywać lata dzieciństwa nie będę, gdyż nie są zbyt ciekawe, przeminęły jak sen, nie były to najważniejsze lata mego życia. Chcę tylko naszkicować najważniejsze, urodziłem się w 1923 roku, pochodzę z mieszczańskiej rodziny.

Ojciec mój był sztukatorem, pracował w kościołach, cerkwiach, teatrach, żyło nam się nie najgorzej.

Matka moja była kobietą energiczną i przedsiębiorczą, ja jako jeden syn powinienem być rozpieszczany, lecz na odwrót, od najmłodszych lat starano się wpaść we mnie hart ciała i ducha i miłość do Ojczyzny, pracę, uczciwość i wiarę w Boga. Charakter miałem bardzo wrażliwy i nerwowy, uczyłem się dobrze, byłem zdolny lecz mało pilny, może dlatego, że byłem zbyt nerwowy, ale to nie najważniejsze, w tym wieku charakter się zmienia, tak było ze mną.

Parę słów o moim zewnętrznym wyglądzie. Jako dziecko byłem dobrze rozwinięty psychicznie i fizycznie, na swój wiek byłem wysoki 168 a lat miałem dopiero 17 – cie, na ogół byłem delikatny.

Natura obdarzyła mnie delikatnością i precyzyjną urodą, co niejedną raz w życiu pomagało mi w ratowaniu sytuacji, wydając się dla mnie całkowicie beznadziejnej.

W wieku 17 lat zostałem przyjęty do sekcji bokserskiej juniorów, co dla mnie było wielkim przeżyciem, marzyłem zostać wielkim sportowcem, jak marzą młodzi chłopcy.

W rzeczywistości pozostały tylko marzenia.

Po roku tenże Klub, a był to Spartak, został rozwiązany w związku z napaścią Hitlera na Związek Radziecki w roku 1941. Uprawiałem jeszcze w tym Klubie piłkę nożną i pływanie. Strasznie lubiłem sport, lecz niestety życie moje potoczyło się inną koleją losu, nie taką o jakiej marzyłem.

Byłem szczupłym, wysportowanym chłopcem, blondynem, o ciemnej oprawie oczu koloru niebieskiego, jak mi stale mówiono, orozbrajającym uśmiechu.

Z natury jestem bardzo towarzyski, przez to miałem mnóstwo przyjaciół, mój zawsze dobry humor, dowcip i dość ładny głos, którym lubiłem się popisywać przeważnie przy koleżankach. Znałem mnóstwo piosenek, a jak wiadomo pieć odmienna, piękna Ignie do płci brzydkiej o miłym i dźwięcznym głosie.

Chodziliśmy często do parku na wycieczki, lubiłem chodzić na prywatki, uczyłem się tańczyć, bo jeszcze nie umiałem, przeważnie starsze koleżanki uczyły mnie pierwszych kroków tanecznych.

Lubiłem je, one mnie też, toteż stale byłem oblegany przez te młode, naiwne dziewczęta, kobietki, choć sam starym nie byłem, ale uważałem się za dorosłego, choć nim jeszcze długo nie byłem, choć bardzo chciałem. Ale nie jest to takie proste, choć już miałem wąsiki i zacząłem pielęgnować baki, choć dziewczętom to się nie za bardzo podobało, mówiły na mnie stary wujek, ale wiedziałem, że one też takie młodziutki, malutkie i wdzięczne stworzonka! Lubiłem je wszystkie, Krysie, Zosie, Marysie, Manie, Franie itd. Ale nie mogłem znaleźć tej, o której marzyłem.

A marzyłem o tej, której na jawie nie mogłem dostrzec! I może drogi czytelniku, przed zasadniczym początkiem opiszę moją pierwszą młodzieńczą miłość!

Był rok 1940

Piękna wiosna tego roku zapowiadała ciepłe lato, a mając niecałe 17 lat wszystko wydaje się tak piękne. Tegoż dnia rano byliśmy umówieni z kolegami z Klubu na lekki trening piłki nożnej na miejskim stadionie „Dynamo”, gdyż po południu stadion był zajęty przez drużyny ligowe.

Z nas młodzieńców przeważnie nikt nie pracował i mało kto uczył się, był to okres „niestały” jeśli można to tak nazwać. W powietrzu wciąż wisiała zmora wojny. W naszym mieście był ciągły ruch i zgiełk, ciągle transporty na Sybir, zabierano przeważnie całe rodziny nocami. Jednym słowem strach przed wywozem tak rozluźnił ludność, że nawet ci, którzy byli bezpieczni, czuli się nieswojo. I zaabsorbowani losem bliskich znajomych i przyjaciół, toteż każdy żył dniem dzisiejszym, nie dbając co przyniesie jutro. Toteż i młodzież przestała uczęszczać do szkół średnich i przeważnie zajmowała się spekulacją, jeśli to tak można było nazwać. Gdyż ja osobiście nie uważałem to za spekulację, stojąc całą noc w kolejce 1/2 kg cukru, czy mydła, a później sprzedać za wyższą cenę tym, którzy nie mogli, a przeważnie nie chcieli męczyć się całą noc, a mieli pieniądze i stać ich było na kupno z drugiej ręki, płacili i byli zadowoleni. Ale odbiegłem od tematu.

Tego pięknego przedpołudnia byliśmy w komplecie całą naszą młodzieżową drużyną na stadionie, grając a raczej trenując.

W czasie przerwy siedzieliśmy na świeżej murawie stadionu wesoło gwarząc o tem i owem, w pewnej chwili instynktownie poczułem czyjś wzrok, odwróciłem się, i o dziwo! Co ujrzałem? Ujrzałem tą, o której marzyłem! O jakieś dziesięć kroków za płotkiem, okalającym płytę stadionu, stały dwie prześliczne istotki, patrząc na nas. Mając bystry wzrok zorientowałem się, że są to Rosjanki, poznawałem je po ubiorze i uczesaniu.

Jak się później okazało, specjalnie przychodziły gdy miały mało lekcji, żeby popatrzeć na naszych chłopców, jak się wyrażały, gdyż bardzo im się podobało obejście i zachowanie naszych włodych dżentelmenów. Bo ich rodacy to tacy gruboskórni, mawiały! Prawdą jest, że nasi chłopcy byli o całą klasę, a może i więcej, inteligentniejsi i delikatniejsi od rosyjskich chłopaków. Toteż myśmy zawsze byli górą nad nimi. A u dziewcząt ogromny „popyt”, przepraszam, że się tak wyrażę.

A więc odwróciwszy głowę spotkałem się ze wzrokiem tej wyższej blondynki, o bławatkowych oczach i bardzo ładnej i miłej buzi, gruga była też ładna brunetka, lecz twarz jej wyglądała na mieszaną Azjatkę.

Szybko wstałem i zażartowałem w języku rosyjskim, czy panienki nie miałyby ochotę zagrać z nami w piłkę? Na moje zapytanie ta blondynka odpowiedziała z rumieńcem na buzi i z błyskiem w oczach, że chętnie! Ale jest nas za wiele, a ich tylko dwie. Na co odpowiedziałem, że to jest do uzgodnienia, mogą zaprosić jeszcze dziewięć koleżanek i będzie dwie drużyny w komplecie, lub jeśli nie mają nic przeciw to będzie nam bardzo miło zagrać dwóch nana dwie, tylko muszą same wybrać sobie partnerów lub przeciwników. Na to chyba czekały, bo skwapliwie wybrały sobie mnie i kolegę T.

A więc trening się dla nas skończył, a zaczął się trening serc!

Jak się okazało moja bogdanka nazywała się Lila P, była córką pułkownika sztabu i też jedynaczką, chodziła do 9 – tej klasy, mieszkała trzy przecznice ode mnie, w pięknej willi, oczywiście po wywiezieniu na Sybir właściciele „Pomieszczyków” tzn. „burżuje”. Choć jako Polak specjalnie nie chciałem się angażować w przyjaźń z Rosjanką, bo czyż mało było naszych dziewcząt, ale to była ta wyśniona, a w tym wypadku serce odmawia logice i rozsądkowi, choćby go prowadziło do zguby. Na dodatek po naszym pierwszym spotkaniu, tak się zaplątałem, że po powrocie do domu ogarnęło mną jakieś dziwne uczucie, jakiś brak czegoś, czego sam w pierwszej chwili nie mogłem sobie zdać sprawę!

Czyżbym się aż tak zakochał? Czyżby to naprawdę miłość? Staralem się nie myśleć o niej, lecz nadaremny trud, zamykałem oczy, lecz obraz jej twarzy, oczu, nasuwał mi się bezwiednie w mych myślach, w sercu coś jak gdyby kłuło, choć miałem takie zdrowe.

Była śliczna, o miłym wejrzeniu, prostym usposobieniu, bez cienia sztuczności gestu czy myśli.

Tak prosta w swej pięknej prostocie.

Rozmyślając i snując rozkoszne pragnienia czułem sercem i duszą, że znalazłem tą, o której marzyłem. Jedną z cech tego narodu jest prostota, szczerza przyjaźń, wierność i bezinteresowność, o czym się nie jeden raz w moim życiu przekonałem, co opiszę w moich wędrówkach po tajgach, stepach i pustyniach wielkiej Rosji.

Powróćmy jeszcze do naszego pierwszego spotkania. T. z koleżanką Ziną, bo tak jej było na imię, szli przed nami, zabawiając się rozmową.

Był to pierwszy spacer w moim życiu, z którego byłem naprawdę zadowolony, nigdy tak mi nie było dobrze z którą z naszych dziewcząt. Może dlatego, że nasze dziewczęta były jakieś kapryśne, rozpieszczone i powiedziałbym sztuczne. Natomiast Lila tak umiała mówić jakoś prosto, dowcipnie, rzeczowo, a zarazem poważnie.

Mnie nazywała „Miszeńka” bo Zbigniew ciężko i śmiesznie wymawia się Rosjanom, mnie na tym nie zależało jak mnie nazywa, w jej ustach brzmiało to „Miszeńka” cudownie.. Nawet mi było miło, że otrzymałem od niej nowe imię. I tak ładnie brzmi w jej ustach.

A więc od tego czasu i później przez wiele lat, a było ich jedenaście, nazywali mnie Misza.

Po kilku naszych spotkaniach koledzy zaczęli szydzić i dowcipkować pod adresem Lili, ja się od razu odciąłem, jeśli chcecie być moimi przyjaciółmi, musicie przyjąć Lilę w nasze grono, w przeciwnym razie musimy się rozstać. Byłem zdecydowany rzucić Klub i w ogóle wszystko dla tej dziewczyny.

Po krótkiej wymianie myśli i poglądów dotyczących Lili, a nawet politycznych, co w tym czasie brało się poważnie do serca, wytłumaczyłem kolegom, że sprawy sercowe nie są brane pod uwagę z reżymem Stalina.

To samo dowiedziałem się później od Lili, że była taka rozmowa między nią a ojcem i ona była niezłomna w swym postanowieniu.

Spotykaliśmy się co dzień, co nie przeszkadzało jej w nauce, gdyż była bardzo zdolną i mądrą dziewczyną. Każde popołudnie spędzaliśmy przeważnie na spacerach, czasem chodziliśmy do kina, ale wolałem spacerować, bo mogłem być z nią sam na sam i bez przeszkód patrzeć na jej śliczną twarzyczkę, to mi wystarczało, bo żadnego zbliżenia między nami nie było. Choć nieraz po powrocie do domu myślałem, jaki ja głupiec, Lila mi główkę kładła na ramię gdyśmy siedzieli w parku na ławeczce, trzymając moją rękę w swojej pięknej rączce, nie opisałem, że prócz ślicznej twarzyczki Lila była pięknie zbudowaną dziewczyną. Miała zgrabne nogi o maleńkiej stopie i małe ręce o długich palcach.

Tak potrafiliśmy siedzieć godzinami, rozmawiając o różnych rzeczach, a czasem milcząc siedzieliśmy przytuleni do siebie, milcząc wiedziliśmy, że myślimy o sobie.

Nieraz miałem taką ochotę przycisnąć Lilę do piersi, objąć, pocałować, lecz bałem się, że się obrazi, a co gorzej weźmie mnie za chama, ordynusa, a ja starałem się w jej oczach być prawdziwym dżentelmenem. Zastanawiałem się, co właściwie się ze mną dzieje, gdzie mój tupet, śmiałość, przecież już nie raz całowałem dziewczęta, wcale tego nie tak bardzo pragnąc! Ot tak sobie, dla zabawy, nie czując przy tym specjalnej rozkoszy.

Pamiętam raz w pocałunku z pewną ładną dziewczyną poczułem jakiś dziwny niesmak do niej i nie mogłem się doczekać chwili rozstania z nią. A dziś z głowy mi nie schodzą usta Lili, wciąż je widzę, czuję żądzę, chciałbym nie tylko całować lecz gryźć, gryźć do krwi, w głowie mi się mąci na tę myśl. Zacząłem tracić apetyt, już po tygodniu matka zauważyła, że chudnę, zaczęła wypytywać co mi jest, czy czuję się źle, czy może jestem chory? Tak, chory, pomyślałem, ale na miłość! Ale odpowiedziałem, że czuję się dobrze, tylko jestem może trochę zmęczony treningami. Matka zaczęła mnie prosić, żebym przestał zajmować się tym obrzydliwym boksem, bo była przeciwniczką tej dyscypliny sportu.

Po pewnej przechadzce z moją Lilą, bo tak ją w myślach nazywałem „moja”, choć moja jeszcze nie była. Postanowiłem przy następnym spotkaniu, a miało to być w niedzielę, bośmy się umówili, jeśli będzie pogoda, pójść za

miasto poopalać się. Był początek upalnego maja, w nocy obudziłem się i kilkakrotnie wyglądałem przez okno czy niebo jest pogodne, jeśli tak, będzie piękny dzień i spełni się nasza wycieczka za miasto.

A obmyśliłem sobie plan działania, pierwszy raz w stosunku do kobiety i jeśli by pogoda zepsuła me szyki byłbym zrozpaczony. Przeważnie zbliżenie z dziewczętami przychodziło jakoś samo, bez żadnej trudności i przygotowań, bynajmniej ja miałem może takie szczęście. Dlaczego do Lili miałem obmyślać specjalny plan?

Z Lilą było inaczej, bałem się ją stracić, dlatego zrozumiałem, wszystkie tamte dla zabawy? A Lilę kochałem, pożądałem bardzo, lecz bałem się ją stracić przez zbliżenie. Lecz żądza silniejsza niż rozum. Bałem się ją stracić przez nietaktowne, niedelikatne obejście się z nią, i to była chyba prawdziwa miłość! Bałem się ją stracić choć wyczuwałem, że Lila jest bardzo przywiązana do mnie i zrobi wszystko dla mnie. Spotykaliśmy się przeszło miesiąc, to nie dużo, ale w naszym wieku dużo, żeby kochać platonicznie.

Rano wstałem niewyspany tym czuwaniem w nocy czy będzie pogoda czy też nie. Jednak szczęście mi sprzyjało, pogoda była cudowna, ani chmurki na niebie. Spotkaliśmy się w umówionym miejscu, Lila też wyglądała na niewyspaną, gdy ją sputałem czy czuje się źle, odpowiedziała, że nie spała prawie całą noc. Dlaczego? – spytałem. Odpowiedziała mi, że myślała o dzisiejszej niedzieli no i oczywiście o mnie, poczułem, że mi się robi gorąco. Spytałem co myślała o mnie, odpowiedziała z uśmiechem, że o mnie myśli tylko dobrze, lecz wstydzi się iść do lasu ze mną. Bo jeśli ktoś się dowie, co pomyśli? Po chwili powiedziała, że strasznie mnie lubi i ma do mnie zaufanie, a reszta jest nieważna.

Po tych słowach wszystkie moje plany wzięli w łeb, strasznie byłem uczulony na punkcie honoru. Pomyślałem, jeśli mnie tak lubi i ufa nie mogę zawieść jej zaufania. A druga myśl podpowiadała mi, Zbyszku jakiś ty głupi.

Bałem się sam siebie, wiedziałem, że ją strasznie pożądałem jak nigdy dotychczas niczego i nikogo, a zarazem wiedziałem, że będąc sam na sam w lesie z Lilą żądza może okazać się silniejszą od ambicji i woli.

Więc powiedziałem jej, choć dużo mnie to kosztowało, a może zrezygnujemy z tej wycieczki, możemy pójść do kina na poranek. O, nie – kategorycznie zaprzeczyła, powiedziała, że już od dawna myślała o takim długim spacerze ze mną, a dziś miałaby zrezygnować, w taką pogodę? I dodała z żartem, nigdy chyba po moim trupie, ścisnąłem jej ciepłą, drżącą rączkę z radości. W duchu zaś pomyślałem co się ma stać niech się stanie i przypomniałem sobie przysłowie „co wisi nie utonie”.

I tak ruszyliśmy w drogę upragnionego szczęścia. Przechodząc przez wioskę poczuliśmy pragnienie, zaszliśmy więc do gospodarza napić się wody, w naszych stronach chłopcy byli bardzo gościnni. Pamiętam wyszła z domu kobieta widząc że idziemy przez sad, w pierwszych słowach pochwaliła Boga „Sława Isusu Chrystu” powiedziała, odpowiedziałem „Sława na wki”. Poprosiłem wody. Kobieta wyniosła nam zimnego kwaśnego mleka, wypiliśmy i ruszyliśmy dalej przez aleję lip, bo ta droga prowadziła pod górkę prosto do lasu.

Kiedyś mieszkał w tej wsi hrabia, miał pałacyk, park, a z parku prowadziła aleja lipowa prosto do lasu.

Tą aleją szliśmy trzymawszy się za ręce. Lila cieszyła się jak dziecko, co chwila powtarzała, że czuje się bardzo szczęśliwą, że jest ze mną, zdala od miejskiego zgiełku, w tak ładnym zakątku przyrody. Rzeczywiście widok był wspaniały. Za sobą mieliśmy wioskę, całą skąpaną w bieli i zieleni sadów, przed sobą piękne pola, ciągnące pod górkę i las, też w świeżej, wiosennej szacie. Niebo było błękitne, czyste jak oczy Lili. Z tej beztroskiej zadumy obudził nas słowik, słyszeliśmy jego śpiew, na próżno staraliśmy się go zobaczyć patrząc w górę mrużyliśmy oczy od silnych promieni słońca. Szliśmy pod górę, objąłem Lilę w talii, pomagając jej iść, gdyż góra była dosyć stroma.

Wyczułem jak drgnęło jej młode ciało, zatrzymałem się, spojrzałem w jej oczy, w nich wyczytałem miłość i oddanie. Spytałem, co myślisz Kochana w tej chwili?

Odpowiedziała mi z rumieńcem na twarzy, Miszeńka Kochany, wciąż myślę jak bardzo cię kocham, dotychczas bałam ci się to wyznać, lecz dłużej nie mogę nosić tę myśl i uczucie sama dlatego wyznaję ci to co może pierwsza nie powinnam. Kocham cię i boję się, że cię stracę powtórzyła jak przez sen „stracę”. Czuję jak krew uderza mi do twarzy, staliśmy tak chwilę trzymając się za ręce. Wpatrzeni w siebie, nic nie widząc, nic nie słysząc, ja nie mogłem wydobyć słowa z siebie, nie mogłem odpowiedzieć na to wyznanie, to było takie szczere, proste a zarazem takie odurzające. Czuję tylko, że kocham, kocham bardzo, jeśli mi w tej chwili powiedziała Zbyszku jeśli mnie kochasz popelnij samobójstwo, bez wahania zrobiłbym to. Tak, to była prawdziwa pierwsza miłość! Ta płomienna, wybuchowa jak wulkan.

Gdy doszedłem do siebie, tuląc jej dłonie w swoich powiedziałem, czując, że głos mi drży, Lila moja kochana, kocham cię tak bardzo, że słowami ci to nie mogę dowieść, ale powiedz mi kochanie dlaczego myślisz, że mnie stracisz? Odpowiedziała mi ze smutkiem w oczach, że ona długo tu nie będzie, że jeszcze jeden rok, skończy dziesiątą klasę i musi wyjechać do Leningradu na studia, pochodziła stamtąd. Nie przeczuwała biedaczka, że za rok Leningrad będzie w strasznym okrażeniu, miasto śmierci, głodu, a zarazem miasto bohatera i zwycięstwa, ja też nie przeczuwałem co mi przyniesie ten tak pechowy rok w moim życiu.

Widząc ból w moich oczach starała się przybrać minę wesołą, choć czułem, że jest inaczej. Po chwili powiedziała, Kochany mój, nie myślmymy o rozstaniu, lepiej pomyślmymy, że mamy się opalać, więc szybko szukajmy miejsca na opalanie, bo niedługo musimy wracać do domu, a do lasu jeszcze kawał drogi.

Przyznałem rację i prawie biegiem ruszyliśmy pod górę. Po wejściu na teren płaski, porośnięty rzadko krzewami odsapnęliśmy, pozostało nam nie więcej jak dwieście metrów do brzegu leśniczynowego lasu.

Dalej zaczynał się ogromny, ciemny, czarny las, tak go zwała tutejsza ludność. W czasie drugiej wojny przechodziły tymi lasami oddziały partyzanckie i legendarne oddziały Kowpaka. Nie zamierzaliśmy zapuszczać się w

głęb lasu, choć często chodziłem do niego na grzyby. Lecz czasu pozostawało nam niewiele, a chcieliśmy się z godzinke poopalać. Choć nie chodziło mi już o samo opalanie, myślni widziałem Lili rozebraną, półnagą? W stroju kąpielowym, to mnie pobudzało, rozdrażniało, bałem się sam siebie jak się zachowam.

Doszliśmy w gęszcza leszczynowe, znalazłem małą, słiczną polankę, usiadłem i powiedziałem, tu zostajemy, tu nasza przystań.

Lila się zgodziła, była zmęczona, drobne kropelki potu wystąpiły na jej czole. Siadła, zerwała trawkę, włożyła ją w usta, po chwili podłożywszy ręce pod głowę, przymrużyła oczy i powiedziała. Rozbierz się kochanie, zapewna ci gorąco, no i mamy się opalać, ja nie patrzę, potem ja się rozbiore, ty też nie powinieneś patrzeć.

Odpowiedziałem, że potem i tak zobaczę ją rozebraną. Odpowiedziała mi, że potem już wszystko będzie bez znaczenia. Nie zrozumiałem, spełniłem jej życzenie, rozebrałem się, zostałem tylko w spodenkach.

Położyłem się, słyszałem jak się rozbiera, wciąż powtarzała Miszeńka nie patrz, czułem obok zapach jej ciała, serce me wyrwało się z piersi, chciałem otworzyć oczy, lecz bałem się, że zrobię coś, czego później będę żałował.

Tak rozmyślając poczułem na twarzy coś w rodzaju łażenia muchy lub mrówki, otworzyłem oczy i co ujrzałem?! Śliczną twarz z długą trawką w ustach Lili, którą muskała mnie po twarzy.

Chwyliłem tą główkę, przycisnąłem do swoich ust, nie broniła się, przygłą całem ciałem szepcząc, miły mój tak chciałabym żeby to było wiecznie. Całowałem do utraty tchu, po prostu wpijałem się w te słodkie pachnące usta, nie broniła mi oddawała mi pocałunki z taką samą namiętnością, ale tego było mi mało, wciąż mało, czułem że tracę zmysły, ręce moje szukały piersi, pieściły je, ona cała drżąca pozwalała mi na wszystko, pamiętam tylko jej szept Miły mój oddaję ci to co jest mi najdroższe bo kocham cię, resztę nic nie pamiętam, wiem tylko że zrobiłem to o czym marzyłem, z czego byłem dumny, a równocześnie poczułem się prawdziwym mężczyzną, równocześnie z mojej Lili, bo teraz mogłem ją śmiało nazwać swoją zrobiłem kobietę!

W powrotnej drodze Lila wstydziła się patrzeć mi w oczy, idąc rozmawialiśmy o rzeczach obojętnych, wiedząc że myślimy o czymś zupełnie innym.

Rozmowa się urywała, czułem, że Lila chce mi coś powiedzieć lecz nie ma odwagi, w końcu przystanęła około wsi, mówiąc jaka jest zmęczona, usiądźmy. Gdy siedzieliśmy spojrzła mi w oczy, tak jakoś dziwnie z miłością a zarazem ze smutkiem mówiąc, kochany przyrzeknij mi, że dokąd będziemy razem żadnej innej nie pocałujesz i będziesz mi wierny. Przyrzekłem i słowa dotrzymałem, chociaż zdarzały się okazje, słowa dotrzymałem. Od niej otrzymałem takie same przyrzeczenie.

Byłem dumny że mam naprawdę wyłącznie swoją dziewczynę, czułem się o wiele starszy. Od tego pamiętnego dnia stałem się poważnym młodzieńcem, co nie przeszkadzało mi przybywać w towarzystwie kolegów i koleżanek. Lecz nie czułem się tak dobrze jak dawniej w ich towarzystwie. Czegoś mi było brak, brak mi było ją, teraz widywaliśmy się co drugi dzień, gdyż zbliżał się koniec roku szkolnego i Lila musiała więcej pracować.

Pewnego dnia spacerowaliśmy po ulicy, przy której mieścił się sztab, gdzie pracował Lili ojciec, w pewnej chwili przyszło mi na myśl zobaczyć jej ojca. Matkę widziałem często gdy podchodziłem na spotkanie pod dom Lili, była to przystojna, może zbyt otęta kobieta o milej twarzy, natomiast ojca znałem tylko z opowiadań Lili.

W pewnej chwili spytałem, Lila czy mógłbym kiedyś zobaczyć twego ojca? Lila ucieszyła się i powiedziała, owszem nawet dziś, jeśli zechcesz chwilkę poczekać, była godzina o której ojciec Lili wychodził ze sztabu, staliśmy na przeciwległej stronie ulicy, przed gmachem sztabu stał żołnierz i kilka samochodów typu Emka (?). W chwili gdy chcieliśmy schować się do bramy, ze sztabu wyszedł wysoki tęgawy mężczyzna w wojskowym mundurze, an ucieczkę było za późno, gdyż oficerem okazał się ojciec Lili, skinął jej ręką, Lila przebiegła ulicę przywitała się z ojcem, o czym mówili, wyczułem że o mnie, gdy ojciec Lili wsiadając do samochodu spojrzął na mnie, czułem się nieswojo.

Po odjeździe ojca Lili spytałem, o czym rozmawiali? Lila była lekko zakłopotana, w końcu zdecydowała się powiedzieć mi prawdę gdyż nigdy nie kłamała. A więc ojciec od razu zauważył, że nie jestem Rosjaninem, spytał ją kto ja jestem, Lila odpowiedziała kolegą, ojciec spytał Polak? Lila odpowiedziała – tak. Przyznał, że sylwetka podoba mu się, tylko że czas jeszcze na amory, zresztą porozmawiamy w domu, a teraz idź się pożegnaj, a ja czekam w sklepie wojennym, bo w takich sklepach zaopatrywali się oficerowie.

Umówiliśmy się na następne spotkanie, odeszła, ja stałem długo patrząc za nią aż zniknęła w tłumie. Co przeżywałem pisać nie będę, czułem że to spotkanie z ojcem nie wróży nic dobrego dla nas.

Przecucia moje sprawdziły się, na umówione spotkanie Lila nie przyszła. Zamiast Lili przyszła jej koleżanka Zina i powiedziała mi, że Lili nie puszczają z domu. Że jest zrozpaczoną i strasznie przeżywa. Bardzo chce się ze mną zobaczyć, tylko nie wie jak. Może żeby przyszedł z drugiej strony ulicy gdzie wychodził sad i tam czekał, może uda jej się wyjść do sadu. Tak też zrobiłem, czekałem dobrą godzinę, wreszcie doczekałem się, podeszła do niskiego przymurka okalającego sad i powiedziała Miszeńka teraz będziemy się widywać rzadziej i krócej, gdyż ojciec zabronił wychodzić jej samej z domu.

Na próżno matka Lili tłumaczyła, że należy jej się trochę ruchu, powietrza, ojciec był niezłomny.

Byłem wstrząśnięty, wściekły na cały świat, widywaliśmy się ukradkiem, rozmawialiśmy na odległość przez mur. Mogłem tylko na pożegnanie dotknąć jej ręki i to było wszystko.

Taka sytuacja jeszcze więcej spotęgowała me uczucia, stałem się zgryźliwy, opryskliwy, przestałem uczęszczać na treningi, jednym słowem zaniedbałem się na potęgę. Pewnego dnia po przyjeździe z miasta do domu matka mi powiedziała, że była jakaś blondyneczka bardzo zażenowana i pytała o mnie, od razu wiedziałem, że to Lila. Pomyślałem, że to musi być coś bardzo ważnego, pobiegłem pod jej dom, czekała już na mnie, wiedziała że przyjdę.

Wzięła mnie za rękę szybko przeprowadziła mnie przez podwórko, otworzyła drzwi i ku memu ogromnemu zdziwieniu, wprowadziła mnie do mieszkania. Kazała mi usiąść, usiadła obok i powiedziała Miszeńska coś się dzieje niedobrego? Były to pierwsze dni czerwca. Matka wyjechała do Leningradu, ojciec w nocy wyjechał służbowo do Besarabii (Rumunia) ja muszę jeszcze zostać żeby skończyć szkołę, Miszeńska martwi się, że po otrzymaniu świadectwa pojedę do matki do Leningradu. A ojciec po przyjeździe na razie zostanie tu na miejscu. Zaczęła płakać, co ma robić i co to wszystko znaczy. Przepuszczam że wiedziała tylko nie mogła mi powiedzieć, a może nic nie wiedziała. Ja wiedziałem że szykuje się coś niedobrego, ale z nikim się memi spostrzeżeniami nie dzieliłem, gdyż ludzie są tacy niepewni, a to groziło Sybirem.

Byłem do późna nie, jak bywa w młodości długo nie można się smucić, byliśmy szczęśliwi że jesteśmy razem. Lila przesykowała wspaniałą kolację. Pamiętam pierwszy raz w życiu jadłem prawdziwy kawior popijając likierem, prawdziwa sielanka, zaczęliśmy nawet śpiewać, i tak na przemian, śpiewaliśmy i płakali jak małe dzieci, że może już niedługo będziemy zmuszeni się rozstać. Obiecywali sobie że będziemy pisać listy co drugi dzień, Lila uspokajała siebie i mnie, że może się wszystko ułożyć, i ona przyjedzie wnowu do S.

Lecz nasza miłość była już przesadzona.

Po trzech latach strasznej okupacji hitlerowskiej brakło mi dwóch dni do spotkania z Lilą, widziałem tylko jej koleżankę Zinę, o czym napiszę w drugiej części.

Pozostało nam już tylko dwa tygodnie tej słodkiej miłości, w tym czasie byłem codziennym gościem w jej domu, nie baliśmy się. Urządziliśmy się tak, że gdyby ojciec niespodziewanie przyjechał, to miałem drugie wyjście przez ogród. Umówiliśmy się, że gdyby Lila miała wyjechać nieoczekiwanie w ogrodzie w altanie pod nogą stołową znajdując parę słów od niej.

Wiedziałem że to ostatnie dni naszej samotnej miłości kiedy nastąpi koniec nie chciałem o tem myśleć, bo to mnie doprowadzało do szału.

Któregoś dnia wpadła do mnie Lila, matki nie było w domu, powiedziała mi że ojciec przyjechał, że bardzo się cieszy a zarazem smuci, że nie będę mógł przychodzić do niej, ale że bym się nie martwił będziemy się spotykać jak dawniej, bo ojciec jest zajęty pracą i chyba już zapomniał o swoim postanowieniu. W końcu spytała czy zgadnę co ma dla mnie! Nie mogłem zgadnąć, więc nie chcąc mię męczyć, pokazała mi śliczny nóż składany, wykładany masą perłową, spytała czy mi się podoba, gdy odpowiedziałem że tak powiedziała, że ofiaruje mi go, i zawsze jak go wezmę do ręki, że bym wspominał ją i naszą miłość. Przyrzekłem i podziękowałem, w zamian zdjąłem z szyi srebrny łańcuszek z kotwiczką ofiarowałem jej i powiedziałem że to mój talizman niech i ją chroni i szczęście przynosi, strasznie się cieszyła.

Nie jestem i nie byłem zbyt przesądny, ale dowiedziałem się od koleżanki Ziny w 1944 roku że Lila nosi mój łańcuszek, jednak przyniósł jej szczęście, bo przeżyć blokadę Leningradu to chyba niemałe szczęście. Ja natomiast cieszyłem się jej prezentem niedługo o czym jeszcze wspomnę.

Czerwiec zbliżał się ku końcowi, w powietrzu pachniało lato, pogoda utrzymywała się wspaniała. Ludzie sennie snuli się po rozpieczonych ulicach. Natomiast wieczorem miasto jak gdyby odżywało, na głównej ulicy przed kinami mnóstwo ludzi, wesolo, gwary, skoczne rosyjskie melodie. Miasto zaczynało żyć dopiero swoim rytmem.

Tegoż wieczora snulem się po ulicach mając jakieś dziwne uczucie pustki, z Lilą nie widziałem się dwa dni, przygotowywała się do pracy nad fizyką, z tego przedmiotu była słaba. Poszedłem do parku, usiadłem na naszą ławeczkę, nad którą rosła przepiękna płacząca wierzba, i tak rozmyślając, a raczej marząc, zobaczyłem na głównej alejce kilku kolegów i koleżanek idących w mój kierunek, szybko wstałem i odszedłem nie dostrzeżony. Nic mi tego wieczoru nie było miłe, czułem nieubłagalny nadchodzący koniec tego co było mi tak drogie i miłe. To był piątek w sobotę poszedłem na spotkanie z Lilą, nie przychodziła, czekałem chwilę i pomyślałem, może jeszcze się uczy, wróciłem do domu. Nie mogłem usiedzieć, poszedłem drugi raz nie wiedząc że już Lilę nigdy nie zobaczę! Czekałem około godziny, nie przychodziła, tknięty złym przeczuciem przeskoczyłem przez mur do sadu, wsiadłem do altany drżącymi rękoma podniosłem stół i znalazłem to co się już spodziewałem. Kartkę z zeszytu w kratki, widać spieszenie pisany, kilka plamek jak gdyby łzy i parę słów: „Kochany zawsze jestem z tobą bądź dzielny i wspominaj mnie miłe, musiałam wyjechać, ale wierz mi, jeśli przeżyję wrócę. twoja Lila”.

Silny był cios, płakałem, całowałem te plamki, to były łzy tych kochających oczu, które już nigdy nie miałem zobaczyć. Siedziałem tak chyba godzinę, poczem pomału jak starzec co dźwiga swoje całe pracowite życie na swym grzbiecie poszedłem do domu. W domu już spali. Cicho poszedłem do swego pokoju i tak rozmyślając, nie mogłem usnąć, zachciało mi się pić ciepłą wewnętrzną gorączkę, wstałem poszedłem do kuchni napić się wody. Okno z kuchni wychodziło na podwórko gdzie były długie balkony dwóch sąsiednich kamienic. Usłyszałem hałasy i bieganinę przeważnie w języku rosyjskim. Czułem że jest coś złe, tak nagły wyjazd Lili, wiedziałem że gdyby nie coś poważnego na pewno znalazłaby chwilę czasu żeby pożegnać się ze mną. Ale to musiało przyjść nieoczekiwanie, błyskawicznie, tak też domysły moje sprawdziły się, to była wojna.

Rano Niemcy bombardowali Kijów i wiele innych miast a po południu nasze. Wszystkie rodziny wojskowych wyjechały nocą, w niedzielę rano cywile.

Tak skończyła się moja pierwsza miłość, którą po tylu latach wspominam z wielkim rozrzewaniem.

II

Koniec czerwca 1941 roku, wejście wojsk węgierskich do naszego miasta, przez pierwsze trzy dni tak zwane bezkrólowie. Ludność rozbijała sklepy, magazyny, młyny, każdy starał się zrobić zapasy nie bacząc jakimi środkami, pierwsze jednostki węgierskie patrzyły przez palce. Dopiero na czwarty dzień po wkroczeniu pierwszych oddziałów hitlerowskich zapanował jaki taki ład. Zaczęły się aresztowania jednym słowem porządek Wielkiej Rzeszy, pamiętam po dwu tygodniach okupacji, przed gmachem poczty głównej był pomnik Lenina. Spędzono masę Żydów, kazano im rozbijać młotami jedni rozbijali drudzy mężczyźni w czapkach, kapeluszach wynosili za miasto, kobiety Żydówki w torebkach w chustach też pomagali śpiewając! Hitler dobry wspomniały bo nauczy nas pracy, niektórzy się śmiali, pokpiwali, nie wiedząc że niedługo i resztę ludności czeka ciężka dola i szykany.

Zaczęła się drożyzna, później głód, porcje żywnościowe były znikome. Ludność zaczęła jeździć w oddalone rejony po żywność, zaczęły się łapanki odbierali produkty. Zaczęły się wywożenia przeważnie młodzieży do Rzeszy. Z byle przyczyny represje, aresztowania. Ze smutkiem i grozą śledziłem sprawozdania z frontu. Rosjanie uciekali, Niemcy chętni się swą siłą, co dzień byli dumniejsi, nie nazywali nas inaczej jak polskie świnię. Nie mieliśmy wstępu do kin, restauracji a nawet do ubikacji, wszystko tylko dla Niemców „dla nadludzi”. Opinia publiczna była zaskoczona spodziewano się wielkiej cywilizacji na najwyższym poziomie europejskim a doczekali się czego?! Aresztowań, bestialstwa i mordów, przeżywałem nie mniej od innych, no musiało się na razie milczeć i dobrze patrzeć na te wszystkie bezprawia. Choć byłem młody lecz dobrze orientowałem się w sytuacji i przewidywałem że dopiero zaczyna się taniec na linie!

Nie chcę zanudzać wydarzeniami politycznymi tamtego okresu, gdyż znane są z lektury, prasy, radia i telewizji. Natomiast zdążam do opisanie moich osobistych przeżyć.

Mglisty listopadowy ranek, jak zwykle w jesieni, lecz tego dnia szczególnie było chłodno. Była to jesień 1941 roku około godziny 8 – mej usłyszałem hałasy, wyglądałem przez okno oczom moim ukazał się widok przypominający pędzenie bydła na ubój. Ulicą posuwały się w zwartych szeregach ludzie widma, wszyscy bez względu na wiek i płeć począwszy od niemowląt niesionych przez matki do staruszków o kulach i laskach, pędzeni byli bici i szczuci przez psy policyjne. Po bokach kolumny przeważnie milicja ukraińska zwerbowana przez Niemców. Byli to przeważnie ludzie bez ludzkich uczuć, bez skrupułów, gotowi na wszystko, byle tylko przypodobać się nie mniej krwawemu okupantowi. Co to jest? – myślałem, lecz już po chwili zorientowałem się, że są to jedynie Żydzi, ale gdzie ich pędzą, ale już po godzinie otrzymałem odpowiedź! Odpowiedzią były serie strzałów z broni automatycznej. Był to pierwszy pogrom, trwał od godziny 9 – 10 do godziny 20 – tej na cmentarzu żydowskim, wedle nieoficjalnych danych zginęło około osiem tysięcy ludzi.

Od tego dnia zaczął się dla mnie okres ciągłego oczekiwania czegoś jeszcze potworniejszego. Mało wychodziłem z domu, obowiązywała godzina policyjna, po kilku dniach nerwowego napięcia zacząłem częściej wychodzić z domu, szukając kontaktów z kolegami. Kontakt znalazłem, ale nie ten o którym mi chodziło. Chodziło mi o później tak zwany ruch oporu, w danej chwili takiego nie było, a jeśli już zaczął się tworzyć, to młodzież i w ogóle ludność panicznie się bała represji z tego powodu. Toteż tych których znałem nie chciał nawet słyszeć o tym, jak i gdzie znaleźć drogę do walki, takie były moje myśli. Pewnego dnia przyszedł do mnie kolega R. Po krótkiej rozmowie o tym i owym spytał mnie jak się czuję w sprawach finansowych, odpowiedziałem że nie bardzo. Zaproponował mi wzięcie udziału w małym interesie. Interes ten miał się przedstawiać następująco. Ja w tym okresie pracowałem u swego stryja, który prowadził restaurację, pracowałem w charakterze kelnera. Kolega zaproponował mi dostarczać towar, jak się wyraził chodliwy, a mianowicie papierosy węgierskie, sacharynę, kamyczki do zapalniczek, bimber. Towar ten rzeczywiście był bardzo poszukiwany na czarnym rynku. Lecz ryzyko było też wielkie, ale pomyślałem sobie, żeby walczyć trzeba się przyzwyczajać do ryzyka. A przez kontakt z paserami może uda mi się łatwiej znaleźć kontakt ten, o którym nie przestawałem myśleć. Na nawiązanie takiego kontaktu w naszych stronach było o wiele trudniej jak w Polsce centralnej, gdyż mieliśmy nie tylko jednego wroga, wrogiem numer 2 byli nacjonaliści ukraińscy, którzy od razu zaczęli wraz z Niemcami najróżniejsze czynić prowokacje, względem nie tylko Żydów, ale i nas Polaków. Nie wiadomo kogo więcej trzeba się było wystrzegać, Niemców czy Ukraińców. Tych którzy tak niedawno siedzieli razem z nami w ławkach szkolnych, ci którzy razem piłkę kopali, ci którzy jedli razem z jednej miski. Nie wszyscy, ale większość z nich stali się moimi największymi wrogami numer dwa. Nie wiadomo co było robić, zerwać nimi stosunki wydawałoby się podejrzane dla nich, otrzymywanie stosunków przyjacielskich wbrew mej woli i ambicji było ponad moje siły, to wahanie trwało krótko.

1 Listopad 1941 rok, Wszystkich Świętych, data ta pamiętna w moim życiu, przez nią straciłem wiarę w Boga, ludzi, w siebie, i w jakąkolwiek sprawiedliwość.

Tegoż dnia na cmentarzu miejskim czyjeś ręce zawiesiły na grobie nieznanego żołnierza białe – czerwone chorągwie, a że był to cmentarz też dla Ukraińców, znalazła się osoba solidarna Niemcom, więc musiał ktoś za to zapłacić i to nie byle czym, najwyższą zapłatą! Życiem. Ta zabawa kosztowała siedemnaście młodych istnień, którzy już pierwszego dnia w piekielnych męczarniach na gestapo, oddali duszę Bogu niewinnie za grzechy winnych.

3 Listopad 1941 r. godz. 19.00, siąpi drobny deszcz, pierwsze całkowite zaćmienie miasta jak o tej porze ruch w centrum bardzo mały, tego właśnie wieczora wybierałem się z koleżanką S do kina, miałem bilety, koleżanka się spóźniła, byłem niewiedomo czego zdenerwowany, zawsze przeczuwałem, gdy miało się stać coś złego. Tak spacerując spotkałem kolegę R. z nim doszedłem do skrzyżowania centralnej ulicy, w momencie gdyśmy chcieli wracać poczułem czyjaś dłoń na mym ramieniu. Zatrzymałem się, kolega również, odwróciwszy się ujrzałem mężczyznę w palcie z podniesionym kołnierzem, mocno nasuniętym kapeluszu na oczy, z jedną ręką w kieszeni

plaszczą, który powiedział po polsku ręce przy sobie i do bramy. W pierwszej chwili nie zrozumiałem o co chodzi, ale gdy ten rosły drab wyciągnął z kieszeni czarny oksydowany pistolet i pokazał mi jakąś blaszkę, zrozumiałem że jesteśmy aresztowani. Bez słowa weszliśmy w bramę dużej kamienicy, w bramie stał drugi facet też w cywilu, gdy byliśmy już w dużym korytarzu, okazało się że nie jesteśmy pierwsi, było już około trzydziestu chłopaków. Ciarki przeszły mi po grzbiecie, wiedziałem że jest źle, ale że aż tak nie przepuszczałem.

Brama i klatka schodowa była obstawiona, na półpiętrze stał gestapowiec z bronią maszynową, wewnątrz jeszcze trzech, przy wyjściu na podwórko dwóch.

Zorientowałem się że nie ma szans ucieczki, wylegitymowali nas, zrewidowali i kazali obrócić się do ściany twarzą i nie rozmawiać między sobą. Zacząłem intensywnie myśleć, w końcu doszedłem do wniosku, bo zauważyłem że kolega niewidocznie dla Niemców zaczął wyciągać z kieszeni sacharynę i papierosy krusząc je i rzucając niewidocznie pod nogi, a że było nas cztery rzędy myśmy byli w drugim, dlatego nasi opiekunowie nie zauważyli. Pomyślałem to na pewno łapanka na spekulantów, na szczęście nie miałem nic kompromitującego przy sobie. Ale wkrótce przekonałem się że nie było tak jak myślałem.

W tej chwili otworzyły się drzwi bramy i wprowadzono jeszcze trzech młodzieńców, przy legitymowaniu okazało się, że między nimi był jeden Ukrainiec, znałem go osobiście, po okazaniu dokumentu puszczono go, a pozostałych dwóch kopniakami przyłączono do naszej grupy.

Zrozumiałem że sprawa jest poważniejsza, niestety wyjścia z tej sytuacji nie było. Zabawa ta trwała przeszło godzinę, było nas już 72 byliśmy stłoczeni jeden przy drugim. W pewnej chwili z ulicy wszedł jeden z gestapowców, bo było to gestapo w cywilnych ubraniach, powiedział coś do jednego z tych którzy nas pilnowali, ten następnie do nas w języku polskim, wychodzić! Cicho dwójkami na ulicę, tam stawać czwórkami, zaczęliśmy wychodzić na ulicę. Wszyscy wyszli, ustawiliśmy się czwórkami, dookoła nas oni, oprawcy, każdy z nich z ręką w kieszeni palta, zrozumieliśmy że w tej niewidocznej dłoni tkwi odbezpieczony pistolet. Po chwili jeden z nich powiedział: IŚC spokojnie i cicho, każdy podejrzany ruch zrozumiemy jako chęć ucieczki, strzelamy bez uprzedzenia, naprzód! Szliśmy zupełnie ciemnymi ulicami, przechodnie choć o tej porze było ich niewielu, patrzyli na tę dziwną kolumnę, nie wiedząc co to za wojsko cywilne o tej porze. Przed nami jeden prowadzący, za nami jeden zamykający z psem, reszta z nich po bokach szła trotuarem. Szli jak widma z nasuniętymi kapeluszami na oczy. Już teraz wiedziałem dokąd nas prowadzą, bo marszrutę nam podali ul. Bilińskiego do gestapo z osławionym szefem sadystą Krigerem.

Tam oczekiwało nas gorące przyjęcie! Jasno oświetlony szeroki korytarz, kilka psów przywiązanych na smyczy, i kilku ludzkich zwierzętami w spodniach, pulowerach z zakasnymi rękawami. Każdy z nich miał w ręku pejcz, taki jak kiedyś oglądałem w kinach na westernach, długości około dwa i pół metra. Byli specjaliści w tej dziedzinie, doświadczyłem to na własnym grzbiecie. Zaczynała się polka! Kopniakami i pejczami kazano nam siadać na posadzce korytarza z rękoma założonymi na tył szyi, ja byłem w pierwszym rzędzie od ściany a rzędów było pięć. Po tej ceremonii usłyszeliśmy donośny głos, kilku z nas odwróciło głowy w kierunku korytarza, spadły na nas baty, odczułem piekący ból pleców a mój kolega chwycił się za twarz ze strasznym wyciem, dostał po twarzy przez prawe oko, o mało nie stracił oka. Usłyszeliśmy ponownie ten sam głos! Kto pozwalał wam odwracać się wy polskie świnię! A teraz przystąpimy do sprawy odezwał się ten sam głos. Chwila ciszy i napięcia, kto powiesił polską flagę na cmentarzu. Kto się przyzna lub wskaże tego kto to zrobił będzie zwolniony. Gdyż naród Wielkiej Rzeszy jest wspaniałomyślny i przebacza tym którzy ze skrucą przyznają się do winy, i jeszcze parę frazesów, których już nie pamiętam dokładnie.

Po tym przemówieniu nastąpiła śmiertelna cisza, nikt nie odpowiedział, nikt nie przyznawał się do winy, po chwili ten sam głos, którego nigdy nie zapomnę, na górę ich po dziesięciu! Zaczął się ruch, kilku oprawców kazano wstać tym którzy byli w pierwszym rzędzie od korytarza, kopniakami i pejczami pomagali tym którzy się ociągali lub po prostu nie mogli szybko wstać bo nogi podrętwiały. Słyszałem jak prowadząc, a raczej pędząc tych nieszczęsnych po schodach na drugie piętro, gdyż odwrócić się nie śmiałem czując jeszcze te razy na plecach. Otwieranie drzwi, jakieś rozkazy, krzyki, ujadanie psów i wreszcie okropne nieludzkie wycia, nieludzkie krzyki. Tego doprawdy nie daje się opisać to trzeba słyszeć, czego nikomu nie życzę.

Po mniej więcej pół godzinie słuchania tych śmiertelnych krzyków, słyhać było jak wloką z góry tych skatowanych. Wreszcie komenda! Odwrócić się, i to co ujrzeliśmy było wstrząsające, cztery zmasakrowane ciała ociekające krwią i wodą, leżały po przeciwległej stronie korytarza nie ruszając się, tylko od czasu do czasu poruszali kończynami, a raczej próbując poruszać nimi, dwóch z oprawców podnieśli jednego z katowanych, twarze ich nie były do poznania, oczy nabiegły krwią i mgłą, oczy te patrzyły ale nie widziały. Te bezwiedne ciała podtrzymywane każdy przez dwu oprawców, miały poznawać rzekomo tych, którzy popełnili tę straszną zbrodnię wieszając flagę na cmentarzu! Miały poznawać tych których za chwilę miało czekać to co tych pierwszych. Kilka ruchów półmartwą ręką jednego z katowanych i znowu kilku towarzyszy niedoli powędrowało na górę. Rozkaz ręce na głowę twarzą do ściany i znowu te okropne krzyki, jęki, wołanie pomocy, wołanie mamó, Boże, kilku chłopców o słabszych nerwach omdlało, na to była krótka rada, wiadro wody na wszystkich, po takim prysznicu każdy musiał się poruszyć, a więc znowu pejcz, cięgi za ruszanie się bez pozwolenia!

Gdy przyszła kolej na mnie było już nad ranem, wprowadzono mnie z sześcioma kolegami, kolegami muszę nazwać wszystkich tych którzy przenieśli razem ze mną tą gehennę. Dziś spotykam się z nimi, są prawie w każdym dużym mieście w Polsce. Między nami było dużo chłopców których nie znałem, a jeśli znałem to tylko z widzenia, prawdziwych kolegów było kilku.

Wprowadzono nas do specjalnej sali tortur, wielka sala, podobna do sali gimnastycznej, ścianki wykładane

kafelkami, szerokie ławki pod ścianami, pośrodku coś w rodzaju stołu przytwierdzony śrubami do posadzki, przy każdej z nóg stołu coś w rodzaju kajdanów, do których przykuwano nogi i ręce ofiary, grzbiet stołu był wypukły tworząc kształt łuku. Tak przykuty człowiek z rozłożonymi rękoma i nogami, plecy miał napięte jak cięciwa łuku, był okładany pejcem, lub pałką żelazną owiniętą gumą. Następnie zlewany wodą wciąż pytany o to o czym nie wiedział! Drugą rzucającą się w oczy machiną był podwieszony do sufitu w rodzaju trapezu też z kajdankami, w których kuto przeguby rąk i korbą podkręcany na dowolną wysokość. Torturowany był bity wisząc, z początku krzyczał, następnie jęczał, wreszcie przestawał reagować na wszystko, wtedy zlewano go wodą, odkręcali korbę do tej pozycji żeby mógł oprzeć stopy o posadzkę, poczem spokojnie zapalali papierosy wesolo gwarząc w języku niemieckim, gdy pacjent odzyskiwał przytomność, cała zabawa zaczynała się od nowa, ciągle mówiąc, będziesz mówił ty polska świni! Gdy nieszczęśnik nie odzyskiwał przytomności, ściągano go i kazano wynosić go dwóm naszym chłopcom którzy siedząc na ławkach rozebrani do naga, oczekując swojej kolejki, wnoszono ich do ubikacji i tam kładzono na posadzkę. Siedząc na ławce oczekiwałem swojej kolejki, widząc te narzędzia tortur i cierpienia torturowanych, w pierwszej chwili ogarnął mnie przeraźliwy strach, lecz już po kilku minutach byłem drętwy i nieczuły na nic, strach sparaliżował moje myśli i uczucia, będąc żywym stałem się na pół martwym. Oprawcy z ironicznym uśmiechem na swych zwierzęcych twarzach mówili — patrzcie dobrze za chwilę zajmimy się wami!

Nie mogłem patrzeć, opuściłem głowę starając się nie widzieć i nie myśleć, w skroniach mi szumiało, w oczach pojawiały się jakieś ciemne plamki, czułem się na pół nieprzytomny. Poczulem że ktoś podnosi mi głowę do góry trzymając za włosy i wymierzył mi tęgi policzek, przechyliłem się w stronę kolegi, który siedział obok, krew popłynęła z nosa, w ustach poczułem mdławy smak krwi, ciemno w oczach, lecz bólu nie czułem. I właśnie w tej chwili usłyszałem komendę! wstać, wśedł oficer gestapo coś porozmawiał z oprawcami, spojrzął na nas mówiąc! Na dziś macie dość. Zastanawiałem się skąd ci gestapowcy znali tak poprawnie nasz język. Kazano nam się szybko ubierać, gdy schodziliśmy ze schodów ja schodziłem ostatni, usłyszałem, wróć, pomyślałem znowu się zacznij, ale nie, kazał mi wejść do ubikacji, tam zobaczyłem leżące na betonie zmaltretowane ciała. Kazał mi podnieść, nie mogłem, pomógł mi , zarzucił mi bezwładne ciało na plecy i kazał mi iść, szedłem nogi uginały się pode mną, na klatce schodowej nasza ostatnia szóstka czekała na mnie, komenda naprzód, zszedłem z drugiego piętra nie dochodząc do końca, poczułem że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, zachwiałem się. On idąc za mną zawołał na chłopaka idącego przede mną, pomóż mu, nieśliśmy we dwóch. Doszliśmy do wejścia na dziedziniec więzienny, tam oddali nas pod nadzór wartownika więziennego, był to chłop olbrzymiego wzrostu, w mundurze, w ręku trzymał pistolet maszynowy lufą pistoletu popychał nas krzyżąc, prędzej!

Szliśmy a raczej biegliśmy przez duże podwórze więzienne, ranek był chłodny, my z kolegą ledwie podążaliśmy, mieliśmy przecież ciężar. Doszedłszy do muru więziennego jak się okazało był to mur śmierci, kazano nam stać, światło z wieży strażniczej skierowano na nas. I co ujrzelśmy pod murem? Jakiś stos nakryty płachtą to byli ludzie pomordowani, pedantycznie poukładani co jeden przeciwie głową do nóg drugiego. Kazano nam położyć kolegę i o dziwo trup odżył, w chwili gdy chcieliśmy go położyć na stos, usłyszeliśmy słaby głos? Koledzy chcę żyć! Żył lecz życie jego nie przedstawiało już żadnej wartości, strażnik usłyszawszy że trup żyje i mówi, podszedł bliżej spojrzął i powiedział bierzcie go ze sobą. Spytaliśmy czy da radę iść, skinął tylko głową, wzięliśmy go pod ręce próbując iść ale na próżno, nasz kolega miał połamaną miednicę tak że całkowicie nie władał nogami, nieśliśmy go pod ręce, nogi sunęły się po ziemi, stracił przytomność.

Weszliśmy w długi korytarz więzienny na parterze, otworzono nam drzwi, weszliśmy do celi, było jeszcze ciemno, straszny zaduch panował w celi, usłyszeliśmy głosy kolegów, to byli ci których prędzej załatwiono, ułożyliśmy kolegę B. i zaczęliśmy rozmawiać z tymi którzy mogli, bo niektórzy byli tak skatowani że mówić nie mogli. Nagle usłyszałem głos jak gdyby z tamtego świata, wody, prosił kolega B, ciemno, zapalki, zapalniczki w ogóle wszystkie osobiste rzeczy nam zabrano, w tym i mój szczyryk tak dla mnie drogi!

Ktoś powiedział że woda jest w baku wiszącym na ścianie, tylko garnuszek jest na łańcuchu, macając rękoma po ścianie namacałem bak i kranik. Kolega R. dał mi swój kapelusz, i tak z kapelusza dałem popić koledze B, poczem po ciemku zwilżyłem chusteczkę i tak nasiąkniętą krwią bo ciągle ciekła mi z rozbitego nosa, poczałem wycierać twarz i czoło kolegi. Na nic te zabiegi się nie zdały, rano przy pierwszym blasku dnia kolega B skonał na moich rękach, ciągle wołając Mamo!

Rano otworzyła się cela w progu stał nowy wartownik, trzymając w ręku wiadro. Kazał nam wstać, bo wszyscy leżeliśmy pokotem na brudnej podłodze, kto mógł wstać o swych siłach ten wstał, kto nie mógł, ci silniejsi pomagali. Wtedy nasz anioł stróż wylał całą zawartość wiadra na podłogę, rzucił nam szmatę i kazał otworzyć okna, poczem z nutą zadowolenia w głosie powiedział że taką toaletę będziemy mieli trzy razy dziennie, póki się nie wykończymy! Względnie nie wykończą nas wcześniej! Zamknął drzwi, wytarliśmy rozlaną wodę kładąc się na mokre deski. Zaczęliśmy rozmyślać nad naszą sytuacją, byliśmy straceni, zaczęliśmy liczyć, przyprowadzono nas 72 doliczyliśmy się tylko 55 — ciu a więc 17 nie ma i nigdy już nie będzie! Zaczęliśmy liczyć kto kogo znosił i w jakiej kolejce, wszystko się sprawdziło było jasne że siedemnastu już nigdy nie wróci. Poczulem senność, usnąłem, przebudziło mnie otwieranie drzwi i komenda wstać! Przyniesiono nam na drewnianej tacy 55 kromek chleba, kromki te nie były większe jak 200 gram, zauważyliśmy że chleb był różny biały, szary, czarny, ze śladami zbieranego smalcu. Domyślaliśmy się że chleb ten był przeznaczony dla więźniów których już nie było między żywymi, to był chleb przesyłany w paczkach. Władze więzienne nie chciały odmawiać przyjąć paczek od rodzin, gdyż wiadomo by było że takiej osoby już nie ma.

A więc przyjmowano lepsze kęski dzielono między tych którzy nas pilnowali, a chleb dawali nam.

Taką porcję otrzymywaliśmy dwa razy dziennie, oraz zupę z buraków pastewnych i zgniłych ziemniaków razem z piaskiem. Po tak sutym śniadaniu które nie wiadomo kiedy połknąłem znowu wiadro wody i mycie podłogi. — Około godz 16.ookromka chleba i garnuszek zupy, jeśli to można było nazwać zupą, i trzecie wiadro wody, no i tak już bez końca. Po zabranii z celi trupa, trzy dni nikt z władzy nie zaglądał do nas, byli zajęci transportem Żydów z prowincji. Drugiego wieczoru naszego pobytu w więzieniu usłyszeliśmy szum motorów zajeżdżających na dziedziniec więzienia. Słyszeliśmy krzyki, przekleństwa gestapowców, ujadanie psów, bicie i jęki ludzi których wyładowywano z samochodów. Były tam kobiety, dzieci, i mężczyźni, trzymali ich pod gołym niebem całą noc, rano ładowano z powrotem tych nieszczęśników na samochody ciężarowe przykrywano płachtą, poczem dwóch gestapowców wsiadało do szoferki, dwóch przy kabinie samochodu i kolumna składająca się z pięciu samochodów wyjechała. Czwartego dnia po śniadaniu usłyszeliśmy ujadanie psa na korytarzu, głośne rozmowy i ciężkie kroki zbliżające się do naszych drzwi, zamarliśmy, spodziewaliśmy się że czeka nas ten sam los co tych zabranych dwa dni temu na samochody z podwórka.

Otworzyły się drzwi, w progu stał wyższy oficer gestapo, wysokiego wzrostu w średnim wieku, o nieprzyjemnej zbójeckiej twarzy, dużym nosie na którym tkwił cwikier z cygarem w zębach, stał rozkraczywszy nogi, trzymając w jednym ręku smycz z wielkim czarnym psem, w drugiej pejcz. Twarz wykrzywiona grymasem zadowolenia i okrucieństwa, obok stał drugi oficer niższej rangi, a za nim kilku tych którzy nas tak czule przyjęli pierwszej nocy. Spojrzał po nas nie zatrzymując wzroku na nikim, poczem coś po niemiecku powiedział oficerowi stojącemu obok, ten z kolei chrypliwym beznamiętnym głosem zaczął!

Cóż namyśliliście się, będziecie mówić, jeśli nie to zatkamy wam te parszywe gęby na zawsze. Milczeliśmy bo nie mieliśmy nic do powiedzenia, twarz tego najstarszego rangą drgnęła, jakiś grymas wykrzywił mu usta, pogardliwie spojrzał na swego podwładnego, odwrócił się na pięcie, odszedł, a za nim cała świta, drzwi się zatrzasnęły.

Był to kat, osławiony sadysta, komendant gestapo miasta S, mniej więcej pół roku temu przeczytałem w prasie o procesie tegoż kata Krigera bo tak brzmi jego nazwisko poczem kilkakrotne wzmianki w telewizji, bardzo pragnąłbym go zobaczyć, czy jest nadal tak butny jak w pamiętne dni roku 1941. Oraz wątpię w to by mogła go spotkać krzywda za naszą krzywdę i dziesiątki jeżeli nie setki tysięcy ludzkich istnień wymordowanych przez niego.

Przecież rząd NRF pobłażliwie traktuje takich ludzi? Bywają wypadki że nawet płaci odszkodowania za poniesione „ rzekomo” cierpienia moralne i materialne w trakcie śledztwa. Tak jak to miało miejsce z osławionym katem Warszawy Rejnefarthem.

Przepraszam że odbiegam od osobistego tematu, ale pisząc wracam myślami do tych strasznych lat, nie mogąc zapomnieć że ci ludzie żyją do dziś, bezkarnie, ciesząc się życiem, kosztem setek tysięcy, milionów istnień ludzkich. Dla nich nie powinno być miejsca na ziemi, niestety oni piastują do dziś wysokie stanowiska i marzą o nowym podboju Europy a może i świata?

Co dzień ubywało nam sił, przeważnie mówiliśmy o jedzeniu, to jeszcze bardziej potęgowało nasze apetyty, chudliśmy w oczach po prosto schliśmy. Po tygodniu pojedynczo wyprowadzano nas z celi, myśleliśmy że to już koniec, ale po przyjsciu tego pierwszego z powrotem dowiedzieliśmy się że robiono mu zdjęcie i odciski palców, po kolei wszyscy przeszliśmy tę ceremonię.

Kontakt z światem nie mieliśmy żadnego, zaczęły się poważne chłody, cela nie była opalana, rzuciły się wszy, gryzło nas wszystko, wszy, głód, zimno, strach. Czulem przy wstawaniu zawroty głowy, ciemniało mi w oczach, słabłem z dnia na dzień.

Z początkiem trzeciego tygodnia już mało kto miał ochotę na rozmowę, jednym słowem żywe trupy. Czekaliśmy na śmierć, często zastanawiałem się co lepiej umrzeć z głodu na kolanach czy od kuli stojąc. Ale jaka śmierć nam była sądzona nikt nie wiedział, bo tu bywały one różne?

Z końcem trzeciego tygodnia jeden z kolegów nagle zaczął krzyczeć, koledzy, coś mi świta w głowie, myśleliśmy że postradał zmysły, ale nie, zaczął rzeczowo mówić że przypomina sobie drugiego listopada był na spacerze ze swoją dziewczyną, była to 16 – letnia J, którą też znałem i coś mu wspomniała że nie mogła przyjść pierwszego na spotkanie bo była na cmentarzu, gdy kolega spytał po co tam chodziła, odpowiedziała że miała tam ważną sprawę, potem zaczęła kręcić że oprawiała groby. Kolega jakoś przepuścił tę rozmowę i na tym się skończyło. Teraz widzi w tym jakiś związek, zerwał się i zaczął pukać do drzwi, drzwi się otworzyły stał w nich strażnik, spytał o co chodzi! Kolega B powiedział że żąda by go przesłuchano. Zanim ochłonęliśmy z wrażenia już go zabrali z celi, po jego wyjściu wstąpił w nas strach i otucha, komentowaliśmy czy dobrze zrobił, czy też nie, były różne zdania. Po mniej więcej dwóch godzinach wrócił, z twarzy jego wyczytaliśmy że jest dobrze, zaczął opowiadać, że mówił im to co nam, obeszl się z nim grzecznie, poczęstowali nawet papierosem, spytali o adres tej dziewczyny. I już po pół godzinie przywieźli ją i skonfrontowali ją z kolegą. Następnie odprowadzili go z powrotem, to było wszystko. Zaczęły się dyskusje co to będzie z tego wszystkiego. Tak minęło jeszcze prawie tydzień, któregoś dnia rano otworzyły się drzwi, w nich stało dwóch gestapowców jeden z nich trzymał kartkę na której były nasze nazwiska, i zaczął wyczytywać po jednemu na korytarz. Pomyślałem, no teraz już koniec! Ale wywołał tylko dwudziestu drzwi się zamknęły, chwila ciszy, następnie komentarze, może wzięli na przesłuchanie, jeśli nie wrócą to znaczy że koniec. Czekaliśmy nie wracali, wieczór się zbliżał, dostaliśmy już tylko 35 porcji chleba, znaczyło to że nie wrócą, jeden z kolegów zaproponował żebyśmy zmówili modlitwę za ich i nasze dusze, tak też zrobiliśmy. Noc była koszmarna nikt nie mógł usnąć, napięcie nerwowe do ostateczności, bo któż może usnąć czekając na śmierć.

Rano drzwi celi szcęknęły zbiliśmy się w jeden kąt celi starając się schować jeden za drugiego, wiedziawszy że to nic nie pomoże, znowu wyczytali dwudziestu.

Drugi dzień strasznej niepewności i oczekiwania, moja litera jest P a więc przy końcu alfabetu, toteż został mi jeden dzień życia, tak sobie pomyślałem.

Zostało nas piętnastu przysięgliśmy sobie, że umrzemy z honorem jak na Polaków przystało, tłumaczyliśmy sobie że nic nie pomoże jeśli będziemy skomleć u nich litości, którą i tak od nich nie otrzymamy. Tak duchowo przygotowani czekaliśmy nadejścia dnia.

Wychodziliśmy z głową podniesioną, prowadzono nas przez korytarze więzienne, doszliśmy do bramy sądu gdzie znajdowały się biura gestapo. Strażnik wpuścił nas do wewnątrz. Teraz prowadzono nas korytarzem gdzie panował wzorowy porządek i czystość, w korytarzu spotkaliśmy kilka młodych kobiet niosących kosz z pachnącymi bułkami i dużą bańką dymiącą gorącym zapachem kakao, to chyba na stołówkę dla nadludzi! Słabo mi się zrobiło na widok bułek, w żołądku coś zassało, doszliśmy do końca korytarza, kazano nam stać, jeden z konwojentów wszedł do jakiegoś gabinetu, drugi został z nami, pomyślałem, nie jest tak źle, jeśliby mieli zamiar nas rozwalić, nie bawiliby się w takie spacery. Drzwi się otworzyły, wywołano jednego z nas, wszedł do gabinetu, czekaliśmy, rozmawiać nie było wolno, tych kilka minut stawały się wiecznością, wiedzieliśmy że tu chodzi o śmierć lub życie.

Ten pierwszy ma przynieść nam wiadomość złą lub dobrą, czekaliśmy i oczekiwania nasze sprawdziły się.

Drzwi się otworzyły, wyszedł kolega z twarzą jasną i uśmiechem radości na brudnej, chudej i zarośniętej twarzy bo wszyscy już mieliśmy miejsce na wasy?

Wezwano drugiego, a on szeptem powiedział, chłopcy idziemy do domu, coś ścisnęło się w mej piersi, z radości omal się nie rozplakałem.

Przyszła kolej na mnie, z tej piętnastki, jeśli się nie mylę byłem siódmy, do dziś siódmką uważam za liczbę szczęśliwą dla mnie. Wszedłem, piękny jasny pokój, parę skórzanych foteli duże ciemne biurko, puszysty dywan, na ścianie podobizna wodza nadludzi i kilka ładnych płócien w złożonych ramach, w przeciwległym kącie pokoju stolik na nim maszyna do pisania i ładna złotowłosa młoda kobieta z pewnością Polka, pięknie mówiła po polsku.

Za biurkiem siedział młody, nawet na widok zewnętrzny sympatyczny oficer gestapo, potem często widywałem go na ulicy, chodził przeważnie z dużym czarnym psem. Spytał o nazwisko, miejsce i datę urodzenia. Następnie kazał mi usiąść, dając mi papier koloru bładniebieskiego na którym było wydrukowane pouczenie w trzech językach, w języku niemieckim, ukraińskim i polskim następującej treści. Może nie dosłownie, ale bardzo podobnie. Z dniem dzisiejszym.... ob taki a taki zostaje zwolniony z więzienia, to co tu widział, słyszał nie powinien opowiadać ludziom obcym, jak też bliskim. Grozi to karą z paragrafu takiego a takiego. Pieczętka i jakiś nieczytelny podpis. Gdy przeczytałem spytał zrozumiałeś? Z jakimś dziwnym akcentem i naciskiem, gdy odpowiedziałem tak, kazał podpisać się na tejsze kartce, uśmiechnął się wyjął z biurka pistolet mówiąc. Pamiętaj u nas kula kosztuje niecałe 2 feniga przy tych słowach jak gdyby ważył pistolet na dłoni.

Następnie ta kobieta kazała mi podejść do stołu, zapisała mój rysopis, wzrost, oczy, włosy itd poczem kazano mi wyjść. Cieszyłem się że już wkrótce zobaczę swoich bliskich których kochałem nie wiedząc że ten podpis po kilku latach tak wiele zmieni w moim życiu.

III

Wielka radość rodziców z powodu mego jak gdyby powrotu z tamtego świata. W pierwszym rządzie matka wzięła się za oczyszczenie mnie z insektów, które zagnieździły się nie tylko w rzeczach ale i we włosach. Następnym etapem było odżywienie mnie, gdyż byłem kompletnie wycieńczony fizycznie i moralnie. W pierwszych tygodniach bałem się wychodzić z domu, wiedziałem że będę śledzony, przecież nie wypuścili mnie dla pięknych oczu. To było ich posunięcie taktyczne, domyślałem się że chodziło im o coś więcej jak o mnie, czy nas, czy tą flagę?

Po krótkim czasie dzięki troskliwej opiece matki doszedłem do formy zaczęły się wizyty, przychodzili koledzy, koleżanki, bardzo mi było miło i przyjemnie rozmawiać z nimi. Lecz zrobiłem się bardzo ostrożny i powściągliwy, straciłem zaufanie do ludzi, szczególnie bałem się tematów politycznych, w każdym z kolegów widziałem prowokatora, choć jak się później przykonałem tak źle nie było.

Lecz jednocześnie strasznie byłem ciekawy jakie są prawdziwe wiadomości z frontu. Radio musieliśmy zdać gdyż taki był rozkaz, prasa pisała tylko o zwycięstwach wojsk hitlerowskich. A jeśli ktoś coś wiedział konkretnego milczał jak grób. Między przyjaciółmi którzy mnie odwiedzali, odwiedzała mnie często dawna moja koleżanka z którą zerwałem stosunki koleżeńskie tylko dlatego, że pracowała sekretarką oraz tłumaczką w instytucji niemieckiej, lubiałem ją bardzo lecz bałem się ją. Rodzice moi też bardzo ją lubili. Była blondynką, wysoka, smukła, o przeciętnej urodzie, lecz bardzo miła i sympatyczna, miała coś w sobie, coś co pociągało, coś czemu nie mogłem się oprzeć!

Choć była rok starszą, przy niej wydawałem się grubo starszym od niej. Przyjaźń nasza zaczęła się zacieśniać, co dzień przynosiła mi prawdziwe wiadomości z frontu, słuchałem ją z wielką uwagą i skupieniem, sam nigdy o nic nie pytając! Tak minęło kilka tygodni, koledzy i koleżanki przychodzili rzadziej, gdyż kilkakrotnie po wyjściu ode mnie byli zatrzymywani na ulicy, brani do pierwszej lepszej bramy rewidowani. Zima była mroźna, na razie nie pracowałem, całymi dniami siedziałem w domu, czekając na wieczór, wieczorem przychodziła S witała mnie z uśmiechem i zaczynaliśmy gawędzić, to była moja jedyna miła rozrywka w te smutne długie mroźne zimowe wieczory.

Nadchodziła wiosna, czułem się bardzo dobrze, strach zaczął przechodzić, z wiosną narodziło się we mnie coś nowego, zacząłem wierzyć w siebie. Chciałem żyć, walczyć, a równocześnie chciałem bawić się, ale ani jedno ani drugie nie było tak proste.

Żeby walczyć trzeba było wiedzieć jak i czym!

Bawić się nie miałem pieniędzy, postanowiłem zdobyć. Zacząłem spekulować, przez kolegów poznałem kilku wojskowych Węgrów, którzy za wódkę czy bimber gotowi byli dać wszystko! A więc handel szedł, zaprzyjaźniłem się z jednym na dobre, zaczął przychodzić do mnie do domu i podsunął sam mi myśl że gdyby nie coś, to on przychodzi do nas bo moja matka pierze mu bieliznę. Iw razie czego jego bielizna zawsze była u nas czysta czy też brudna, na wszelki wypadek? Gdy jak się to mówi rozgryzałem mego Łajosza bo tak kazał się nazywać, do dna, miałem go już w rękę! Nie bałem się że mogę być prowokowany. Zacząłem myśleć o zdobyciu broni, ciągle o tym myślałem, pewnego dnia przy dobrej transakcji wypiliśmy z Lajoszem. Był niskiego wzrostu, czarny, miał miłą twarz i szczerze spojrzenie, uczył mnie i matkę kilkunastu słów po węgiersku, ja jego po polsku, a porozumiewaliśmy się strasznie łamaną niemieczyną. Był podoficerem, pracował w intendencji toteż miał czym handlować.

Pewnego wieczoru Lajosz był w wspaniałym humorze, bo dostał list od swojej bogdanki, skorzystałem z jego humoru i mówię, Lajosz co byś powiedział na to gdybym cię poprosił o taki pistolet jak ty masz, a miał „Waltera”. Spojrzał na mnie badawczo, ja nastraszyłem się że mu coś takiego zaproponowałem, ale odwrotu już nie było! Ale on uśmiechnął się widząc moje zakłopotanie i spytał, po co ci? Wtedy powiedziałem że wie jaka jest sytuacja, Ukraińcy zaczynają Polaków mordować, na razie po wsiach. Kto wie co może być itd. Wspomnę że Węgrzy byli wrogo ustosunkowani do Ukraińców, a więc uderzyłem w czułą nutę? Lajosz chwilę pomyślał, uderzył mnie po ramieniu i powiedział, zrobi się chłopcze, tylko nie myśl że to piekarnia. Pistoletów się nie wypieka, tego nie dają na kartki? Któregoś wieczoru przyszedł i mówi, mam coś dla ciebie! Poczulem jak krew uderza mi do głowy, byłem pewny że ma to o co go prosiłem, rozwinął paczkę, było tam parę koszul a w nogawkach od kaleson parę małych w kształcie beczulek granatów, następnie z kieszeni spodni wyjął ślicznego czarnego „Waltera”, z drugiej kieszeni wyciągnął trzy zapasowe magazynki, poczem rzekł, daję ci to w dowód przyjaźni węgiersko – polskiej, a teraz szybko to schowaj, spodziewam się że masz dobrą kryjówkę?

W pierwszej chwili nie wiedziałem co ma robić, dziękować czy chować prędko ten tak upragniony prezent. Kryjówkę miałem na miejscu. W pokoju stał duży czarny pokojowy kredens dwuczęściowy, który miał po obu górnych bokach po trzy szuflady, w spodniej szufladzie miałem zamaskowane podwojne dno, tak mistrzowsko zrobione, że gdyby ktoś niepowołany nic by nie zauważył, w szufladzie trzymaliśmy ciężką zastawę stołową, schowałem więc pistolet i magazynki, z powodzeniem zmieściłby się jeszcze taki komplet. Lecz granaty nie mieściły się gdyż schówek był za płytki.

Ale miałem jeszcze jeden schówek w piwnicy gdzie chowałem nadmiar papierosów, sacharyny itd, tam też schowałem granaty. Lajosz pokazał mi jak się mam w razie potrzeby obchodzić z pistoletem i jak odbezpieczać granaty, dziękowałem mu gorąco, wypiliśmy butelkę, posiedzieliśmy z godzinę, poczem Lajosz jak zwykle przed wyjściem poszedł do kuchni pożegnać się z matką mówiąc „Czokolom mama”. Gdy zostałem sam rozmyślałem jakim sposobem i gdzie będę mógł wypróbować moją broń. Usłyszałem dzwonek, pobiegłem otworzyć, w drzwiach stała Stefa, zauważyłem że jest podniecona, weszliśmy do pokoju, usiedliśmy naprzeciw siebie, pierwsze jej słowa były: Zbyszku masz kogoś z krewnych na wsi? Odpowiedziałem że nie, ale dłaczegopytasz?

spytałem. Powiedziała mi że w tym tygodniu będą łapanki, nawet będą chodzić po domach i brać młodzież do Niemiec, poczem zarzuciła mi ręce na szyję i zaczęła płakać, matka weszła do pokoju i spytała co się dzieje? Gdy dowiedziała się o co chodzi, sprawa poważna musimy się naradzić. Uradziliśmy że już nazajutrz pojedę do B była to wioska oddalona od miasta około 30 – tu kilometrów. Tam matka miała dobrych znajomych, postanowiłem tam się skryć i przeczekać ten gorący moment. I tego wieczoru dowiedziałem się jak bardzo jest mi zycziwą Stefa, prosiła mnie żebym nikomu nic nie mówił, gdyż mogę jej bardzo zaszkodzić, wiedziałem co to znaczy, nie miałem komu co mówić, moi koledzy przeważnie byli zabezpieczeni, mieli papierki że pracują, byli bezpieczni od łapanek. Z koleżankami straciłem kontakt, gdyż były przeciwne że się przyjaźnię ze Stefą. Jak mogłem odtrącić od siebie kogoś kto był mi naprawdę oddanym przyjacielem, narażając się dla mnie, bo przekazując mi takie wiadomości jakie miałem, narażała się w najlepszym wypadku na obóz! Następnego dnia pojechałem do B.

Przyjęto mnie bardzo serdecznie, była to dość zamożna rodzina składająca się z matki, córki w moim wieku i młodszego brata, ojca nie było, toteż gospodarkę prowadził młodszy brat matki. Był to mężczyzna trzydziestoparoletni, o szerokich barach, bardzo wysoki, zawsze z uśmiechem na twarzy, już po kilku dniach zaprzyjaźniłem się z nim na dobre, było mu na imię Bolek. Gospodyni domu była kobietą jeszcze młodą, dobrą z natury i o bardzo miłym obejściu. Córka gospodyni była ładną o bardzo milej twarzy i pięknych wyrazistych ciemnoniebieskich oczach, patrząc w te oczy widziało się toń morza i zarazem lazur nieba.

Była panną dobrze wychowaną jak na warunki wiejskie, o dużej inteligencji, co rzadko się zdarza u dziewcząt wychowywanych na wsi. Młodszy brat był chłopakiem 12 – letnim miłym, grzecznym oraz bardzo usłuznym.

Gospodarka była jedną z przodujących we wsi, piękny dom czteroizbowy, duże zabudowania gospodarcze oraz kilka sztuk dorodnego bydła. W domu tym mieszkał w jednym z pokoi oficer Wermachtu, gdyż naprzeciw stacjonowała jednostkajwojskowa, której zadaniem było ściąganie i naprawa sprzętu wojennego. Nie było mi to na rękę, gdyż miałem ze sobą swego Waltera, myśląc że tu na wsi uda mi się go wypróbować.

Ale za to dobrą stroną było to że byliśmy bezpieczni przed bandami ukraińskimi, którzy z coraz to większą zaciętością mordowali Polaków.

Moi gospodarze mieli jeszcze domek oddalony o trzy kilometry od wsi, przy tym domku kilka hektarów pola i łąk,

kiedyś w tym domku mieszkał dziadek, ale musiał opuścić ten dom, gdyż bał się band, dom i zagospodarowania stały pustką lecz ziemię obrabiano.

Pewnego pięknego dnia mój przyjaciel Bolek powiedział, Zbyszku masz ochotę pojechać ze mną na pole, chętnie się zgodziłem. Zaprzągnął konia, rzucił na wóz parę wiązek słomy, ja naturalnie wziąłem schowany w stodole swego Waltera i ruszyliśmy w drogę. Pogoda była piękna, zbliżały się sianokosy, zboże już dość duże falowało po obu stronach drogi, wchłaniałem w płuca ciepłe i świeże powietrze myśląc jak spokojnie i ładnie jest tu na wsi, nie przeczuwając że w tym spokoju w tym zbożu kryją się ci którzy czyhają na nasze dusze! Przyjechawszy na miejsce wyprzęgliśmy konia puściwszy go samopas na dość szeroką miedzę, opodal była łączka, Bolek poszedł kosić. Położyłem się na miedzy, po obu stronach miałem zboże, podłożywszy pod głowę ręce patrząc w błękit nieba rozmyślałem, od czasu do czasu rzucałem okiem czy kosi nie zbczy w zboże.

Chyba się zdrzemnąłem chwilę, gdy obudziłem się z drzemki spojrzałem w stronę konia, nie było go! Wstałem, wstając zauważyłem w odległości około pół kilometra postacie, które na mój niespodziewany widok, szybko skryły się w zbożu, wiedziałem co to znaczy, opanowałem strach i jak gdyby nigdy nic szedłem w stronę konia, który pasł się w nizinę, równocześnie zbliżyłem się do Bolka, zbliżywszy się do niego powiedziałem, Bolek, spokojnie, tu są banderowcy, wyciągnąłem swojego Waltera, odbezpieczyłem. Bolek spojrział, zrobił duże oczy, wziął po drodze konia za uzdę, szliśmy obok konia tak, że mieliśmy żywą osłonę niczym tarczę. Odległość do zabudowań była nie większa niż sto metrów, weszliśmy do stodoły, która stała na uboczu, po drodze zauważyłem jak Bolek chwycił z wozu snopek słomy, pomyślałem na co mu ta słoma? Rychło się dowiedziałem, w snopku był obcięty karabin. Szybko zajęliśmy stanowiska, ja wlałem na stertę starej słomy, obserwując przez szczelinę między belkami, obserwując ruchy przeciwnika i informując Bolka, on obserwował szczeliną między słupem a bramą, w ten sposób mieliśmy całe pole pod obserwacją, Na razie nic nie widzieliśmy.

Już zaczęliśmy wątpić, może to po prostu chłopci szli na swe pola, ale dlaczego się chowali?

W pewnej chwili zauważyłem jednego którego chyłkiem biegł zbożem w stronę zabudowań, za chwilę ujrzałem drugiego, równocześnie Bolek krzyknął mi że od jego strony widzi dwóch którzy przeskakują spoza kupki siana kryjąc się za drogą.

A więc jesteście okrążeni, nie ma czasu na namysły, ten silniejszy kto pierwszy zaatakuje! Byłem w strachu, jednocześnie silna chęć walki oładnęła mną, odległość między nami a przeciwnikiem malała, strzeliłem, krótko po mnie huknął strzał Bolka, jeszcze po jednym strzale i radość, nasi przeciwnicy byli bohaterami ale do bezbronnych, nie spodziewali się że dysponujemy tak silnym ogniem aż na dwa fronty, umykali jak zajęce! Zdałoby się posłać jeszcze parę kul powiedział Bolek ale szkoda marnować naboju i nie trzeba robić dużo hałasu, i tak baliśmy się że jeśli we wiosce usłyszano strzały mogą wysłać patrol.

Odczekaliśmy trochę, poczem rzuciwszy trochę słomy na wóz pojechaliśmy do domu.

Sąsiedzi uważali mnie za kuzyna tej rodziny żeby nie budzić podejrzeń że jestem cudzy musiałem do wszystkich domowników odnosić się per ty — prócz gospodyni, do niej mówiłem ciciu. Dziwnie się czułem w rozmowie z panną Kazią mówiąc jej ty. Czułem że darzy mnie sympatią.

Mnie też bardzo się podobała, lecz nie chciałem nawiązywać romansu, gdyż wiedziałem że niedługo tam będę, i nadużywać tak szczerej gościnności.

Równocześnie czułem że Kazia co dzień więcej mi się podoba, odkrywałem co dzień w niej nowe zalety ciała i duszy. Minęło dwa tygodnie, dostałem wiadomości, że mogę wracać do domu, w przeddzień wyjazdu, wieczorem siedząc na werandzie myślałem o jutrzejszym wyjeździe, cieszyłem się że zobaczą rodziców, Stefę, a równocześnie żal mi było wyjeżdżać.

Czułem że coś tu zostawiam, tak rozmyślając usłyszałem czyjeś kroki, odwróciłem się, obok stała Kazia. Uśmiechała się mając w oczach łzy, czy coś się stało spytałem. Stało się to czego się najwięcej bałam, odpowiedziała i zaczęła płakać, siadając przy mnie na ławeczce, nie rozumiałem, chwyciłem jej ręce mówiąc, proszę cię nie męcz mnie, powiedz co się stało!

Spojrzała mi w oczy tak żałośnie i płacząc powiedziała Zbyszku czy nie widzisz jak bardzo cierpię, zacząłem się domyślać lecz nie chciałem przyznać się do tego. Rozmowę naszą przerwało wejście brata. Podszedł do mnie i wesoło powiedział, czy nie chciałbyś wpisać się do mojego pamiętnika? Odpowiedziałem z przyjemnością jeśli to ci sprawi przyjemność! Wziął mnie za rękę prowadząc do pokoju, tego wieczoru nie było już sposobności porozmawiać z Kazią sam na sam. Nie mogłem zasnąć przewracałem się z boku na bok, spałem w jednym pokoju z bratem Kazi, w drugim matka i Kazia, w trzecim wujek Bolek.

Drzwi z pokoju w którym spała Kazia były uchylone, słyszałem miarowy oddech matki, spała snem zmęczonej zapracowanej kobiety, Kazia wdychając co jakiś czas wychodziła do kuchni, oboje nas męczyła bezsenność.

Rano matka Zosi powiedziała pozdrów rodziców i nie krępuj się, gdy tylko będziesz potrzebował pomocy, przyjeżdżaj, u nas ci będzie bezpiecznie. Podziękowałem i prosiłem jeśli tylko będą w mieście żeby nie zapomnieli nas odwiedzić. Pożegnałem się z matką i Bolkiem, Kazia z bratem mieli mnie odprowadzić do autobusu.

Szliśmy milcząc, czułem że żal im z powodu mojego odjazdu zacząłem dlaczego milczycie i macie takie marsowe oblicza? Przecież nie odprowadzacie mnie na śmierć zażartowałem, mówili prawie razem, że żal im że tak szybko odjeżdżam, tak bardzo przyzwyczaili się do mnie i będzie im smutno beze mnie itp.

Milczałem bo mnie też ciężko było rozstawać się z nimi, mój autobus już stał na przystanku, nie było czasu na długie pożegnania, ucisnąłem rękę bratu, Kazię pocałowałem w policzek, drzwi się zatrzasnęły, odjechałem!

W domu zastałem Stefę, bardzo się cieszyła, pytała jak się czułem na wsi, zarzuciła mnie jak zwykle pytaniami, nie dając mi dojść do słowa, pytała czy tęskniłem za nią? wymawiając te słowa jak gdyby żartem, poczem dodała, wiem! nie miałeś czasu tęsknić przecież miałeś miłe towarzystwo? Chciałem odpowiedzieć, nie dała mi dojść do słowa ciągle mówiąc powiedz, ładniejsza ode mnie, czy ci się podobała, pomyślałem, Taką żonę mieć niepotrzebny jest patefon? Czy zdradzałeś mnie, nie mogłem już dłużej wytrzymać mówiąc, przecież nie mogłem cię zdradzić, gdyż między nami nic nie było! Nie gniewaj się przecież żartowałam, odpowiedziała. Wyczuwałem że jest zła i rozdrażniona, zacząłem rozmowę na inny temat.

Lato w pełni, Niemcy pędzą ludność do kopania okopów, tam się choć wyzywam, drwimy ze szkopów, w końcu nadojadło mi to kopanie, rozciąłem sobie żyłką prawą dłoń, zabandażowałem i tak nosząc rękę na temblaku byłem wolny od kopania. Stefa przynosiła coraz świeższe i weselsze wiadomości z frontu, choć już i tak wiele wiedziałem, już prasa zaczęła pisać, wycofujemy się na zaplanowane stanowiska! Wiedziałem że to bujda, faszyci zaczęli dostawać tęgie lanie.

Zaczęły się znowu łapanki, pamiętam pewnego dnia idąc ulicą zostałem zatrzymany przez kryminalną policję, wzięli mnie do bramy, kazali podnieść ręce do góry, zrewidowali, wylegitymowali, nie znalazłszy nic przy mnie puścili.

Idąc do domu a raczej uciekając, zauważyłem przy wejściu na rynek jakieś dziwne pustki, było południe, o tej porze było zwykle największe nasilenie ruchu, wydało mi się to podejrzane, zwolniłem kroku, zauważyłem dwóch wojskowych stojących za załamaniem muru pod ratuszem. Tknięty złym przeczuciem zawróciłem i w tym momencie usłyszałem głos z jakiegoś okna „uciekaj oblawa”. Nie trzeba było mi dwa razy powtarzać, zacząłem biec w przeciwnym kierunku, myślałem jak najprędzej dostać się do niedalekiej bramy, która miała wujście na drugą ulicę, znałem przecież swoje miasto!

Niestety w bramie wpadłem na dwóch policjantów, wpadłem sam w sieci, już kilkunastu ludzi mężczyzn i kobiet stało pod ścianą z podniesionymi rękoma. Byłem wściekły, dwie wpadki w ciągu niespełna pół godziny to już pech, wiedziałem że teraz już się nie wymigam. Byłem bez szans, myślałem intensywnie o ucieczce, ale to nie było takie proste! Pilnowano nas jak oka w głowie, przyjechały samochody załadowano nas i zawieziono do żeńskiej szkoły. Szkołę tę znałem dobrze gdyż kilkakrotnie byłem tam na szkolnych zabawach.

Kobiety zaprowadzono na pierwsze piętro, mężczyzn na drugie, prawie wszystkie sale wypełnione były ludźmi. Zbliżał się wieczór, zaczęli wywoływać na korytarz, zaczęła się komisja składająca się z kilku Niemców w asyście policji ukraińskiej. Zapisywali nazwiska, adresy, przeglądali jeszcze raz dokumenty, starałem się zostać na koniec, bo miałem już obmyślany plan ucieczki? a zależało mi na tym żeby nie być wciągniętym na listę, bo w wypadku udanej ucieczki, mieliby mój adres i nazwisko. Gdy nasi opiekunowie byli zajęci, poprosiłem strażnika że bardzo mi się chce do ubikacji, poprowadził mnie, ubikacja znajdowała się na końcu korytarza, mój anioł stróż szedł ze mną, pomyślałem nic z tego, nie wyjdzie ale ku mojej radości on załatwił się i wyszedł, wychodząc powiedział, pospiesz się! Skoczyłem do okna, spojrziałem w dół, pode mną był ogród szkolny i mur prawie do wysokości pierwszego piętra, ta strona nie była pilnowana, był zmrok co mi sprzyjało, nie miałem chwili do stracenia! Bowiem mój anioł stróż stał na pewno za drzwiami czekając na mnie, lada moment mógł wejść. Wskoczyłem na okno, chwyciłem się rynny i szybko jak tylko pozwalała mi ostrożność i bezpieczeństwo tego karkołomnego przedsięwzięcia, zjechałem na mur. Najtrudniejszą część ucieczki miałem za sobą, chwila wahania i skok w dół, byłem wolny. Okrężnymi ulicami szedłem do domu, gdyż przy świetle lamp ulicznych zauważyłem że mam wysmarowaną marynarkę oraz rozdarte spodnie i skałeczoną lewą dłoń, w ferworze ucieczki nic nie czułem, teraz poczułem piekący ból i silne znużenie, nerwy nie wytrzymały!

Zeby dojść do domu trzeba iść głównymi ulicami, to było zbyt ryzykowne, wyglądałem okropnie. Postanowiłem pójść do Stefy, do niej było bliżej, tak też zrobiłem.

Zadzwoiłem, otworzyła mi matka Stefy, na mój widok omal nie krzyknęła, wszedłem do przedpokoju, matka spytała, co się z panem dzieje panie Zbyszku?!

Opowiadałem patrząc w lustro wiszące w przedpokoju, wyglądałem rzeczywiście niekorzystnie, jak na składanie wizyty! Stefy nie było, umyłem się, doprowadziłem się do porządku, matka Stefy opatrzyła mi rękę, nie było nic groźnego, lekkie skałeczenie. Po chwili przyszła Stefa, dowiedziawszy się o co chodzi powiedziała, dzisiaj spać będziesz u nas, zaprotestowałem gdyż wiedziałem że rodzice będą się o mnie niepokoić. Lecz Stefa była niezłomna, powiedziała że ojciec jej idzie dziś na nocną zmianę do pracy, pracował niedaleko naszego domu, więc wstąpi i powie że jestem u nich.

Rozmawialiśmy do późna, Stefa jak zwykle nie dawała mi dojść do słowa, poruszając różne tematy, wyczuwałem że chce mi coś ważnego powiedzieć, lecz nie wie jak zacząć! W końcu wzięła moją rękę, patrząc mi w oczy powiedziała, Zbyszku powiedz mi, tylko prawdę, proszę cię, bo lepsza jest gorzka prawda jak słodkie kłamstwo, chciałem jej przerwać, nie pozwoliła mi, ciągnąc dalej, chcę i muszę wiedzieć czy zależy ci na mnie? — wymawiała te słowa z naciskiem! Nie jako na koleżance, lecz jak na kobiecie. Siedziałem, nie wiedziałem jak się zachować i co odpowiedzieć, gdyż nie byłem przygotowany na takie pytanie, i nie wiem dlaczego ale w tej chwili miałem przed oczami Kazię! Jej piękne oczy w których widziałem oddanie, przyznam się że po wyjeździe od nich często myślałem o niej? Powiedziałem więc, bardzo cię lubię i szanuję jako dobrą i życzliwą mi koleżankę i myślę że prócz tego nic nie może być między nami, przyznam się że prócz sympatii, głębszych uczuć nie żywiłem do niej. Dlatego starałem się zbytnio nie zbliżać do niej, gdyż znałem jej charakter i wiedziałem że nic nie lubi połowicznie? Również wiedziałem że może być mściwą, tego się najwięcej obawiałem. Na tą odpowiedź zauważyłem dziwny błysk w jej oczach, twarz jej zwykle biała, nabierała kolor purpury, wiedziałem że za chwilę wybuchnie!

Nic nie mówiąc wstała, starała się pohamować, lecz nie wytrzymała, zaczęła płakać, żal mi jej było, wziąłem ją za rękę mówiąc, uspokój się, wyrwała swoją rękę z mej dłoni mówiąc, litości nie potrzebuję, czułem się głupio, nie wiedziałem co mam robić, w końcu powiedziałem, jeśli nie przestaniesz płakać pójdę sobie. To pomogło, podniosła głowę, spojrzała na mnie jakoś tak żałośnie, mówiąc, a jednak troszeczkę mnie lubisz, wytarła zapłakane oczy, próbowała nawet się uśmiechać, mówiąc, nie mówmy dziś już o tym, przepraszam cię, że głupio się zachowałam. A teraz przyszykuję ci kolację i pójdziesz spać, pościelę ci u ojca w pokoju, ty się połóżysz a ja zaszyję ci spodnie.

Byłem bardzo zmęczony, tyle przeżyłem tego dnia, zjedliśmy kolację, położyłem się momentalnie zasypiając.

Było nad ranem, przebudziwszy się poczułem że leżę nie sam! Przy mnie leżała Stefa, widząc że się obudziłem, objęła mnie za szyję mówiąc, nie gniewaj się że tak zrobiłam, wiem że to nieładnie, ale inaczej nie mogłam, walczyłam z sobą całą noc, jednak to drugie było silniejsze! Chyba teraz nie odtrącisz mnie, mówiąc czułem że cała drży. Błady świt poranka padał przez półzasłonięte okna, zacząłem wyczuwać podniecenie, Stefa tuliła się do mnie całym ciałem, przeszedł mnie dreszcz, czułem że dłużej nie wytrzymam, lecz bałem się że potem będę związany ze Stefą, a ja ją przecież nie kochałem!

Myśli me przerwały pocałunki którymi obsypywała mnie Stefa, ręce me bezwiednie zaczęły błądzić po jej włosach, szyi, ramionach... Stało się to czego nie chciałem, ale i tak czasem bywa? Później myślałem już tylko czem prędzej odejść, czułem jakiś niesmak. Lecz to nie moja wina. Ona wzbudziła we mnie jakąś zwierzęcą żądzę, której nie mogłem się oprzeć!

Jak może obrzydnąć świat, być kochanym nie kochając i nie mogąc się temu sprzeciwić! Tek też było ze mną, zostałem kochankiem nie kochając! w pewnym sensie musiałem się poddać przynajmniej na razie! Wiedziałem że Stefa tak jak kocha, tak może swą zranioną miłość mścić! Od tego czasu wyczuwałem że ma mnie w swej mocy, jedno jej słowo, a byłem zgubiony, a ja tak chciałem żyć! Tak pragnąłem doczekać się klęski tych nadludzi, wiedziałem że już niedługo, tylko przetrwać, a to nie było takie proste?

* * *

cd pod POCHRO – 2.CHI

WSPOMNIENIA
 Zbigniewa Pochronia
 część II
 brulion 1/dokończenie/ i 2

Zbliżała się jesień, a z nią przyszyły nowe dla mnie bolesne chwile, aresztowali ojca, dali mi o tym znać przyjaciele, musiałem się skryć na jakiś czas, gdyż nie wiedziałem za co został aresztowany. Myślałem różnie że po mnie wzięli ojca a teraz może być odwrotnie.

Matce powiedziałem że gdyby pytali o mnie, to pojechałem za chlebem na Podole. Tej nocy spałem u Stefy, była to moja ostatnia wizyta u niej.

Pojechałem do B. Moi dobroczyńcy bo tylko tak mogę nazwać dobroć oraz bezinteresowność cudzych ludzi w stosunku do mnie. Przyjęli mnie bardzo serdecznie, zaczęły się dni leniuchowania nie dawano mnie niczym w gospodarce się zając, choć prawdę mówiąc niewiele bym pomógł, gdyż wieś była dla mnie „pirtą Achilleśa”. Prace przy gospodarce były mi zupełnie obce, ale miałem ochotę w czymś pomóc. Widząc moje dobre chęci, mówiono mi Zbyszku jeszcze w życiu zdążysz napracować się, i mieli rację? Zaczęła się słońca, deszcze, niebo pokryte chmurami, sprawiała przygnębiające uczucia. Bolek z matką Kazi stale byli zajęci przy gospodarce, Kazia nie miała wysiłku wkładała w sztukę kulinarną, chcąc mi dogodzić w urozmaiconym jadłospisie, choć nigdy nie śmiała nic takiego wspomnąć. A więc prawie cały dzień byłem samotny, moją rozrywką było podpatrywanie Kazi jak się krząta przy kuchni, w przerwach między gotowaniem siedzieliśmy obok siebie rozmawiając na niewinne tematy, myśląc o czymś zupełnie innym? Czułem że z każdym dniem jest mi bliższą! Każde jej spojrzenie łapałem w mig, domyślałem się że nie jestem jej też obojętny, choć starała się nie pokazywać mi tego. Lecz takie uczucia nie dają się skryć, pragnąłem jej wyznać że bardzo ją lubię a może więcej! Lecz nie śmiałem, byłem przecież związany ze Stefą, postanowiłem milczeć, może mi to przejdzie, a może się rozczaruję, a może odważę się na to że powiem jej prawdę, to trzecie wydało mi się najuczciwsze. Postanowiłem jeszcze trochę poczekać, czekałem stosownego tematu w stosownej chwili. Dni mijały, otrzymałem wiadomość z domu, że o ojcu nic nie wiadomo, w domu była rewizja, pytali o mnie, poza tym wszystko w porządku. A więc tak jak przepuszczałem, od Stefy nie miałem wiadomości, gdyż nie chciałem żeby znała mój adres, wiedziała u kogo jestem, lecz adresu nie znała, gniewała się później że nic nie mam do niej zaufania! W okolicznych wioskach zaczęły się potworne mordy, Ukraińcy mordowali bezlitośnie całe polskie wioski. Zaczęły się masowe ucieczki Polaków do miasta, pewnego wieczora zastanawialiśmy się co będzie, jeśli ten garnizon którego znajdował się naprzeciw, skończy swoją pracę i wyjedzie. Odpowiedź była jednoznaczna, wyjedziemy też do miasta! Na razie nic nam nie groziło, a więc życie toczyło się bez specjalnych przeżyć. Były pierwsze dni grudnia, przez kilka dni padał obfity śnieg, wszystko pokryło się miękkim puchem śnieżnej bieli, było pięknie, całe pola jak okiem sięgnąć pokryte białym całunem, gdzieś tam przerwane wstążką zarośli wyglądającą na oazę w pustyni. Od czasu do czasu zakłócał ten spokój przejeżdżający w dali polną drogą zaprzęg sanek i dźwięk dzwoneczków zawieszonych u szyi koni. Godzinami lubiłem siedzieć przy oknie w ciepłej opalanej izbie, ze wzrokiem błędzącym po ośnieżonych polach, myśląc o ciężkich bojach jakie toczą się na froncie wschodnim. W wyobraźni mojej często malował się ogromny wysiłek wojsk radzieckich walczących z ogromnym zapałem, poświęceniem i silną wiarą w zwycięstwo.

Wiedziałem że szala zwycięstwa przychyliła się na stronę radziecką, rozumiałem że klęska armii faszystowskiego gen. Paulusa pod Stalingradem oznaczała silną ofensywę wojsk radzieckich na tym odcinku frontu. Pilnie śledziłem na mapie posunięcia wojsk radzieckich. Tak rozmyślając uczulem ciepłą dłoń na szyi, odwróciwszy się zobaczyłem te śliczne dziwnie jakoś patrzące oczy, te które tak podziwiałem, te przed którymi serce moje jak gdyby przestawało bić, w twarzy tej czytałem jakąś macierzyńską dobroć tklivość i miękko wypowiedzianych słów, Zbyszku o kim tak rozmyślasz? Poprawiłem że nie o kim a o czym i wzięwszy ją za rękę zacząłem zwierzać myśli i uczucia swe, nawet dotyczących wojny. Pytałem ją czy nie cieszy się że armia hitlerowska jest w odwrocie, że może już niedługo wojna się skończy i my będziemy żyć jak ludzie, nie jak niewolnicy. Przerwała mi mówiąc, Zbyszku czy ty zawsze tylko o wojnie myślisz, i nic więcej poza nią nie widzisz? Po największej części tak, odpowiedziałem, bo cóż znaczy kochać, czy być kochanym w czasach kiedy narody wymordowują się nawzajem, kiedy nie ma pewnego dnia i godziny. Kiedy pewnego dnia w każdej niemal chwili mogą rozłączyć na zawsze tych którzy się kochają to jest okropne. To nie jest życie, ja myślę o życiu wolnym, pewnym, chcę żyć nie z dnia na dzień, lecz życiem pewnym jutra! Czy kochać bez strachu, słuchała, w jej oczach pojawiły się dwie duże łzy. Ręka jej wplotła się w moją, czułem że kocha, ja też kochałem, wiedziałem już z całą pewnością. Lecz bałem się do tego przyznać, tak pragnąłem pocałować ją w usta, w te śliczne oczy, czułem że pożądam ją całą. Lecz nie mogłem, między nami była inna, którą nie kochałem, lecz byłem związany. Nie chciałem dłużej się męczyć i ją okłamywać. Powiedziałem więc, Kaziu już od dawna chciałem ci coś wyznać, na te słowa spłoszyła! Poprawiła się w krześle i powiedziała, słucham cię.

Gdy opowiedziałem wszystko o Stefie i moich uczuciach do niej. Słuchała uważnie z dziwnym spokojem w twarzy, jak gdyby wiedziała już dawno o wszystkim. Później powiedziała skoro już wiem o tobie wszystko, pozwól że wyznam ci to czego jeszcze nikomu nie powiedziałam! W moim życiu nie było jeszcze mężczyzny, miałam wprawdzie kilku kolegów ale żaden mi nie odpowiadał ani fizycznie ani duchowo. Zaczęłam już wątpić czy przyjdzie ktoś kto mi się naprawdę podoba! Kogo pokocham, lecz w moim szczupłym gronie nie było takich! Tu i w okolicy, z miastem miałam słabe kontakty towarzyskie. Ale czułam się spokojną, czekałam! Jak gdyby przeczuwając, że przyjdiesz ty, właśnie ty!

Pamiętam gdy przyjechałeś pierwszy raz i gdy cię zobaczyłam pomyślałam, to ten. Po kilku dniach twego pobytu u nas poczułam że zabrałeś mi spokój, a przed wyjazdem twoim wiedziałam już z całą pewnością, że nie tylko spokój mi zabrałeś ale i serce, wiedziałam że cię Kocham! Staralam się tego ci nie okazywać, choć z trudem mi się to udawało, wyczuwałam że i ja nie jestem ci zupełnie obojętną a kobieta się nie myli. Równocześnie wyczuwałam że ktoś jest między nami, to mnie najwięcej niepokoiło, drażniło, ja już chciałam cię mieć wyłącznie dla siebie. Kilka razy chciałam cię spytać, wybadać tak dyskretnie ale nie miałam odwagi. Bałam się że mogę cię urazić, walczyłam z sobą, nie spałam po nocach, myślałam tylko o tobie, czy pamiętasz naszą rozmowę przed twoim wyjazdem, gdyby nie brat mój, już wtedy wiedziałbyś że jesteś mi drogi. Ach wiele przeżyłam po twoim wyjeździe, tłumiąc w sobie tęsknotę za tobą, ciągle myśląc czy przyjedziesz jeszcze? Tak pragnęłam cię zobaczyć. Stałam się zazdrosną, wciąż widząc cię z inną nawet w snach. Tych parę listów które mi przysłałeś były takie lakoniczne, przeważnie rozmawiałeś w nich z moją mamą, mnie przysyłałeś prawie tylko pozdrowienia. Kilka razy myślałam ci napisać, nawet już napisałam, lecz listu tego nie wysłałam. Teraz skoro wiemy tyle o sobie powiedz mi czy Kochasz mnie? Jeśli tak to jestem najszczęśliwszą dziewczyną na świecie, mówiąc to miała łzy w oczach, duże dwie łzy, które wydawały mi się dwoma brylantami mieniącymi się prześlicznie barwami, przy blasku zachodzącego słońca, które przez półzamarznięte szyby patrzyło na nas. Czy możesz o to pytać Kochanie, te słowa wyrwały się ze mnie jak ptak spłoszony z gniazda. Poczem objawszy ją całowałam oczy spijając łzy, które spływały po jej twarzy mówiąc dlaczego płaczesz? Skoro wiesz że cię Kocham, odpowiedziała mi że to są łzy szczęścia, pozwól że się wypłaczę. Postanowiliśmy na razie nikomu nie mówić o naszych uczuciach, choć wyczuwałam że matka Kazi domyśla się o naszych uczuciach, bo to nie daje się skryć przed okiem matki. Zwierzenia nasze przerwało pukanie do frontowych drzwi, Kazia wycierając zapłakane oczy pobiegła zobaczyć kto puka. Był już zmrok prócz nas w domu nie było nikogo. Tknięty złym przeczuciem poszedłem za Kazią ku drzwiom, słysząc jak Kazia dopytuje się kto puka, usłyszeliśmy głos sublokatora Niemca, o którym już wspomniałem, wprawdzie wejście do swego pokoju miał osobne z drugiej strony domu. Lecz czasem gdy za wiele wypił lubiał wchodzić frontem. I wtedy lubił długo głądzić. Był to człowiek niemłody, czasami wydawał się nawet sympatyczny, gdy wspominał swoją żonę troje dzieci które zostawił w Rzeszy, o których już dawno nie ma wiadomości. Mówił o nich z rozżaleniem, no coż nie dziwiłem się on też jest człowiekiem, też ma serce a w nim miłość do najbliższych. Lecz nie mogłem zrozumieć że oni w stosunku do innych ludzi są takimi sadystami. A w szczególności do Polaków są tak sadystycznie nastroszeni i nigdy nie chcą pomyśleć że my też jesteśmy ludźmi, też mamy serca i bliskich naszym sercom.

O tym oni nie chcieli wiedzieć.

Tego wieczoru nasz gość długo mówił o wielkim wodzu i jego nowej cudownej broni „Która już niedługo miała przynieść zwycięstwo Wielkiej Rzeszy” itp. Potem zaczął prosić nas byśmy wypili z nim po kieliszku gdyż dziś są jego urodziny, a on jest tak samotny, a z nami czuje się tak dobrze. Nie wypadło nam odmówić i baliśmy się obrazić jego ambicję w razie odmowy. Odmowa mogłaby doprowadzić do awantury, a w takich wypadkach Niemcy byli nieobliczalni, toteż wypiliśmy parę kieliszków, co rozanieliło naszego Hansa a po następnych parę głębszych nasz Hans był kompletnie szczerzy i prawdomówny! Zaczął kłąć Hitlera i tą całą zasaną wojnę, ciągle powtarzał „Szaise ales KKrieg” „Hitler Kaput”. I dużo innych epitetów w tym sensie! Przyznam że za dużo nie rozumiałem, więcej się domyślałem, co ja nie rozumiałem Kazia mi tłumaczyła i tak na odwrót Jednym słowem dowiedzieliśmy się z ust niemieckiego oficera że nie wszyscy Niemcy są lojalni wobec swego wielkiego wodza! A jeśli są to tylko ze strachu o swoją skórę. Po jeszcze jednej kolejce nasz Hans zaczął płakać że Hitler zabrał mu na rzeź dwóch synów, jeden zginął pod Stalingradem a drugi jest ciężko ranny, a o żonie i córce nie ma żadnej wiadomości. I że jeśli taka sytuacja potrwa dłużej jego i jednostkę przerzucą też do tej bolszewickiej maszyny do mięsa! Potem zaczął coś o Katuszy lecz nie mogliśmy już go zrozumieć, schylił głowę mamrocząc coś pod nosem, poczem usnął z głową opartą o stół. W takiej pozycji zastała go matka Kazi po powrocie do domu. Mieliśmy dość kłopotu żeby go przenieść do jego pokoju.

Ranek był mroźny, dzień zapowiadał się pogodny, czerwona tarcza słońca przypominała czerwoną nalaną twarz Hansa, zacząłem przypominać sobie wczorajszy wieczór i naszą rozmowę, myślałem sobie jak się zachowa Hans przy spotkaniu ze mną. Rozmyślenia me przerwał znajomy głos Hansa, który w kuchni prosił gospodynię o coś kwaśnego do picia, paliła go wódka, przyznając że mnie też, choć tyle nie wypilem parę kieliszków wylałem do szklanki z herbatą. Wszedłem do kuchni powiedziałem dzień dobry, na co Hans odpowiedział mi grzecznie, patrząc mi w oczy badawczo!

Twaz miał zmęczoną, ciężkie worki pod oczami i nieco ochrypły głos, poczem poprosił gospodynię o jeszcze jedną szklankę soku, dwie już wypił, był to sok z kiszonych ogórków. Zaczęła się rozmowa jak się spało, czy głowa mnie też boli, tak jak jego i jeszcze kilka banalnych pytań, wiedziałem że chce spytać zupełnie o czymś innym, lecz nie śmie pytać przy gospodyni!

Matka Kazi krzątając się po kuchni wyszła, wtedy mój Hans zaczął mnie wypytywać, jak to wczoraj było! O czym rozmawialiśmy, czy on nas nie obraził, jednym słowem bał się że za dużo powiedział. Uspokoilem go że wszystko było jak najlepiej, że mówił tylko o żonie i dzieciach. Patrząc na mnie uważnie, starając się zrozumieć mnie dobrze, gdyż kaleczyłem język jak tylko mogłem. W twarzy jego wyczytałem że jest zadowolony i że się uspokoił, wziął mnie za ramię mówiąc, ty jesteś dobry chłop, ty byłbyś mój dobry przyjaciel, choć nie możemy nimi być ty Polak a ja Niemiec, twój hejnał tu, mój tam wskazał ręką na zachód, ale ja tobie nie wróg, ja wiem że Kazia tobie nie kuzynka, ty jesteś tu żeby nie jechać do Niemiec. Może dobrze robisz a może i źle, bo jak nas tu nie będzie Ukraińcy was wymordują!

Ale na razie nie bój się, teraz się nie odważaj, a jak będzie źle to cię powiadomię, tylko nikomu ani słowa, położył palec na ustach mówiąc rozumiałeś?

Byłem zaskoczony nie wiedziałem jak się zachować i co odpowiedzieć, jedno wiedziałem że wszystko wie i na nic

się nie zdadzą moje zaprzeczenia, przez to tylko mogę sobie zrobić gorzej, postanowiłem milczeć i potakiwać. Po jeszcze kilku grzecznościach nasz Hans poszedł.

Po odejściu spytałem Kazię i matkę skąd on wie wszystko o mnie, absolutnie nic nie wiedziały, nikomu o mnie nie mówiły, prócz tego że jestem kuzynem. Zostało to dla mnie nie rozwiązana zagadką. Postanowiłem być ostrożnym i niezadługo wyjechać. Zbliżyły się Święta Bożego Narodzenia, dostałem kilka listów od matki, wspominała mi że Stefa się żali, że w listach moich do matki tylko ją pozdrawiam. Wiedziałem że to ją będzie bolało, lecz chciałem żeby się oddalała duchowo ode mnie, wiedziałem że „czas leczy rany”. Była przecież młodą ładną, miała kochliwy charakter liczyłem na to że znajdzie kogoś kim się zainteresuje, i to musi nastąpić jeśli nie wcześniej to później.

A po moim powrocie do domu postanowiłem porozmawiać z nią poważnie na ten temat. Choćby ze względu na Kazię co jej obiecałem. Kazia wiedząc że już tylko parę dni zostaje do mego wyjazdu, starała się jak najwięcej czasu poświęcić mnie. Toteż całymi dniami siedzieliśmy przy wesóło trzaskającym ciepłym piecu rozmawiając i marząc o przyszłości. Matka Kazi domyślając się o naszych uczuciach starała się nie przeszkadzać nam w naszych rozmowach.

Dostałem wiadomość z domu że muszę przyjechać, nie zwlekając pojechałem. Okazało się że mam stawić się do Baudiństu (?), wiedziałem że mój rocznik powołują do rocznej służby w tej organizacji hitlerowskiej służby. Niewolnicy przymusowej pracy, musiałem się zgłosić, niezgłoszenie się równało się wywózką do Rzeszy a nawet gorzej!

Baudińst znajdował się przy ulicy Kamińskiego przyjęto mnie i jeszcze dużo innych chłopców, dali nam drelichowe mundury, drewniane buciki, skoszarowano nas. Rano kawałek chleba kosteczka margaryny lub marmolady, zbożową kawę i wymarsz do pracy. Na ramię łopata lub kilof praca na dworcu sprzątanie torowisk, obiad przywozili na miejsce, pracowaliśmy też na rzece wybierając kamienie znosząc je na kupy, takie przyzmy, za parę dni przychodzili inni i przenosili na inną przyzmy. Były to syzyfowe prace, nikomu niepotrzebne, ale zawsze mieliśmy zajęcie.

Czasem jeśli nie mieliśmy co robić zapędzano nas do kopania okopów, których nigdy nie użyli, ale musieliśmy mieć zajęcie, jak mówiono żeby nam nie przychodziły sprośne myśli.

Tak mi nadojadł ten bandińst (?), że postarałem się o zwolnienie lekarskie, znając dr Hamerskiego przez jego syna prosząc o przyjęcie mnie na badania sercowe, po znajomości zrobiono badanie serca ustalając wadę mięśnia sercowego tym samym niezdolnym do ciężkich prac w bandińście. Zostałem zwolniony po dwóch miesiącach pracy. Byłem zadowolony, ale teraz bałem się że nie pracuję a nie mając zaświadczenia pracy ryzykowałem wywiezienie do Rzeszy.

koniec brulionu 1

brulion 2

ARESZTOWANIE

4.X.1944 r.o godzinie 24 – ej silne walenie kolbami do drzwi korytarza, spojrzałem na zegarek wystraszony wstałem z łóżka.

W pokoju stała matka wystraszona, a walenie nie ustawało krzyki, otworzyć w języku rosyjskim. Już wiedzieliśmy o co chodzi, to NKWD, na pół ubrany, podszedłem do okna.

Z zamiarem ucieczki, ale pod oknem stało dwóch, tak że o ucieczce nie było mowy. Mieszkaliśmy na wysokim parterze, wiedziałem że muszę otworzyć, bo wywałą drzwi.

Otworzyłem, do przedpokoju weszło czterech a dwóch zostało na zewnątrz, z okrzykiem ręce do góry, z wycelowanymi automatami. Kazali nam wejść do pokoju, odwrócić się do ściany i stać z rękoma do góry.

Zawołali sąsiadów na świadków. Zaczęła się rewizja, staliśmy z matką patrząc na siebie, rozmawiać nam zabroniono, rewizja trwała cztery godziny, była tak skrupulatna, zaglądali pod dywan, obrazy, w każdej szufladzie, w kredensie pokojowym, każdą drobnostkę. W szafie wszystko przewrócili, rzucając na podłogę, ubrania, bieliznę, pościel.

Po zakończeniu dom wyglądał jak po wojnie, teraz kazali nam się ubrać, nie wolno nam było nic ze sobą wziąć.

Wyprowadzono nas na ulicę, dwóch usiadło do samochodu, a czterech nas poprowadziło ulicami miasta na komisariat NKWD. Tu już drudzy zrobili nam rewizję osobistą, zabierając zegarki, pieniądze, zapalniczki, paski, nawet sznurówki, na dodatek ściągnęli mi z szyi jedwabny szaliczek.

Na drugi dzień przysłali z mojej pracy człowieka, któremu miałem zdać dokumenty samochodowe, parowałem jako kierowca, wożąc dygnitarza wojewódzkiego partii.

Po miesiącu zabrano nas do więzienia na ulicy Bilińskiego, gdzie już kiedyś miałem okazję poznać, było nas sporo starych i młodych mężczyzn, kobiety były osobno.

Cele przepelnione, wszyscy na gołej podłodze, brud, wszy i banderowcy wszystko razem, na sześćdziesiąt osób jeden kibel. Zadnych przesłuchań, nie wiedzieliśmy o co chodzi, za co nas aresztowano, co chcą z nami zrobić.

Od nikogo nie można się było dowiedzieć, na nasze pytania, odpowiadano „milczeć”. Gdy skarżyliśmy się na nasz brud, wszy, nawet banderowcy przywiezieni z lasu mieli świerzb. Odpowiadano nam, niczego prożywiosz a jeśli nie podochnisz, taka była odpowiedź.

Nie pytaliśmy już nigdy więcej, a nie wiedzieliśmy że będzie jeszcze gorzej.

Z końcem listopada zebrali nas, wygłodzonych brudnych, piechotą szliśmy przez całe miasto, jak najgorszych przestępców, nie wolno nam było rozmawiać, ludzie idący ulicą, patrzyli na nas z politowaniem, nie wolno było do nas podchodzić, pilnie nas strzegli.

Tak doszliśmy do dworca, tam już czekał specjalny pociąg „Stuypin” pod wieczór ruszyliśmy do Lwowa, znane mi miasto na stacji te same czynności, liczenie nas jak bydło, stawanie czwórkami, szczucie psami i pogroźki naczelnika konwoju, krok w lewo, krok w prawo, oznacza ucieczkę, on nakazuje strzelać bez uprzedzenia. Już ciemno prowadzą nas piechotą ulicami jesteśmy już na ulicy Janowskiej, cmentarz a dalej po żydowski lagier.

Przyjmuje nas nowa władza, rewizja, choć już nie mamy nic absolutnie nic do zabrania. Ale u nich taki był przykaz, rozebrać się do naga, przysiady, zaglądnienie do odbytnicy, czy tam czasem nie ma broni, albo szpiegowskich map.

Jeden z młodych chłopaków spytał, czy nie szukają w dupie karabinu maszynowego, dostał kolbą parę razy, po rewizji zaprowadzono nas do baraku drewnianego, nie było podłogi tylko klepisko, nas było ponad osiemdziesięciu, ale w baraku było już pełno ludzi, ściśnięto nas jeden do drugiego. Takiego tłoku jeszcze nie było, ale za to była parasza „kibel” który rano wynoszono, a wynosiło cztery osoby, przez uszka tej beczki przepychano taki kij, jak dyszel od furmanki, po dwóch ludzi z każdej strony wynosili i wylewali do dołu przy baraku, fetor straszny, ale na to nie było rady.

Rano chleb i kipiatok, obiad w niby stołówce, wąskie pomieszczenie i duży stół z desek nieheblowanych, tak ciasno że podawano jeden do drugiego, a były to miski otłuczone, nawet spluwaczki, wyciągnięte były tylko wierzchy z dziurami.

Zupa nieobierane ziemniaki, brukwa i jakieś krupy, więźniowie mówili, krupinka za krupinką goni się z dubinką.

Sypie śnieg Lwów pokrył się białą szatą śniegu, a my siedzimy o głodzie i chłodzie, przez okna bez szyb, wrota otwarte śniegiem sypie do wewnątrz.

Gorzej jak bydło, ani siana ani słomy, pamiętam Trzech Króli, po południu, już zmrok szykują nas w czwórki i zapowiadają sakramentalne krok w lewo, krok w prawo, z tą instrukcją przez jedenaście lat dwa razy dziennie, przyzwyczaiłem się jak do pacierza. Znowu dworzec lwowski, wyczytywanie nazwisk nowej ekipy NKWD załadunek do wagonów, rewizja jak modlitwa, po północy opuszczamy Lwów. Jedziemy w nieznane, na trzeci dzień wieczorem stacja Kijów, już Rosja, inni ludzie inaczej ubrani, miasto szare, opalone, zburzone.

Po wyjściu z wagonów dopiero można było zobaczyć, piękne zielone miasto podobne do Lwowa, ze wzgórzami, teraz zimne smutne, rozszarpane pociskami, ludzie nędźnie ubrani źli patrzyli na nas jak na wrogów tego miasta.

A nas pędzono głównymi ulicami tego miasta przez Kreszczatnik Korso Kijowa, ludzie wygrażali nam pięściami złorzecząc i przeklinając. Doszliśmy do starego czerwonego więzienia, zbudowanego przez carycę Katarzynę, mieszczącego się na wysokim wzgórzu, więzienie straszne, o dużych salach, w których przebywało do stu osób, całe oporzędzenie celi tylko beczka na wodę i wielki kibel, brudna podłoga, i kułak pod głowę.

Przyprowadzono nas po godzinach urzędowania nie było tego kłóten miał nas przyjąć, druga połowa stycznia, mróz dwadzieścia stopni, my w rtrzewczkach, paltach jesiennych całą noc, do godziny ósmej rano marzliśmy pod więzieniem, cały czas skacząc, zabijając ręce żeby nie zamarznąć.

Konwojenci byli w kozuchach, rozpalili ogniska, grzali się po kolei, nie zważając na nas że marzniemy, jeszcze nas przyśmiewali, jacy to Polacy delikatni, jedli coś, co nie widzieliśmy, popijając wódką.

Rano przyszedł naczelnik i około godziny dziesiątej przyjął transport lwowski, było nas osiemdziesięciu siedmiu ludzi, wprowadzili nas na parter do ubikacji, betonowa podłoga, rury kanalizacyjne z wierzchu obrosnięte szronem i lodem. W ubikacji tej na betonie byliśmy czterdzieści osiem godzin, bo musieli opróżnić jedną celę dla nas. Takiej celi nie znaleźli, podzielili nas na dwie grupy, wrzucono nas do złodziei, bandziorów wszelkiego autorymentu.

Pierwszej nocy zaczęli nas rozbierać z rzeczy, kto się sprzeciwił dostawał tęgie lanie, jednego uderzyli pokrywką od kibla w głowę rozbito mu ją. Rano przychodziła zmiana strażników i nowy naczelnik zmiany, otworzył celę i spytał czy mamy jakieś skargi. Więc wszyscy powiedzieli co z nami w nocy zrobili. Wypędził wszystkich na korytarz, w celi szukano nasze zabrane rzeczy, nic nie znaleziono, zapędził nas do celi, na tym się skończyło.

Później dowiedzieliśmy się, że nasze zrabowane rzeczy pojechały piętro wyżej, ci złodzieje porozumiewali się pukając po rurach kanalizacyjnych, ci z góry spuścili linkę z haczykiem, ci na dole przywiązywali tłumoki i wszystko szło na górę.

Za parę dni przynosili im chleb, bułki, tytoń, herbatę z której robili czefir, nieraz dostawali wódkę, a do niej na zakąskę słoninę.

My na to patrzyliśmy, slinka nam ciekła, ale słowa powiedzieć nie mogliśmy, bo nam wymyślano od faszystów, wiedząc że nic im nie zrobimy a ci z góry, jak się później dowiedziałem góra robiła to specjalnie, żeby się obłowić, bo miała z tego profit, a nas zastraszać.

Na przykład dobre palto, ubranie, bielizna, buty, swetry, złodzieje otrzymywali grosze, gros tego brali strażnicy, klucznicy, dzieląc się z górą. Za ten heroiczny wyczyn złodzieje mogli raz w miesiącu, pozwolenie po cichu, puszczone ich do cel żeńskich, po przeciwnej stronie korytarza, tam byli do rana, a rano przed przybyciem zmiany, po cichu wpuszczali ich do swoich cel.

Dlatego też oni mówili „Tiuurma moj dom radnoj”, tak z przygodami przesiedzieliśmy cały styczeń do lutego 1945 roku.

Szykowano nas w dalszą drogę, to już nie my, to wynędziali nędzarze, za nasze rzeczy dano nam stare porwane kufajki, porwane buty, czasem stare kalosze.

Tak przebrani, całkowicie bez bielizny, wynędniali prowadzono nas znów tą samą drogą, na stację Kijów, teraz ludzie patrzyli na nas już inaczej bo byliśmy im podobni, policzono nas, sprawdzono po kartotece, znowu ostrzegawcze słowa w lewo w prawo.

Na dworcu tłok, pociągi opóźnione, masa ludzi koczuje na podłodze, śpią, kłócą się, na nas nie zwracają uwagi, oni przeważnie też wyglądają nie lepiej.

Załadowano nas do wagonów, czekaliśmy dwa dni na odjazd, staliśmy na bocznicach, ponieważ cały czas szły transporty wojskowe na zachód, z wojskiem i sprzętem, czołgi, działa, samochody.

A mu ścieśnieni, o suchym prowiancie, sucha ryba Treska i porcja sucharów, najgorzej nam dokuczalo pragnienie, wodę jeśli konwój miał ochotę, a byliśmy na stacji, brali jednego z nas i szli z wiadrami i przynosili kąpiatok.

Po sucharach i słonej rybie, straszne mieliśmy pragnienie, wypijaliśmy całe wiadra wody, jeśli konwój był w humorze, to zabierali jeszcze jednego którego nosił wodę.

Większy kłopot był później z oddawaniem moczu, tylko dwa razy dziennie, wyprowadzano nas pojedynczo do ubikacji, rano i wieczorem, zaznaczam że był to „Stułypin” jeśli ktoś chciał w międzyczasie, musiał cierpieć, na to rady nie było. Prośby żadne nie skutkowały, ci mieli dobrze którzy mieli buty z cholewami, siusiali do butów, a przy wyprowadzaniu do ubikacji wylewali. Konwój to widział i wiedział o tym, ale nam mówiono że mają taki przykaz, śmiejąc się i urągając nam, od faszystów, urągając naszym matkom, bez tego nie było żadnej rozmowy.

Nie wiedząc dokąd nas wiozą, po słońcu i stacjach, jechaliśmy na wschód.

Któregoś dnia dojechaliśmy do miasta Ufa wiedzieliśmy że jesteśmy na granicy Europa – Azja, zaczynał się Sybir, ale do naszego miasta przeznaczenia było jeszcze daleko.

Jechaliśmy dzień i nic bez przerwy tylko w większych miastach, gdzie pobierano wodę do lokomotywy.

Nieraz staliśmy na bocznicach, przepuszczając transporty wojskowe, niemcy, brudni, głodni, spragnieni, wyczerpani fizycznie i moralnie, myślami byliśmy przy naszych najbliższych. Ja myślałem o matce, która też została wywieziona później, okazało się że jechała tą samą trasą, miesiąc później.

Zima była mroźna zbliżał się luty przez okienko 10 x 10 widzieliśmy tylko śniegi i gołą przestrzeń, gdzieś maleńką chałupkę i jakiś płotek. Kraina smutna i jakby wymarła, później wjeżdżaliśmy w lasy, tak jechało się całymi dniami nie wyjeżdżając z niego, nic nie było widać tylko las, las, las. Minęliśmy Omsk, Nowosybirsk, Kiemierowo, przekroczyliśmy rzekę Jenisej byliśmy już w Krasnojarskim Kraju.

Na stacji przeladowano nas na samochody, ruszyliśmy dalej w nieznaną, rano dojechaliśmy do miasteczka Czernogorsk, same kopalnie węgla, miasteczko czarne, zanidbane, ludzie tacy sami jak miasteczko, wszyscy ubrani jednakowo, w waciaki walonki, kobiety tak samo, z daleka poznać trudno kobieta czy mężczyzna. Strach nas ogarnął, co za miasto, co za ludzie, jednym słowem wielki lagier, teraz czekało mnie życie lagrowe, przydzielono mnie do kopalni.

Odwszono nas, dali waciaki, bieliznę, walonki, przydzielili nas do brygad, kolega mój z którym byłem cały czas naszej wędrowni, miał ukończone konserwatorium muzyczne, wzięli go do pisania nut, pisał w stołówce.

Od kucharza dostawał zupy wiele mógł zjeść, po dwóch tygodniach, gdy przyszedłem z pracy, on już czekał na mnie ciesząc się że ma kociołek zupy dla mnie. Zupa była z flaków, żeby była ciepła stała na płycie ta zupa stała od godz. 13 – tej do 17 – tej. Ucieszyłem się że pamiętał o mnie, zacząłem jeść, ale nie mogłem zupa strasznie śmierdziała i była gorzka parę łyżek ledwie połknąłem, resztę nie mogłem jeść. Oddałem mu, a że był łakomy zjadł wszystko. O godzinie dwudziestej zamykali barak, do piątej rano. Usnąłem, w nocy nie wiem która była godzina, usłyszałem że Staszek jęczy, spał na górze, wstałem i spytałem co ci jest Stachu, on już był w gorączce. Mówił że strasznie go brzuch boli, powiedziałem żeby się wypróżnił, odpowiedział że już to zrobił i że nawet zwrócił, ale go jeszcze więcej boli. Zaczął mnie prosić żebym zawiadomił starszego baraku, że może uda mu się zawiadomić kogoś ze szpitalika, żeby mu pomogli.

Zrobiłem co mogłem, ale barak zamknięty do godziny piątej i na to nie ma siły, nie spałem, zrobiłem mu kompres, bo strasznie był rozpalony, coraz gorzej z nim było, ja w sieniach przy drzwiach wołałem pomocy, wreszcie jakiś strażnik przyszedł i spytał, o co chodzi że tak krzyczę, powiedziałem że jest chory który prosi pomocy.

Odpowiedź była „niczego nie podochniet”. Musiałem czekać do godziny piątej, gdy otworzyli barak pobiegłem do szpitala, powiedziałem o co chodzi, pielęgniarka pobiegła ze mną, Staszek już był bez przytomności, zabrano go do szpitala. Stałem pod oknem, widziałem jak kładą go do łóżka, ja musiałem iść do pracy, przez cały czas myślałem o nim.

Po pracy gdy nas wyprowadzali, równocześnie przychodziła druga zmiana, chłopcy powiedzieli mi że Staszek nie żyje.

Targnął mną żal i złość, na wszystkich i na wszystko, straciłem jednego kolegę, którego dobrze znałem, i jego rodzinę, jeszcze ze Stanisławowa, zostałem sam, jeszcze był chłopak z Bohorodczan, małolatek, którego chcieli zwolnić w Kijowie, ale on płakał że chce jechać z ojcem, bo już nikogo nie miał w domu matka zmarła, pozwolili mu jechać z ojcem.

Marzec 1945 roku trochę się ociepliło, droga do obozu była długa około trzech kilometrów, każdy musiał nieść kawałek węgla, żeby było czym palić w piecu. Po przyjsciu do obozu, od razu z bramy pobiegłem do szpitala, spojrzałem w okno, koło którego zostawiłem Staszka, już go tam nie było, siostra widząc mnie wyszła i spytałem ją czy

Staszek coś mówił. Odpowiedziała że tylko jęczał i wołał matkę i tak bez przytomności zmarł, poprosiłem ją czy moge go zobaczyć, odpowiedziała, że już jest w morze, kostnicy w ziemlance a ona zamknęła.

Podziękowałem bo była dobrą dziewczyną, bo ludzie nie są aż tak źli, tylko się boją wszystkich i wszystkiego, a najwięcej NKWD.

Kwiecień śniegi topnieją, robi się trochę cieplej, choć w nocy jeszcze mrozi, nas zaczynają przygotowywać do odpluskwienia, bo przed nimi nie ma ratunku, tak gryzą w nocy, szukamy puszek od konserw na śmietniku, zapychamy nogi nar, do puszek i zalewamy wodą. Z dołu nie ogą się do nas dobrać, za to w nocy wylazą na sufit i pikują na nas jak myśliwce. Rankiem pełne puszek pluskiew potopionych, to nam daje satysfakcję.

Pewnego dnia wzywają nas na plac apelowy, jakiś komisarz wyczytuje nam z karteczki nasze wyroki zaoczne „Osoboje sowieszczanie” mnie pięć lat zsyłki do Nowosybirskiej Oblaści, roboczyj posiołek Suzun. Taki posiołek w głębi tajgi, ponad sto kilometrów od najbliższego miasteczka, droga która prowadzi przez las, cały czas przez nieprzebytą tajgę. Do Suzunu można się dostać samochodem, w zimie tylko sańmi, w parę dni po wyczytaniu wyroku, mamy zgłosić się do magazynu, gdzie rozbierają nas do naga, zabierają wszystkie rzeczy, a w zamian dają stare porwane ciuchy, na koniec rzucili mi czapkę uszanke, która nadaje się na wielkoluda lub konia bo ma wielką głowę. Używałem ją jako torbę, w niej mieściło się pół puda kartofli.

Pytałem dlaczego zabierają nam, jeszcze dobre rzeczy, a dają stare porwane, odpowiadali że my idziemy na wolność, a tam nam dadzą, jeśli będziemy dobrze pracować dla ojczyzny. My sobie pomyśleliśmy, aby was pokręciło razem z waszą ojczyzną, już nie wychodziliśmy do pracy, czekając na tę świetlaną wolność, bo nie wiedzieliśmy jak ta wolność wygląda.

Do Czernogorska przyjechał jeden konwojent z Aczyńska zabrał nas, a było nas 14—tu, w tym mały Marian z ojcem, jeden konwojent odwiózł nas do więzienia. Otworzył celę i dał nam do naszej dyspozycji jak hotel, nie zamykając nas dał nam wolną rękę tylko musieliśmy spać w naszej celi. Sprawdzał nas, przynosząc chleb i słone ryby, herbatę sami sobie gotowaliśmy na podwórku.

Chodziliśmy po miasteczku, rozmawiając z ludźmi współczuli nam, dawali chleb, kartofle czsem tytoń samosiejkę.

Cały tydzień tak leniuchowaliśmy i czekaliśmy aż ktoś przyjedzie i zabierze nas do tego raj, przyjechali po nas Zisem, opalanym klockami drzewnymi, śmierdziało to i dymiło jak parowóz i tak pojechaliśmy ponad sto kilometrów do naszego Suzunu. Po drodze mijając tylko jedną wieś, mniej więcej o połowę drogi Aczyńsk—Suzun ta wieś zagubiona w tajdze nazywała się „Szepunowo”.

WOLNOŚĆ

W Suzunie przyszedł naczelnik NKWD w randze porucznika nazwiska Miluszkina, bardzo niedobry człowiek, o czym miałem się przekonać kilkakrotnie, jakim był bezwzględny czekista.

Przydzielał wszystkim prace w Chimelczenosie, Chemiczne leśne gospodarstwo, jednych do lasu innuch do stajni przy koniach i bykach, mnie i jednemu z transportu, a był z Katurza (?) Jasiowi i mnie dał robotę przy starym cieśli, którego przybudowywał przybudówkę do więzienia, dali nam ciesielskie siekiery, żeby ciosać słupy pod budowę. Powiedziałem że nigdy takiej siekiery nie miałem w rękę, powiedział niczewo nauczysia, to była prawda nauczyłem się i nieźle mi to szło.

Otrzymałem przydział 550 gramów chleba, jeden obiad w stołówce, trochę lepiej jak w Obozie ale wszystko było mało, wygłodzone młode organizmy żądały więcej.

Umówiliśmy się z Jasiem że po pracy ja przemycę siekiere a on piłę, jak pomyśleliśmy tak zrobili, szliśmy posiołkiem, widząc kloce drewna przy domach wchodziliśmy pytając. Czy nie trzeba porznąć i porąbać, odpowiedź zawsze była potwierdzająca, tylko nie mieli czym płacić za usługę, dogadywaliśmy się, że nam pieniędzy nie trzeba, może być chleb, kartofle, tytoń, na co zawsze się zgadzali.

Mężczyzn nie było, ci którzy przeżyli wojnę jeszcze nie wrócili, tak co dzień po pracy szliśmy do pracy, ciężko było, ale już mogliśmy zaspokoić głód do syta.

Spaliśmy w starej kuźni na słomie, pamiętam raz dostaliśmy pełną moją uszanke kartofli i trochę krup nawet nie wiem jakie, po przyjsciu do swojej kuźni, naobieraliśmy ziemniaków pół wiadra zasypaliśmy krupami zgotowała się zupa papka, usiedliśmy na klepisku jedząc z wiadra łyżkami drewnianymi. O dziwo, niedługo nic nie zostało, dziwiliśmy się że tyle zjedliśmy. Nim poszliśmy spać byliśmy znowu głodni. Dziś dziwię się ile wygłodzony człowiek może zjeść, aż nie mogę uwierzyć ile człowiek może zjeść, tak było ze mną.

Nasza sielanka się skończyła, nasza robota przy budowie skończyła się, dali nas do cięcia desek jako traczy, praca była bardzo ciężka, tak że nie mieliśmy siły na chałturę.

Po skończeniu cięcia desek, dali nam dwa wozy i dwa byki, nauczono nas zaprzęgać, byliśmy woźnicami. Woziliśmy z lasu drzewo na opał, wodę w beczkach z rzeki do cegielni, pewnego razu podjazd był stromy, po deszczu śliski, mój byk w połowie drogi stanął i nie chciał ciągnąć. Bicie nie pomagało, te pociągowe zwierzęta są bardzo uparte, tylko starzy Sybiracy mają sposób na to. Wożą ze sobą flaszeczkę skapidaru, coś jak nasza terpentyna. Smarują bykowi pod ogonem wtedy byk rusza jak szalony i idzie pod górę, ja się bałem że bykowi coś się stanie, nam powiedziano, że za byka jeśli jemu coś się stanie trzy lata, a za konia pięć, ale jakoś się udało.

Następnie dali mi konia, mały był ale bardzo mądry, w białe kasztanowe łaty, nazywano go Pigan.

Przyjechała sprzedawczyni jednego z uczestków to jest w lesie 12 kilometrów od Suzunu. Parę baraków z zsylnymi, piekarnia i sklepik, osobno dom naczelnika uczestka, zamieszkałego z rodziną żoną i dwójką dzieci.

Sprzedawczyni dwa razy w miesiącu przywoziła towar do sklepu, ja byłem jej wozczykiem, furmanem, przydzielili mnie dla niej, coś jak niewolnika, bo tak się z nami obchodzono, a że roboty dla nich zawsze było mało, to byłem też do dyspozycji naczelnika.

Wycinałem młode brzoźki, a obręcza do beczek, woziłem żywicę w beczkach do składu, karmiłem konia, poilem, kosiłem trawę na siano, jednym słowem byłem do wszystkiego, niewolniczo musiałem słuchać swoich przełożonych.

Ze sprzedawczynią nie miałem kłopotów, nawet mnie dokarmiła, lubiłem ją ona mnie też, tylko ukrywała przed naczelnikiem, bo on czekista a ja przestępca kryminalista a ona wolna, bała się jego, a on szukał zaczepki, bo mu odmówiła tego co miał u żony, na mnie patrzył jak na wroga ludu i na swego konkurenta w zalotach do Lipki, bo tak ją nazywano.

Szczupła brunetka o czarnych oczach i dość ładnej buzi i sympatycznym uśmiechu. Dlatego też pałał miłością do niej, żonę miał młodą grubawą blondynkę i piegowatą, dziwiło mnie dlaczego tak zabiega o względy Lipki, nawet szpiegował ją, pewnego wieczoru poprosiła mnie czy nie mógłbym pomóc jej naklejać kartki żywnościowe, złapała go na podglądaniu przy oknie, od tego czasu zasłaniała okno.

Zaczęła się jesień, moja bielizna podarła się w paski, tak że chodziłem tylko w spodniach waciakach, zamiast paska miałem sznurek, w kufajce zamiast guzików drut, buciki były zupełnie zdarte, wciąż czekałem na obiecane nowe ubranie, walonki.

Szybko nadchodziła zima, w tej miejscowości mróz przekracza ponad czterdzieści stopni.

W jednym baraku mieszkała polska rodzina z Wileńszczyzny wywiezieni w 1940 roku, mąż pani Karpowiczowej był leśniczym, opowiadała że w nocy przyszli po nich, męża nie było w domu, na ścianie był portret leśniczego, więc pytali a co to za generał, pokazując na portret. Gdy im odpowiedziała że to mąż w mundurze leśniczego, aż gęby pootwierali, ale czekali aż przyjdzie do domu.

Były dwie córki i dwóch synów małoletnich zabrano ich, w drodze zmarł najmłodszy syn, a po przyjeździe do roku zmarł ojciec, a mąż pani Karpowiczowej. Zostali z jednym synkiem może miał dwanaście lat a w moim wieku dwie córki, które pracowały przy cięciu i zbiórce żywicy, a jak ciężka praca mogą tylko wiedzieć ci którzy ją znają. Zapraszali mnie na kolację, bo mieli mizerną krowinę, no i swoje kartofle, odmawiałem nie chcąc ich objadać, ale posyłali synka miał na imię Zbyszek tak jak ja, nie chciał beze mnie iść bo matka i siostry wiedziały że go lubię i na jego zaproszenie przyjdę.

Siedzieli przy stole jeśli to stołem nazwać można na czystych deskach, czekały już miski i garnuszki, a w drzwiach pod powalą wetknięte było luczywo, potem zapalono drugie, lampę mieli ale nie było nafty, świece za drogie. Trudno je było dostać, żyli jak w średniowieczu, do tego w głuszy, daleko od siedzib ludzkich, takie to było życie Polaków na wygnaniu syberyjskim.

Przyszła poczta dostałem wezwanie do NKWD, nie wiedziałem o co chodzi, a bałem się ich jak diabłów, ale cóż muszę iść, pożegnałem się z wszystkimi i piechotką doszedłem do Suzuńskiego NKWD. Przywitał mnie swoimi bazyliżkowymi oczami lejtenant Miłuszkin, ze zjadliwym uśmiechem spytał czy chcę zobaczyć matkę, ucieszyłem się że jest tu że będziemy razem, opuściłem ten zniechęcony gmach NKWD.

Było już po pracy, matka była w niby to domu, mieszkała w pół piwnicy ze swoją koleżanką ze Stanisławowa panią Kozłowską. Przywitanie było serdeczne, tylko tak witać mogła matka syna, a syn matkę. Pracowała w CRM to jest Centralna Remontowa Baza, pracowała przy piekarni rżąc i rąbiąc drzewo z panią Kozłowską, a jak piekarz miał życzenie narąbania trzasek do pieca, dostawali gratis bochenek chleba, co w tym czasie było majątkiem, bo pracujący dostawali 500 gram, niepracujący 300 gram. Chleb był nalewany do blachy, żeby się nie przepalał smarowano blachę oliwą, a jeśli było brak oliwy smarowano towotem, chleb pachniał naftą.

Zaznajomiłem się w pracy z młodą jurną piekarsową, tylko na mój gust nie za ładna. Chłopcy zazdrościli mi takiej znajomości i dopiekali mi, że dziewczka jak rzepa, że będę miał robotę nadliczbową.

Wcale mnie to nie kusilo, ale kusil mnie chleb, rąbałem jej szczapy za to dostawałem cały gorący chleb, przecięty wzdłuż, chowając pod kufajką. Ale też wiedziałem że Niura jeszcze coś chce ode mnie, czego nie mówiła, ale ja wiedziałem o co jej chodzi, nie chciałem stracić pracę na czarno, bo na moje miejsce czekało dziesięciu. Musiałem spędzić ten nie tak przykry obowiązek, od tego czasu nie mogłem wejść do piekarni, bo zaraz ciągnęła mnie za piec, gdzie było ciepło i pełno worków po mące.

Koledzy dali mi spokój, bo dostawali po kawałku chleba wół był syty i koza cała. W dzisiejszych czasach powiedziano by o mnie męska dziwka, ale ja bym chciał widzieć takiego kto by w tym czasie odmówił.

Matka moja przywoziła cudem pierścionek z brylancikiem, chciała go sprzedać ale kto z Sybiraków znał się na tym, i kto miał pieniądze.

Dowiedzieliśmy się że Żydzi i Polacy wywiezieni w latach czterdziestych i mają wracać do domu, znalazł się taki Żyd z Polski był on złotnikiem, pamiętam nazwisko Klainkopf. Miał żonę i troje dzieci, jeden syn zmarł w drodze do Suzunu, umówiliśmy się u niego w domu, czekał na nas, oglądnał przez lupe, spytał o cenę, co mogliśmy mówić o cenie, kto znał cenę. Dostaliśmy kilkaset rubli dokładnie nie pamiętam za te pieniądze kupiliśmy na bazarze bieliznę wojskową szynele, kozuszek, czapkę i walonki. Na warunki sybirskie byłem całkiem nieźle ubrany. Nawet mi zazdroszczono.

Spałem w chomutni (?), tam stary szornik naprawiał uprzęż, był piecyk tak że było ciepło tylko gryzły wszy i pluskwy, stary Borys był człowiekiem dobrym, co dzień rano przynosił kartofle które piekliśmy w piecyku.

Ja przynosiłem chleb który dawała mi Niura, gotowaliśmy czaj i tak sobie pomagaliśmy nawzajem. Zaczęły się mrozy, pracowałem w lesie wożąc drzewa na opał dla ludności, reperowałem sanie, bo uważano mnie za cieślę.

Zapisano mnie do lepszej stołówki, szumnie nazwaną kombinatem bezalkoholowym, tam poznałem kierowniczkę, młodą po studiach, a że zbliżał się nowy rok 1946 zaproponowała mi wolny bilet wstępu na zabawę. Na zabawie czułem się obco wśród pracowników wolnych, patrzono na mnie jak na zadżumionego, wyszedłem cicho, niezauważalnie, po drodze złościąc się na siebie że poszedłem na tą zabawę. Taki los spotyka ludzi za niepopelnione winy. Traktuje się ich gorzej bydła, kto chce znieważa ciągle powtarzając polski faszysta.

A epitety niecenzuralne jak z rysztoka, i to młodzi chłopcy, małolaty, odpowiedzieć jeszcze nie umiałem, uderzyć bałem się, bo nowy wyrok nie chciałem zarobić, a oni prowokowali do tego.

Dowiedziałem się że po nowym roku wezwano kierowniczkę na NKWD tam lejtenant Miłuszkin wygłosił mowę partyjną, jak jej nie wstyd zapraszać zsylnego, zdrajcę narodu itd. dziewczyna popłakała się i obiecała nie spotykać się ze mną.

Na obiedzie chąc ze mną porozmawiać skrycie poprosiła żebym przyszedł do jej biura, była sama zrobiła kufel bragi, kazała mi wypić potem powiedziała o rozmowie z enkawudzistą i spytała co o tym myślę.

Powiedziałem myślę żeby się nie spotykać bo może przeze mnie napytać sobie przykrości, jest na stażu i może sobie zepsuć opinię, tak skończyła się nasza znajomość.

Zaczęła się wiosna tam przychodzi ona w maju, kartofle sadzą w końcu maja, matka moja wynajęła kuchnię do spania, w której było wyrko drewniane i dwa koce, za 15 rubli miesięcznie, to już było dobrze, lepiej jak spać w chamutni, gospodynia robiła banię co tygodnia, kąpała się z córkami, potem pozwalała nam się kąpać.

Raz matka powróżyła z kart córce, a ona powiedziała koleżankom, zaczęły się schodzić wieczorami przynosząc kartofle, buraki, czasem butelkę mleka, trochę krup, jedna nawet kawalem słoniny, to już dla nas był bal, bo słoninę jadłem jeszcze w domu.

Nadeszło lato tutaj lato jest krótkie ale ładne przez Suzun płynęła rzeczka, która wpadała do wielkiej sybirskiej rzeki Ob, gdy się kąpałem przypominałem sobie nasze dwie bystrzyce które płynęły przez Stanisławów, tak samo czyste o kamiennym podłożu, tu pito ją jak ze studni i smaczniejsza jak z wodociągów.

Pracowałem nadal w Chimleschozie popychano mnie wszędzie i do wszystkiego, mój anioł stróż wysłał mnie na wieś do kolchozu 70 kilometrów od Suzunu do prac na roli, pamiętam tych wolnych ludzi w kolchozie, obraz nędzy i rozpaczy. Oberwani, głodni, mniej dawali im chleba jak nam, dostawali pracujący 400 dzieci i nie pracujący 300 gram.

Od śmierci ratował ich las, tam nakładali wnyka, zbierali grzyby, jagody, niektórzy mieli fuzje jak za króla Ćwiczka, jednorurki nabijane od przodu, takie cudo pierwszy raz w życiu widziałem, chyba lepszą broń mieli Indianie w 1800 latach.

Napatrzyłem się na tą biedę, lżej mi się zrobiło że nie tylko my biedujemy, biedują i ci którzy śpiewają „Szyroka strana maja radnaja, gdzie tak wolna dyszet czelawiek”. Opowiadał mi Borys, że jego ojciec jeszcze za cara, gdy szedł spać zostawiał na podwórzu na ławie garnek mleka, kawałek słoniny i kołacz, żeby nie budzić go w nocy. Zostawiał to zesłańcom z czarnymi biletami którzy nie mieli prawa przebywać dłużej jak 24 godziny w jednej miejscowości.

Po dwóch tygodniach wróciłem z tego kolchozu, zapomniałem nadmienić, że musieliśmy raz w tygodniu stawiać się w tutejszym NKWD na odmietkę sprawdzali z listy czy wszyscy są obecni, mnie nie było dwa tygodnie, posadzili mnie do więzienia, tego którego pomagałem budować, do dziś nie wiem za co, przecież Miłuszkin sam mnie wysłał, nie było komu się pożalić przecież nie jemu który sprawował najwyższą władzę, był bezkarny, a nas karano za nic.

W lipcu tego roku matka moja z koleżanką uciekła zaczął się sądny dzień dla mnie i innych zsylnych. Przesłuchania w NKWD, szykany, straszenia, a najgorsze że musieliśmy dwa razy dziennie chodzić na atmetkę. Bo przedtem, cały tydzień była jakaś szansa ucieczki, teraz już tej szansy nie było, jeśli rano przed pójściem do pracy nie było człowieka, natychmiast była pogoń, mnie męczono najwięcej bo moja matka uciekła, szykany, groźby, nic nie pomogły, bo który syn sprzeda swoją matkę. Dali mi wreszcie spokój.

Matkę złapali dopiero po dwóch latach, ponownie była sądzona, dostała 10 lat obozu, wywieźli ją do Magadanu, gdzie pracowała w odkrywkowej kopalni złota. Za dobre sprawowanie zniżyli dwa lata, do domu wróciła dwa lata przede mną.

Ostatni raz widziałem matkę jak przywieziono ją do Suzunu a Miłuszkin z satysfakcją i ironią widzisz znaleźliśmy ją, tylko teraz ma inny wygląd. Była dobrze ubrana, wyglądała młodo i ładnie. Następane spotkanie z matką było po jedenastu latach.

NASTĘPNE ARRESTOWANIE

Mieszkałem w tym czasie u pani Chudzikiewiczowej matki Staszka który był ze mną w Czernogorsku i zmarł, pani Chudzikiewicz dostawała paczki z domu od krewnych, mąż jej zmarł w więzieniu.

Przyszedł po mnie młody milicjant, którego znałem, powiedział mi żebym się ubierał bo zabiera mnie do Nowosybirsk, samochód stał pod domem.

W drodze spytałem go o co chodzi, za co mnie aresztowano, nic nie mógł powiedzieć, tylko pokazał mi teczkę z moimi aktami zapieczętowaną. Mówiąc „Misza jej Bohu nie znaju niczego” uwierzyłem bo skąd mógł wiedzieć teczka

opieczętowana, nie wolno mu było rozpieczętować. Dojechaliśmy do Nowosybirsk, NKWD było zamknięte, było po godzinach pracy, tylko na dyżurze jakiś czekista powiedział żeby przyszedł rano. Mój opiekun nie wiedział co ze mną robić, ale że miał siostrę w tym mieście więc poszliśmy do niej, przyjęła nas serdecznie, zrobiła kolację, pościeliła dwa łóżka w jednym pokoju, widziałem jak się rozbierała, pas z naganem zapchał pod poduszkę. Spał krzepko, chrapał całą noc, ja prawie nie spałem rozmyślając, co to może być nie miałem za sobą nic co by mogło być brane pod uwagę i aresztowanie. Rano piękny, pogoda słoneczna, prowadził mnie do mojego przeznaczenia, było to wewnętrzne więzienie NKWD w centrum Nowosybirsk dobrze zamaskowane tak że mało kto orientował się, że tu może być więzienie.

Na budynku były różne szyldy, różne instytucje, tylko nie więzienie, wprowadził mnie do tego samego pomieszczenia w którym byliśmy wczoraj.

Wszedł jakiś czekista, mój konwojent oddał moje dokumenty zostawiając mnie z tym czekistą, sam wyszedł. Poprowadzono mnie korytarzami do tylnego wyjścia, które prowadziło na podwórze, które było dość wielkie, na końcu zobaczyłem wysoki mur, nad murem dach, do połowy widoczne były okna z kratami, domyśliłem się że to może być więzienie, ale jeszcze nie byłem pewny, prowadzący mnie zadzwonił, przez okienko wyjrzała twarz strażnika widząc nas otworzył furtkę w bramie wpuścił mnie, zatrzasnął drzwi na długie pół roku, wprowadził mnie do korytarza, otworzył jedną z cel, gdy się zaważalem wejść bo cela była jak komórka, ciemna i śmierdząca, otrzymałem kopniaka, drzwi się zatrzasnęły, tylko usłyszałem zamykanie zamka.

Rozejrzałem się po nowym mieszkaniu, cela mała pojedynka, w ścianie na dwóch łańcuchach przytwierdzona deska szerokości 60 cm, na noc klucznik otwierał ją z kłódki, rano zamykał na cały dzień, kibel, garnuszek, miska, to reszta urządzenia przed podaniem gorącej wody zwanej czajem „herbatą” zamykał deskę do ściany, cały dzień siedziałem na taborecie, gdy głowa ciążyła od niewyspania i znużenia, klucznik zaglądając do judasza, walił kluczem w drzwi i wymyślał od ostatnich, a gdy był nie w humorze otwierał drzwi wtedy prócz rugania dostawałem porcję kopniaków, podkutymi butami, tak było co dzień przez dwa tygodnie, dzwoniło mi w uszach, z tej ciszy żaden dźwięk nie dochodził do celi.

Korytarz wyścielony miękkim chodnikiem, podchód klucznika do judasza nie było słychać, w tym wewnętrznym więzieniu NKWD były dwie kondygnacje w górę i dwie w dół.

W nocy zapalano maszyny dizlowskie przy ich huku rozprawiano się z tymi którzy byli po wyrokach, przez pół roku tylko takie dźwięki słyszałem, ile trwogi i czarnych myśli, przeżywałem wtedy, tego nie można opisać, to trzeba przeżyć, te dwa tygodnie były wiecznością, nie wiedziałem za co siedzę, co ze mną zrobią, a spodziewałem się nic dobrego, chciałem żeby to wszystko się skończyło, więzienia lagry już wydawały się lepsze, chciałem być między ludźmi, widząc ich rozmawiając z nimi, bo nie ma nic gorszego jak więzienie specjalne NKWD w pojedynce.

Mijały dni, rozmawiałem sam ze sobą, myślałem że dostanę obłędu, ile myśli i wspomnień przewinęło się przez mój mózg to nie podobna opisać.

ŚLEDZTWO

Wreszcie któreś nocy zabrano mnie na „dopros” śledztwo przesłuchanie, doprowadzono mnie do frontowej kamienicy drugie piętro, lato, okno otwarte, tak że słyszałem śpiewy rozmowy na ulicy.

W pokoju siedział młody śledczy o twarzy zbira ale z krzywym uśmiechem na twarzy, kazał mi usiąść na taborecie, pouczył mnie jak mam zachowywać się w czasie śledztwa, ręce na kolanach, nie spać i nie ruszać się.

Zaczął się, imię, nazwisko moje, imię ojca, matki, data urodzenia, dzień miesiąc rok itd. do jakiej organizacji należę, tylko nie pytali o dziadka i babkę, potem była przerwa, pisał coś, wychodził przychodził, pił herbatę, jadł kanapki, palił, a reflektor nastawiony na moją twarz, oczy piekły paliła mnie twarz.

Kiedy gasił zaczynałem drzemać, wtedy budził mnie pięścią, wymyślając mi od najgorszych, ubliżając matce, powtarzał dla kogo pracowałem, jakie miałem zadania szkodzić walecznej armii radzieckiej itd, gdy nie otrzymywał odpowiedzi taką jaką chciał pieklił się jeszcze gorzej.

Nad ranem widząc że nic ze mnie nie wydusi, wyciągnął z biurka opalony papier z moją fotografią więziennym numerem na piersi. Poznałem to była moja karta identyfikacyjna, którą robią na całym świecie aresztowanym u nich też. Teraz już wiedziałem o co chodzi, ale nie wiedziałem że ta opalona karteczka aż tak mnie obciąży spytał to ty, to twoje zdjęcie, odpowiedziałem tak, że byłem aresztowany w łapance w 1940 roku i za co, i że nas wszystkich którzy nie zostali zabici puszczono bo byliśmy niewinni.

Uśmiechnął się szyderczo mówiąc, kto siedział na gestapo nikt nie wracał żywy, ciebie puścili bo przyrzekłeś współpracować z nimi.

Te słowa powiedziane jak maczugą w głowę, ciarki mnie przeszły po ciele, a on się uśmiechał, zadzwonił, przyszedł strażnik, kazał mnie zabrać, gdy przyszedłem do celi, łóżko już było zamknięte do ściany, chleb i kipyatok na taborecie, tego dnia zabrano mnie z celi, wprowadzono do innej, tam już był lokator, a była to taka sama, tylko miała o jedną deskę więcej i wyżej dla mnie, bo niżej był mój towarzysz niedoli, morderca który zamordował małżeństwo w celu rabunkowym, nazwisko jego pamiętam Piotr Demidow, dla mnie był uprzejmy, poczułem się lepiej choć niepewnie być z mordercą w jednej celi, ale już nie byłem sam, miałem z kim porozmawiać, opowiadałem o sobie, on mi opowiadał o sobie.

Czas leciał szybciej, w nocy śledztwo, w dzień nie można było spać, coraz gorzej się czułem fizycznie i psychicznie, byłem tak otumaniony że zataczałem się.

Zmieniono śledczego, zaczęły się od nowa te same pytania, te same sztuczki, znęcanie się fizycznie i moralnie, myślałem że już dłużej nie wytrzymam, ale człowiek wytrzymuje więcej od żelaza.

Śledczy zaczął z innej beczki, zaczął prośbą namawiać do przyznania się, dawał nawet machorki mówiąc jaki on dobry, nie chce mego zła chce tylko ukończyć moją sprawę, za przyznanie się dadzą mi mniejszy wyrok, ja będę miał spokój i on też. Wiedziałem że oni też mieli limit, czym więcej spraw oddawali do sądu, tym większe otrzymywali pobory i awanse, byłem walkowany cztery miesiące. Nie przyznawałem się do tego czego nie było, on się wściekał, ale musiał zakończyć sprawę podpisałem ukończenie śledztwa paragraf 204 śledztwo ukończono, teraz czekałem na sąd. Mego współlokatora też śledztwo ukończono teraz razem czekaliśmy na sąd, pozwolono nam na 15 – minutowe spacery, okazało się że opodal znajdowała się szkoła, słyszeliśmy hałasy dzieci biegające na przerwach.

Więc więzienie i szkoła prawie razem, tak to było w czasach słonecznego Stalina, dzieci śpiewały Stalin słońce, powietrze i woda, w takim powietrzu wychowywano komunistyczną młodzież.

Pamiętam w przesłuchaniu śledczy pokazał mi portret Dzierżyńskiego mówiąc dlaczego ty nie jesteś takim Polakiem jak on, wskazując palcem na portret, a ja widziałem go jako Mefistofelesa, teraz już tylko czekaliśmy na sąd.

11 maja 1948 roku wyprowadzono nas na korytarz, zaczęło się wywoływanie więźniów, wywołano szesnastu, sprawdzali jeszcze raz w kartotekach, wyprowadzono nas na dziedziniec, tam przyszedł oficer NKWD o tępej twarzy, szerokim podbródkiem i skośnych czarnych przenikliwych oczach przechodząc obok nas patrzył każdemu w oczy wybierał po jednym, wybrał sześciu, mnie, Piotra i jeszcze czterech, kazał nas kuć razem za jedną rękę, jeden do drugiego, tak parami wsadzono nas do więźniarki „suki” powieszono nas na sąd po drodze z wojewódzkiego więzienia zabrano jeszcze trzy osoby w tym dwie kobiety, jechaliśmy jak śledzie brakowało nam powietrza szczęście nie trwało to długo, po godzinie wprowadzono nas do sądu umieścili nas w piwnicy. Wywoływano nas pojedynczo, ja byłem siódmym, prowadziło mnie dwóch wojskowych w pełnym uzbrojeniu nawet ze sztykiem na karabinie.

S A D

Wprowadzono mnie na salę rozpraw posadzono na taborecie, po obu stronach okrągła barierka z dwóch części zamknięto ją na skobel, obok dwóch żołnierzy.

Sala była ogromna, na końcu sali stół nakryty czerwonym płótnem, po chwili z bocznego wyjścia wyszło trzech ludzi, tak zwana trojka, kazano mi wstać. Zaczął się sąd, wyczytanie wyroku po sprawdzeniu nazwiska, imię ojca, wyczytano z kartki, nie było żadnego obrońcy, nie dali mi słowa na moją obronę. To nie był sąd to była farsa, a po mojemu kołomyjka wyrok brzmiał rozstrzelanie, z prawem pominięcia kasacji to było moje szczęście, wstali, wyszli sprawa skończona.

Mnie jakby prąd poraził, pierwszy raz w życiu poczułem jak włosy się unoszą. Siadłem bo nogi odmówiły posłuszeństwa. Bojcy otworzyli barierkę, wzięli mnie pod rękę, wyprowadzili. Dopiero w piwnicy doszedłem do siebie, gdy przyprowadzono Piotra spytałem go o wyrok, z uśmiechem powiedział dwadzieścia lat.

Człowiek który ma na sumieniu śmierć młodego małżeństwa dostał mniej ode mnie, taka była sprawiedliwość sądów stalinowskich.

Powieźli nas do wojewódzkiego więzienia tych z wyrokiem śmierci osobno do cel. Śmiertelników było nas dwóch ja i jeden Ukrainiec, polityczny, reszta to bandyci i złodzieje.

Opisywać warunków nie będę, gdyż nie jest to powieść, lecz pamiętnik troszkę rozszerzony gdybym pisał powieść byłoby na pewno dwa tomy książka. Bo dosłownie, dzień po dniu, byłaby dwutomowa książka może nudna ale prawdziwa.

Po kilku dniach otworzyła się karmuszka (dziura w drzwiach przez którą wydają posiłki), usłyszałem swoje nazwisko i dyżurny podał mi druczek do wypełnienia, dostałem też pióro i atrament. Wypełniłem.

Ujrzałem jakieś nadzieje życia, teraz czekałem z niecierpliwością prosiłem Boga o zmiłowanie, tak chciałem żyć.

Każdy dzień stawał się miesiącem, a trwało to oczekiwanie prawie ponad trzy miesiące niepewności i udręki, w celi było nas pięciu, jedni już wysłali, inni nie, wszystko w celi było przytwierdzone do betonowej podłogi i ścian, nawet pokrywka od kibla no i sam kibiel był zamknięty do podłogi na kłódkę.

Co tygodnia obowiązkowo podrzucano nam nowych śmiertelników, maszyna sądowa pracowała na pełnych obrotach.

Wreszcie przyszła odpowiedź, wyczytano mi na korytarzu więziennym nowy wyrok, motywując mój młody wiek i dobroć przywódców SSSR. 25 lat katorżnych robót, 5 lat zsyłki i 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Nazywało się to cała katuszka takich spotykałem mało.

Mając 25 lat otrzymałem 35 lat wyroku, liczyłem ile lat będę miał gdy wyjdę na wolność doczekawszy się ukończenia wyroku, obliczyłem sześćdziesiąt lat, jak dobrze pójdzie, choć w to wcale nie wierzyłem.

Teraz już tylko oczekuję na wysłanie do lagru, ale minie parę miesięcy i kilka cel w tym więzieniu.

O B O Z Y Z S R R

Późna jesień 1948 roku wreszcie etap do przesylnego więzienia Tajszet w obwodzie Irkuck, wieża Babel, wiele narodowości z całego Związku Radzieckiego Europy i Azji.

Japonii, Korei, Chin, jeden język – rosyjski, rozmowa z tymi ludźmi wszystkich narodowości i ras to rozmowa jak niemego z głuchym, ale jakoś się porozumiewali.

Cztery tysiące ludzi na tak małej przestrzeni 1/3 kobiet, starych i młodych w osobnym baraku, ale łaźnia, stołówka jedna, więzienie też jedno. W tym ustroju w więzieniach są więzienia, lagrach karcer, bur „Barak usilnego reżymu” nie licząc miast, miasteczek, posiołków, wsi. Jednym słowem cała Rosja była więzieniem, kary drakońskie, wyroki straszne, za najmniejsze przewinienie 10 lat, to nazywali bałtownia. On powiedział, ktoś coś dodał i sygnął i już paragraf 58 i wyrok. Kto dostał 10 lat śmiano się i mówiono, na kiblu przesiedzisz „zima leto, zima leto, sroka niето”.

Zacząłem się czuć ważnym, bo do skazanych na tak zwaną katuszkę, wewnątrz odnoszono się jak do kogoś ważnego wśród więźniów.

Lecz enkawudziści i ich pomocnicy traktowali nas najgorzej i z góry, jak najgorszych wrogów radzieckiego państwa i narodu.

Przydzielano nas do najgorszych prac, nazywano nas polskimi panami i faszystami, a mowę polską nazywali mową żmii, drażniąc nas że mówimy psze, psze, psze, syczymy jak żmije. A mowa nasza nie ludzka, musieliśmy wszystko przyjmować w milczeniu, jeden nie wytrzymał i odgryzł się po polsku, choć go nie zrozumieli, ale dostał kolbą i posiedział pięć dni w karcerze.

Na razie przeżywałem bardzo głód, ciężką pracę, ale byłem grzeczny, tylko wszystkie niesprawiedliwości zapamiętywałem, do czasu gdy mnie nauczono właśnie w burze, w którym siedział Hiszpan, wywieziony w latach trzydziestych, jako syn komunisty, skończył szkołę w SSSR, a że był porywczy jak wszyscy południowcy, dostał 20 lat, spytał mnie jaki mam wyrok, powiedziałem że mam całą katuszkę.

Powiedział mi, jak myślę przetrwać, to muszę go posłuchać co mi powie, że muszę się nauczyć jak mam dalej postępować, nie bać się niczego i nikogo. On ma na swoim rozkładzie, jednego porzniętego, jednego kucharza, któremu obciął ucho i wrzucił do kotła z zupą. Teraz boją go się wszyscy. Pokazał lewą dłoń, w której brakowało palca wskazującego, opowiedział jak pracował w lesie, a że się objął, konwojent krzyczał, wymyślał mu, kłął od matki, aż go zdenerwował, wziął siekiere położył dłoń na pieńku, odrąbał sobie palec. Podeszedł do konwojenta, siedzącego przy ognisku, krew się lała z odciętego palca, mówiąc: „chcesz, to się napij mojej krwi”. Zabrano go do szpitala, od tego czasu miał mir wśród swoich i eskorty bano się go, już nie wyprowadzano go do lasu, zostawał w lagrze, objął się jak mógł.

Dano mu brygadę wyczerpanych ludzi (tzw. dochodiagów), którzy ledwie mogli chodzić, zamiatali stołówkę, rąbali drewno do piekarni, palili w kotłowni w łaźni, Sieroża ich pilnował.

Gdy okradł kaptiorkę, domek w którym przechowywano produkty z paczek więźniów, które otrzymywali z domów, w baraku nie mogli mieć bo w nocy okradano ich, lub zabierali siłą, do tego dostawali lanie, gdy się sprzeciwiali. Za to Siergiej dostał trzy miesiące buru, było nas czterech, ja, Siergiej, stary Sybirak zwany pacharz, który zabił przewodniczącego kołchozu, dwóch Węgrów młody chłopak i jego wuj. Było to po wysłaniu nas do stacji Wicharowka na wycinanie przesieki pod tor kolejowy, na budowę Brackiej Elektrowni i tamy na Angarze, była to mordercza praca, dużo umierało nie wytrzymując tego tempa prac, wielkie mrozy, choroba zwana skorbutem „cynga”, umierali jak na Białokanale, czy Komsomolsku budowanym więźniami, a chęlpiono się że budowali Komsomolcy, ale naszymi rękami, o tym wiemy tylko my.

Pracowałem ciężko, chleba dostawałem najmniejszą pajkę, bo brygadzista miał swoich ludzi, którzy mu usługiwali, musiał ich dobrze karmić, karmiąc ich odbierał nam.

Czułem się coraz słabiej, ciężka praca, niedożywienie, a do tego brygadzista miał na mnie oko, pracowaliśmy na wykopach pod kanalizację głębokości 3 i pół metry, bo rury nie zamarzały na trzech i pół metrów, praca była na dwie przerzutki ziemi do góry.

Zmęczony, wygłodzony około południa odpoczywając chwilę usnąłem na stojąco w wykopie na dole, o pierwszej godzinie przywożono nam obiad.

Zawsze przed obiadem przeliczano nas czwórkami, brakowało jednego, przeliczono jeszcze raz, nie zgadzało się, wtedy zaczęły liczyć z kartoteki, dowiedziano się która brygada i kogo nie ma, kazali brygadziście szukać mnie. Wziąwszy trzonek od łopaty znalazł mnie śpiącego. Usłyszałem jego głos i uderzenie po plecach, zacząłem się wdrapywać na górę, on cały czas okładał mnie trzonkiem, biegłem jak bity pies, aż do szeregu czekających, ja spocony od biegu i bicia, on od bicia. Naczelnik konwoju jeszcze zrugnął matkę moją i wszystkich krewnych i mnie zarazem, że dwustu ludzi czeka na obiad a ja śpię.

Rozpuszczono nas na obiad, ja już jeść nie chciałem, choć byłem głodny. Byłem strasznie zdenerwowany i zły, pierwszy raz w życiu tak mnie bito jak psa, na oczach wszystkich. Błysła mi myśl szaleńcza, wszystko mi jedno, tak żyć to lepiej zginąć, zabiję go, ale jak to zrobić, byłem słaby ciałem, ale dusza moja była silna, charakter też, a więc odwet, poszedłem na skład rupieci, wyszukałem stary, może metrowy łom żelazny, zarzuciłem kufajkę na ramię żeby ukryć łom, trzymałem go w ręku. Teraz już tylko poszukać go i uderzyć, był wysoki dobrze odżywiony z wielką czapką uszanką na głowie, wyszedł ze stołówki, taka buda z desek, z papierosem szukając ognia, pod murem stało kilku ludzi palących, podeszedł do jednego z nich, nachylił się przepalając, w tej chwili podskoczyłem uderzając w głowę, upadł jak rażony piorunem. Zacząłem uciekać, cały czas trzymając łom w ręku, oglądając się, czy któryś z jego pomocników nie biegnie za mną. Gdyby dopadli mnie byłby lincz, uciekałem na wartownię, około 100 metrów strażnik stojący na

wyżce, widząc że biegnę na wartownię trzymając łom w rękę, krzyknął stój, a strażnik który był w budce przy wrotach też widział mnie, otworzył rygiel a drzwi otworzyły się, wpadłem w wąskie przejście, usłyszałem rzuć łom i ręce na tył, gdy to zrobiłem poczułem kajdanki na rękach. Spytał co zrobiłem bo widział przez okienko zbiegowisko ludzi, powiedziałem że wykończyłem brygadiera, spytał którego, odpowiedziałem Łochmatowa, wtedy on zaczął mnie rugać, że najlepszego brygadiera zabiłem. Zakręcił korbką telefonu zażądał dwie „biedki” furmanki ja stałem z rękoma skutymi do tyłu, po pół godziny przyjechała pierwsza, która zabrała brygadzystę, po chwili zabrano mnie drugą.

W lagrze poprowadzono mnie do ziemlanki karceru, schodząc po schodkach, cały czas dostawałem kopniaki, po otwarciu drzwi dostałem ostatniego kopniaka tak że zatrzymałem się na pryczy.

Była to sobota, skuty siedziałem całą noc, całą niedzielę, dopierow poniedziałek, około południa drzwi się otworzyły w nich stał inny strażnik, zobaczywszy mnie skrzywił się i spytał, od kiedy tu jestem i dlaczego tak śmierdzi.

Odpowiedziałem że jestem od soboty, a śmierdzi bo się obesrałem i obsiusiałem, bo mam skute ręce, pobiegł na dyżurkę po klucze, gdy rozkuł mi ręce, spytał czy dawali mi jeść, zaprzeczyłem że nie. Wyszedł i po krótkim czasie przyniósł kociołek zupy i cały chleb, powiedział żebym jadł, a on idzie obrugać tego który nie zawiadomił go że jest więzień w karcerze. Widząc że ten strażnik jest trochę ludzki co się rzadko zdarza, poprosiłem go naczelnik daj tytoniu na skręta, spojrział na mnie wyciągnął machorkę nasypał mi na dłoń. Dał kawałek gazety parę zapalek oderwał z pudełka kawałek tarki i powiedział tylko nikomu nie mów.

Podziękowałem, gdy wyszedł skrzywiłem skręta zapaliłem a że byłem najedzony, paliłem z rozkoszą, myśląc jednak niektórzy są ludzcy, a takich spotkałem niewielu.

Od tego dnia dostawałem jedzenie normalnie, tak mijały dni i noce a było ich sporo, najgorzej dokuczał chłód, w dzień robiłem gimnastykę starając się zagrzać, gorzej było w nocy, nie mogłem zasnąć z zimna. Myślałem nocami o całym moim pieskim życiu, jak spałem na zsyłce pod przyczepą traktora na ziemi na podwórku noc była chłodna, poczułem ciepło na plecach, odruchowo pomacałem to ciepłe miejsce. Był to nasz podwórkowy pies, on też marzył i tulił się do mnie, grzejąc się grzał mnie, tu nie było psa, takie myśli przesuwają się w moich tak ciężkich chwilach samotności.

Niby wiosna, ale u nas tu marzec jeszcze mrozi i „burany” zamiecie śnieżne, tak że do stołówki szło się trzymając się liny żeby wiatr nie przewrócił.

Którejś nocy otworzyły się drzwi karceru, weszło dwóch strażników, krzyżąc zbieraj się i wychodź tylko prędko wyszedłem ciemno nic nie widać, w dali zobaczyłem samochód więźniarkę, parę ludzi, pies szczekał.

Domyśliłem się że wywózka, i tak też było, ucieszyłem się że nareszcie skończy się moja gehenna, może dostanę się do lepszego lagru, a mam za sobą na razie 7 lat.

W każdym inny nazywany numer na plecy, piersi i jedną nogę, żaden skazany nie przebywał dłużej jak sześć do dziewięciu miesięcy, chyba wyjątki dłużej. Listy można było pisać dwa do roku, tylko parę słów. Jestem zdrow, pozdrawiam wszystkich traktując mnie dobrze, jeśli coś więcej list nie dochodził, list z domu szedł trzy cztery miesiące czasem dłużej. Bo w tym czasie przenoszono mnie do innego obozu list błędził od lagru do lagru.

Wpakowano mnie do więźniarki, tam już było pełno takich jak ja „niebłagonadiożnych” „nienadiożnych” Pojechaliśmy do nowego lagru. Rano wyładowano nas pod bramą, siedzieliśmy na śniegu, wyszedł Naczelnik ze swoją świtą przeglądając personalia, akta, wyczytany kazano wejść, mnie nie chcieli przyjąć, okazało się że jestem z tych najgorszych „niebłahonadiożnym”. W moich aktach są na razie dwie grube krechy czerwonym ołówkiem podkreślone, popytkak pobiehu i popytka k ubijstwu. Zamiar ucieczki i zamiar pozbawienia życia, okazało się że mój brygadier żyje, leży w szpitalu w Bracku na lewostronny paraliż.

Ucieszyłem się że żyje, równocześnie spierała mnie duma, że do końca życia będzie wspominał tego tak bitego i sponiewieranego Polaczka z syczącą mową, nie chciałem zabijać i Bogu dzięki tak się nie stało. Zmuszono mnie do tego czynu i do dziś nie żałuję tego co zrobiłem. Może dzięki temu do dziś żyję.

Konwojent widząc że naczelnik nie chce mnie przyjąć, zawołał do kierowcy „Wańka! zawadi maszyny!” Wsiadł do samochodu, odjechali. Nasz naczelnik widząc że konwojent kazał zapuścić samochód zmuszony był przyjąć mnie, w lagrze zlecieli się brygadziści, każdy chciał przyjąć najlepszych do swojej brygady, mnie nie chciano przyjąć do żadnej z brygad, nikt nie chciał takiego robotnika który dybie na życie brygadzysty.

Zostałem bez brygady i bec chleba, dzięki Polakom, którzy byli w każdym lagrze nie pozwolono mi umrzeć z głodu, nadliczbowo przyjęto mnie do spania, we dwóch na waleta, trwało to dwa tygodnie, aż wezwano mnie do politruka który zajmował się takimi sprawami, spytał mnie czy nie chciałbym pracować na lesopowale, odmówiłem, wtedy on powiedział że będę pomocnikiem dziesiątnika, markirowszczykiem, praca nie ciężka a pajka wielka.

A więc liczą się ze mną, zgodziłem się z ociąganiem, nie chcę kłopotów ze mną, ciągle bury, karcery, odmawianie ciężkich prac, tak robiłem jak nastawił mnie Siergiej, nazywano go głoworezem, on nauczył mnie najwięcej jak mam żyć żeby przeżyć.

Moim szefem był Żyd Tajmanow, miał wyrok mały za bałtowniu dziesięć lat, był uprzywilejowany u nich pracowało się dobrze, cały dzień siedzieliśmy przy ogniu, na dwie godziny przed ukończeniem pracy, zaczynaliśmy markować powalony las i liczyć pracuły, normy młoteczkami odbijałem sort zciętych drzew a było trzy sorty 0 odborny I kategoria II III to już na opał, wszystko było cięte na sześć metrów długości tak że po dwóch godzinach kończyliśmy naszą pracę Tajmanow był zadowolony że po miesiącu umiałem sam znaczyć i obliczać, miał ze mnie pożytek a ja z niego.

Pewnego dnia przysła z Moskwu wiadomość że rodzina stara się o rewizję procesu, po paru tygodniach pojechał,

ja zostałem sam, wezwał mnie politruk spytał mnie czy nie mógłbym sam prowadzić pracę, dostanę pomocnika, jestem mianowany dziesiątnikiem. Co miałem lepszego zrobić, zgodziłem się. Ale teraz zakres obowiązków spoczywał już tylko na mnie. Około dwustu ludzi wyprowadzić do pracy, naliczyć procenty. Karmić ich a jeść chcieli dużo, a pracować mało, normy były wysokie, nie do wykonania, a żeby dostać 650 gram chleba trzeba było 101 procentów

750 „ „ „121,
850 „ „ „150”

A naprawę wykonywali normę w 50–60 procentach. Resztę trzeba było dopisywać z powietrza. Gdy było mi już tego za dużo, powiedziałem że już więcej nie piszę.

Jeden z brygadzystów wstał i powiedział, Miszka powiedz czy chcesz żyć, odpowiedziałem, głupie pytanie, odpowiedział mi, chcesz żyć to pisz procenty, w Związku Radzieckim lasu dużo, wystarczy wszystkim.

Pomyślałem ma rację, muszę ludzi karmić jak chcę mieć głowę na swoim miejscu, bo były wypadki kto nie chciał podporządkować się temu, tracił życie, w lagrach są paragrafy nie pisane, ale trzeba ich przestrzegać więcej jak pisanych.

Donosicielstwo kara się śmiercią, widziałeś nie powiedz, słyszałeś, nie słyszałem. Kogoś zadusili ręcznikiem, wzywali cały barak a lenikt nic nie widział i nie słyszał, wszyscy spali choć cały barak był ludzi a pora była nie do spania, nie się nie dowiedziano kto zadusił.

Do końca roku pisałem procenty i pisałem, ludzie mnie szanowali. Ci którzy dostawali paczki z domu dzielili się z brygadzystami, a oni ze mną, żyło mi się nie najgorzej tylko brakowało mi wolności.

Ta idylla trwała do końca 1949 roku, po nowym roku przyjechało z Irkucka całe naczalstwo, by sprawdzić stan na birzy, bo w dokumentacji przez cały rok dostarczanej do Irkucka, oni przesyłali je do Moskwy.

Wiedziałem że teraz nade mną wisi tęgi bat, dziesięciu brygadzystów zaczęło mnie uspokajać, mówiąc że nic wielkiego mnie nie zrobią, bo już dodać mi nic nie mogą a jak dodadzą te parę lat do pełnego to i tak nic nie znaczy, uspokoiłem się myśląc co wisi nie utonie i tak dobry koniec mnie nie czeka.

Z początkiem roku 1950 zaczęły się przesłuchania przez politruka, przedtem zdjęto mnie ze stanowiska, do szeregowego więźnia, do pracy nie chodziłem, bo odmówiłem pracę w lesie, zamknięto mnie ponownie do buru na trzy miesiące.

N O W Y E T A P

Po ukończeniu kary, zabrano mnie i mnie podobnych na etap do Omska, na budowę rafinerii naftowej, „Niefti peregonnui zawod”.

Znowu krajoznawcza podróż, bez pieniędzy na koszt naszego Kochanego Kraju, Brack, Wicharewka, Irkuck, Tajszet, Kańsk, Krasnojarsk, Aczyńsk, Nowosybirsk i wreszcie Omsk.

Potężny lagier za miastem, niedaleko wielkiego garnizonu wojskowego, do pracy chodziliśmy trzy kilometry, zaczęły się roboty ziemne pod kombinat, kopanie na głębokości czterech metrów. Pracowano od rana do wieczora z godzinną przerwą na obiad, który nam dowożono z lagru. Jedyną nagrodą i przyjemnością było to, że mogliśmy zobaczyć kobiety, choć z daleka, ale kobiety z krwi i kości, młode i niebrzydkie.

Naprzeciw nas, po drugiej stronie ulicy pracowały więźniarki, zasypując żużlem strychy nowych domów tak zwanych fińskimi.

Widząc nas mężczyźni otwierali okienka na strychu, ściągali spodnie, goły brzuch i uda trzymając się za przyrodzenie wołały do nas: „Aj małczyki towar propadajet” bijąc się po tej części ciała, a ono było młode, jędrne, na taki widok oczy nam wychodziły z orbit, taki widok nie widzieliśmy od lat, dziękowaliśmy im za tą nagrodę, którą nam ofiarowały, robiły to co dzień drażniąc nas tak długo aż nadzorca krzychał wymyślając im od najgorszych, gdy odchodził zaczynało się od nowa, nas też pędzono do roboty. A sami też ochoczo podglądali te delicje. Czasami rozpiwały kufajki pokazywały piersi trzymając brodą koszulę, cały czas krzycząc chłopaki taki towar przepada. Życie tych młodych dobrze zbudowanych dziewcząt było takie same jak nasze.

Nam mówiono żyć będziecie ale... nie zechcecie, to była prawda, ale połowiczna, jednak w najgorszych warunkach, tak bardzo chciało się kochać, śniło się, przeżywało się, wiedząc że to jest niemożliwe.

Miałem 27 lat, myślałem co czeka mnie dalej jeśli przeżyję tą gehennę, w co wątpiłem, bo dla nas politycznych nie było nigdy amnestii, wszyscy musieli odbywać swoje wyroki jak mówiono od dzwonka do dzwonka, Nieraz myślałem nawet jak odbędę swój wyrok co ze mnie zostanie, liczyłem że będę starym zrujnowanym człowiekiem któremu już nic nie będzie potrzebne do życia, prócz samego życia! Ale brałem się w garść i zaczynałem myśleć o czym innym.

Ze mną w brygadzie był Rosjanin ze Świerdłowska Sasza Zacharow, służył w marynarce wojennej na Cichym Oceanie T.O.F. pewnego razu był pijany i po sprzeczce z oficerem uderzył go w twarz, choć jak mi powiedział nie za darmo dostał 25 lat z paragrafu politycznego. Zły był na wszystko i na wszystkich, najgorzej nienawidził przewodców.

Polubiliśmy się, mieliśmy ze sobą wspólny język, ze wszystkiego mi się zwierzał, ja jemu też, był wesołym ładnym chłopakiem, tylko lubił pić pił czefir, gdy wypił nie daj Boże żeby ktoś stał mu w drodze, nie było silnych dla niego, każdemu dał radę, kto go znał obchodził go z daleka.

Wychodzimy ze stołówki ktoś go zaczepił nawet nie zauważyłem, Sasza od razu zareagował pięścią, nie wtrącałem się, widziałem że wspaniale daje sobie radę, a leżącego się nie bije, ale gdy tego leżącego kamraci natarli na Saszę, ja rzuciłem się do ataku, tak zaczęła się niezgorsza rozróbka, za nami stało kilku chłopaków z naszego baraku, zaczęło się

lanie, krew się lała z Saszy nosa, ja miałem podbite oko, ale walka trwała nadal, aż wkroczyli strażnicy do akcji, lali wszystkich klamrami od pasów, jedni pouciekali nas zabrano na wartownię, z wartowni poprowadzono nas do karceru, za tą rozróbę dostaliśmy po miesiącu Buru z wpisaniem w akta, niepoprawni rozrabiacze, a że mieliśmy już krechy w naszych aktach, doszła jeszcze jedna, ale Sasza się chwalił, że ma ich więcej ode mnie.

Pewnego dnia wezwano nas do operatywnej części naszego lagru. Politruk powiedział nam że mają już nas dość i wysła nas w pierwszym etapie do kopalni rudy wolframowej, praca tam nie wróżyła nic dobrego. Mówiono nam że najsilniejszy człowiek nie wytrzyma dłużej roku, umiera albo zostaje pół kaleką na całe życie. Po naradzeniu się z Saszą postanowiliśmy zrobić wszystko aby nie pojechać, wtedy przyszła mi myśl że możemy się samookaleczyć, Sasza nie chciał się zgodzić, postanowił sam coś wykombinować.

Miał w lagrach swego rodaka też ze Świerdłowska, który był nariadczykiem, wszystko mu podlegało w lagrze choć był więźniem ze specjalnymi uprzywilejowaniami, powiedział Saszy że postara się o azjacką fasolkę lub bobik, jest to niegroźna trucizna która wywołuje silną gorączkę.

Postanowiliśmy zrobić „mastyrkę” ale sprzyjało nam szczęście, etap na wolfram został odwołany, miano nas wysłać do Azji, Kazachstanu, miasteczko górnicze Dżekazgan.

D Ż E Z K A Z G A N

Młodzi gniewni i głupi, 1953 rok zebrano etap jedziemy do Azji, znowu krajoznawcza wycieczka, śledzie, suchary, woda, Omsk, Pietropawłowski, Celinograd, Karaganda, Atasu, Dżekazgan.

To już nie Sybir, to pustynia, niebo i piasek, ze stacji piechotą pędzono nas ponad 15 kilometrów przez pustynię, byliśmy głodni, wyczerpani, a najgorzej męczyło nas pragnienie.

Konwojenci mieli wodę w manierkach, ale też oszczędzali, spiekota okropna, z nieba leje się żar, [piasek gorący, spod nóg kurz drobnego gorącego piasku, dostawał się wszędzie, do oczu, nosa, gardła, w połowie drogi odpoczynek nad piekącym niebem, brak cienia, choćby małej chmurki, zmęczeni, przesiąknięci potem, zdawało nam się że jesteśmy w piekle, zacząłem marzyć o syberyjskim lesie zimno lepiej wytrzymałem jak gorąc.

Prowadzono nas dalej, konwój uspokajał nas że już niedaleko, wreszcie ujrzelśmy ogromny lagier na pustyni, potężne mury z kamienia, po murze swobodnie chodzili strażnicy, coś takiego widziałem jako chłopiec w kinie, walki na pustyni afrykańskiej, broniącą się załogę francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Staliśmy już pod bramą, brama żelazna otwierała ją dwóch ludzi, gdy weszliśmy, oczom moim przedstawiał się widok drugiego lagru, każdy barak miał osobną bramę, którą na noc zamykano. Wpuszczono nas do baraku przejściowego na tak zwaną kwarantannę, rzuciliśmy się do beczek z nie tak już świeżą wodą, pito do nieprzytomności, niektórzy wracali ustami i nosem.

Na drugi dzień przyniesiono nam ciepłą strawę, w baraku już mieliśmy łóżka żelazne powojkowe, materace, koce, to już dla nas był przepych, nie widzieliśmy tego przez długie lata, pod okna przychodzili starzy mieszkańcy, pytano o swoich ziomków.

Polaków nigdzie nie brakowało, poznałem Lwowiaka z Łyczakowa, jego ojciec miał piekarnię, w rozmowie dowiedziałem się że gdy będzie komisja, żebym się starał by mnie nie zapisano do pracy jako buriliszczyka. To grozi pylicą nieuleczalną, mieliśmy jeszcze dwa tygodnie, Sasza powiedział że woli więzienie jak taką robotę, ja też, zrobiono nam kąpiel przed komisją, parę litrów wody w drewnianym cebrzyku, parę gramów czarnego mydła, nie wiedzieliśmy co robić, czy się umyć, czy wypić, to kpina ale wody nie było, wodę dowozili w beczkach, bywało że nie było obiadu z braku wody, w zamian dawano suchy prowiant. Życie staowało się cięższe jak na Syberii. Komisja była śmieszna, jeden lekarz i jedna lekarka, podchodziliśmy na golasa, oni patrzyli na nas jak na bydło, szczypali za pośladki, zaglądali na uzębienie i dawali kategorie od pierwszej do trzeciej, to była farsa, kto miał pośladek miękki tylko skórka wisiła dostawał kategorię trzecią, dostawał lekką pracę, kto miał pośladek twardy, a mało takich było to już kategoria pierwsza.

Ja po pośladku i zębach dostałem jedynekę, poklepano mnie po plecach i powiedziano, budiesz charozym buriliszczikom, nie zgadzałem się, Sasza też, z początku zaczęto nas straszyć karcerem, burem, ale to nie pomagało, my śmiałyśmy się im w oczy, zaczęli pytać a co chcielibyśmy robić, bo pracować musimy. Zgadzałyśmy się z nimi, ale możemy być kucharzami, piekarzami, nawet możemy przebierać keksy, popatrzyli po sobie wiedząc że nic nie zrobią na siłę, coś pogadali między sobą, wreszcie spytali czy nie chciałbym być wajchowym w kopalni miedzi.

Wiedziałem że zmuszą do pracy, na to nie było rady, a praca wajchowego była pracą nie bij leżącego, zgodziłem się. Praca była lekka nawet nudna, czekałem na transport rudy przewożony kolejką elektryczną, ja przekładałem wajchę, mniej więcej co godzinę, resztę czasu drzemałem.

Sasza pracował w brygadzie stachanowskiej która pracowała pod skipem, wybierali urobek który spadał pod skip, trzeba było szybko pracować żeby skip mógł stać na swoim miejscu. Praca była ciężka i mokra bo lało z góry, a od doły pociliśmy się, po wyczyszczeniu, a trwało to dwie trzy godziny, wyjeżdżaliśmy na powierzchnię, suszyliśmy rzeczy i czekaliśmy na koniec szychty, Sasza chwalił sobie tę pracę i namawiał żebym pracował z nim, tak też zrobiłem.

Pracowało nam się dobrze, najważniejsze mieliśmy dużo czasu wolnego i byliśmy na powietrzu. Pewnego dnia szedłem sztrekiem, nie zauważyłem tablicę na której był napis „gazy” byłem zmęczony i mokry, usiadłem na kamieniu, oparłem się o ścianę, momentalnie usnąłem.

Gdy się ocknąłem na kolanach Koreanki, która zmieniała mi kompres na czole, spytałem co się dzieje, odpowiedziała nic, będziesz żyć, mówiąc patrzyła mi w oczy mówiła jakie masz niebieskie oczy.

Irena bo tak ją nazywali, była wolną pracownicą geologiem, brała w kopalni próbki rudy, gdy wracała zobaczyła mnie leżącego, nie dającego odznak życia, byłem zaczadzony, pobiegła do felczera, przyniesiono mnie do ambulatorium który mieścił się w kopalni dostałem zastrzyk, sztuczne oddychanie, doprowadzono mnie do przytomności.

Zawarliśmy z Ireną znajomość, była bardzo fajną babką o czarnych jak węgliki oczach, dobrze zbudowaną tylko małą co mi nie przeszkadzało, co dzień widywaliśmy się, gdy powiedziałem Saszy o mojej znajomości, zaczął mnie prosić, żebym ją poprosił o herbatę, wiedziałem o co mu chodzi, nie mogłem odmówić byliśmy przyjaciółmi na dobre i na złe.

Poprosiłem ją o to, zgodziła się z ochotą przynosząc na drugi dzień cztery paczki herbaty po 50 gram każda schowane miała pod podwiązkami pończoch, bo ich też pobieżnie rewidowano. Sasza miał święto bo wieczorem zrobił sobie czefir, częstował mnie wypilem trochę, serce biło mi jak młotem, oczy zrobiły się czerwone jak u królika, a Sasza był w swoim żywiole, szalał śpiewał mówił kawały biegał po znajomych.

Spotykaliśmy się co dzień z Ireną na kilka minut, zaproponowała pójść za nią i spotkać się w wyrobisku. Tam możemy śmiało porozmawiać, tam dała mi ćwiartkę wódki, wypiliśmy razem, ściągnęła kombinezon, tak że zatrzymał się na stopach nóg, macałem wszystko nic nie widząc, karbidówkę nie zapalaliśmy żeby nas nie zauważono.

Na drugi raz umówiliśmy się że pójdziemy do narzędziowni. Była to taka komórka wykuta w skale gdzie znajdowały się stare narzędzia, świdry, łopaty, oskardy, łomy i inne klamoty. Nikt tu nie przychodził, czasem sztygar rozkładał mapy, czasem odpoczywał czekając na robotników którzy wyjeżdżali na powierzchnię, drzwi były toporne z desek. Po paru dniach Irena przymyciła pół litra wódki, przelanej do płaskiej butelki, na zagrychę kiełbasy i bułkę, butelkę z wódką schowała do majtek, strażnicy zaglądali tylko do torby obmacywać nie mieli prawa, musiałyby być kobieta.

Poszedłem pierwszy, ona za mną nikt nas nie widział ale licho nie śpi, ktoś musiał nas śledzić, zapaliłem karbidówkę zasłoniłem deską, usiedliśmy na prycze, częstując się wódką, wszędzie cisza, zaczęła się rozbieranka, teraz widziałem wszystko przy skąpym świetle, już nie to co w wyrobisku. Zacząłem całować tulić ją, pieścić jej ciało, usłyszałem dobijanie się do drzwi, szepnąłem żeby się ubierała szybko ja też zgasilem lampę, otworzyłem, u wejścia stało dwóch żołdaków i jeden stary górnik, złapano nas prawie na gorącym, tłumaczenia nasze na nic się zdały, mnie do buru, Irenie zabrano przepustkę z naszej kopalni i przeniesiono do innej. Tak niefortunnie skończył się nasz romans, miałem tylko żal do nich, gdyby przyszli dziesięć minut później, a tak jak psu dano powąchać kość a później zabrać tak było ze mną, omal nie pękłem ze złości i miłości, ale takie jest życie, czasem trzeba pękać! Przypomniałem sobie Siergieja żeby nigdy nie pękać, a ja zaczynałem pękać.

Po odsiedzeniu w burze miesiąc, przenieśli mnie do drugiej kopalni, tam ze złości nie chciałem pracować, do pracy wyprowadzano ale korzyści z tego nie mieli, objąłem się jak mogłem, brygadziści patrzyli przez palce, dawali takie roboty że aż śmieszne. Sasza też pracował w tej kopalni, jeśli to robotą nazwać było można, dla nas nie było kary wszyscy znali nas, nie odważyli się na nas skarżyć, bo wiedzieli czym to pachnie.

SAMOOBRONA

W lagrze tworzył się ruch samoobrony więźniów, napisano skargę do Moskwy za złe traktowanie więźniów, za złe wyżywienie, za pracę bez wynagrodzenia i wiele innych punktów, motywując że długie lata pracują jak niewolnicy jeśli to się nie zmieni zaczną ogólny strajk. Więść rozeszła się po wszystkich lagrach, a lagrów było tam dużo. Pod ziemią, w kopalniach spotykano się lagier z lagrem. Wszyscy odmówili pracy, nie wychodząc na kopalnię.

Ale jeszcze czekają na odpowiedź z Moskwy.

Zaczął się popłoch u naczalstwa, obiecano, obiecankami próbowano wszystkimi sposobami zastraszyć lecz nikt nie chciał z nimi rozmawiać, czekano na Moskwę.

Pod lagier sprowadzono wozy bojowe, czołgi, demonstrowano siłę, ale to jeszcze zaogniło sytuację, słabsi duchem nic nie mogli zrobić, bo każdy ich krok był obserwowany, wiedzieli co ich czeka gdyby chcieli nas sprzedać, chcąc nie chcąc musieli być z nami, był to rok 1954 po śmierci naszego sławnego ojca Stalina.

Trwało to ponad trzy tygodnie, z naszego lagru przebito dziurę w murze do sąsiedniego lagru, którego dzielił tylko mur, a więc dwa lagry mające ponad 5 tysięcy ludzi, co było szokiem dla naczalstwa. Teraz i oni starali się monitować do Moskwy, u nas wybrano po trzech ludzi z każdego lagru, byli to ludzie światli z wykształceniem, którzy mieli nas reprezentować.

Doczekaliśmy się delegacji z Moskwy, ogłoszono przez megafony zbiórkę na placu apelowym o godzinie 13 – tej, obiad wydano o godzinę wcześniej.

Punktualnie o 13 – tej weszła delegacja moskiewska, za nią nasze władze najstarszy z naszej delegacji w pierwszych słowach powiedział że nie będzie rozmawiał póki nie usuną nasze władze lagrowe, tłumacząc tym że delegacja wujędzie do Moskwy a na nas będą się wyżywać, ludzie zaczęli bić brawa.

Kazano opuścić plac naszym władzom, znowu skandowano na cześć delegacji moskiewskiej.

Zaczął się wiec, nasz delegat wygłosił wszystkie punkty zawarte w naszym memorandum, następnie delegacja z Moskwy przyrzekła że od tego dnia wszystko się zmieni, na wszystkie punkty nie było zastrzeżeń, proszono nas żebyśmy nie pogarszali sprawy, wychodzili do pracy, a za pracę będziemy dostawać pieniądze, odliczywszy wyżywienie, odzież, spanie, pranie, tak że na rękę dostawaliśmy paręnaście rubli, ale i to było dobre bo mieliśmy na tytoń i inne

drobnostki to już dla nas było dużo, raz w roku pozwolono widzenia się z rodziną, nawet pozwolono nosić ubrania swoje w dni nierobocze. Pozwolono na noszenie zegarków i aparatów fotograficznych, poprawiło się wyżywienie ogólne bo stachanowcy dostawali z innego kotła.

Po zakończeniu wiecu delegat z Moskwy wygłosił mowę, jaka to dobra władza radziecka, jak zależy jej na ludziach pracy i jaka jest sprawiedliwa.

My z Saszką spojrzeliśmy na siebie, teraz zacznie się życie jak w Madrucie, tylko że te obietnice nie będą takie niebiańskie, ale my sobie poradzimy, jak dotychczas radziliśmy sobie.

Wiec się skończył, zaczęła się praca, czołgi spod lagru zniknęły załoga NKWD też jak gdyby przycichła, co nam sprawiło satysfakcję.

Znowu przyszła wiadomość, znowu szykuje się wywózka na rudę wolframową, tym straszili od dawna, naradziliśmy się teraz poważnie co teraz zrobimy, pozostało samookaleczenie, ale przypomniał sobie że ma ten azjatycki bobik, on dostawszy się do krwioobrotu powoduje silną gorączkę, tak zwana mastyрка, wtedy dostaniemy się do szpitala, tam już będziemy pod opieką lekarską, wtedy naczelnik nie ma nic do powiedzenia.

Sasza zdobył sztydło od szewców, pracowaliśmy na trzeciej zmianie a więc cały następny dzień mieliśmy wolne, Sasza spał obok mnie, ja jemu przebiłem sztydłem rękę, następnie on mnie. Wsadziliśmy do rany kawałek tej trucizny, trzymając palcem ranę, co chwila pytając się jeden drugiego, czy już działa, zdawało nam się że daliśmy za małą dawkę. Sasza powiedział dodajmy jeszcze troszkę, tak zrobiliśmy, wreszcie zaczęło działać, widziałem sufit podwójnie, ściany zaczęły się ruszać, Sasza spytał jak się czuję, powiedziałem że źle wysycha mi w gardle i wszystko podwójnie widzę, że to nie żarty. Zawołaliśmy starego Tatara który miał dyżur w baraku, on zobaczywszy nas pobiegł pędem do szpitala, przyszedł lekarz z felcerem, zmierzili temperaturę ponad 40 stopni, zabrano nas, znaleźliśmy się w szpitalu, dano nam jakieś pigułki i coś do picia, w nocy przychodziła siostra mierzyła temperaturę, tak półprzymiotni leżeliśmy do rana. Rano przyszedł inny lekarz Łotysz też więzień kazał nam rozebrać się do połowy, rękę miałem spuchniętą, nie mogłem zdjąć koszulę, lekarz to zauważył, rozciął rękaw zobaczywszy ranę, powiedział mastyрка i Saszy to samo. Wtedy Sasza powiedział, jeśli powiesz głównemu lekarzowi, to ci gardło zębami przegryzę. Lekarz nastraszył się i powiedział nic, nic, chłopcy leczyć będę, zabandażował nam rękę, pisząc w historii choroby Furmutkuł, czyraki, siostrze powiedział co trzeci dzień opatrunek.

Lekarz naczelnny był kapitanem NKWD dwa razy w tygodniu przychodził na kontrol. Leżeliśmy w czystym łóżku, jedzenie było lepsze tak nam leciał dzień za dniem, niepokoił się że jeszcze nie było etapu, a ręka goiła się, Sasza teraz skrobał ze ściany wapno, w nocy rozwijaliśmy bandaż, na ranę sypaliśmy wapno, rano ręka się zaogniała, siostra robiąc opatrunek dziwiła się że już było tak dobrze, a dziś jest tak źle, może coś podejrzewała, ale nam nic nie mówiła.

Wiedziałem że zagląda za Saszką, bo był ładny wesoły chłopak, mógł się podobać dziewczynom, dlatego sprzyjała mu, a że byłem jego kolegą musiała i mnie tolerować.

Leżeliśmy już trzeci tydzień, nareszcie doczekaliśmy się, etap odjechał, poczuliśmy się niezagrożeni, Sasza zaczął uciekać do zony, przychodził pijany, upijał się czyfirem, udawał że jest trzeźwy bo wiedział że się złoszcę, ale jego czerwone oczy nie dawały się ukryć.

Aż pewnego dnia przyszedł w nocy pijany, strasznie rozrabiał, zabierał się do siostr, salowych, krzyczał, śpiewał, musiałem z siostrą zabrać go na salę, rano ktoś poskarżył lekarzowi, zabrano nas do gabinetu lekarza, sprawdzono nasze ręce no i wypisano nas ze szpitala, no i tak zakończyło się nasze beztroskie życie.

Zacząła się harówka na kopalni, przeplatana rozróbami, bo bez tego Sasza nie mógł żyć, musiał być w swoim żywiole, mnie to za bardzo nie odpowiadało, życie tak mi zbrudło że postanowiłem napisać do Moskwy zażalenie że odmawiam pracę, a jeśli sądzą że jestem winny, to proszę o pierwszy wymiar kary, bo czuję się niewinnym i do końca życia nie mam zamiaru ciężko pracować w kopalniach. W tym czasie u władzy był nowy przywódca Malenkov, spróbowałem coś miałem do stracenia, wyjdzie nie wyjdzie, ale próbować można.

REWIZJA PROCESU

Po trzech tygodniach przyjechał z Moskwy zastępca głównego prokuratora ZSRR tak mi się przedstawił, mówiąc że przyjechał w mojej sprawie i od jutra zacznie mnie przesłuchiwać do rewizji procesu.

Zaczął się ponowne śledztwo, ja odpowiadałem na jego pytania, on pisał, był grzeczny nie straszył jak dawniej bywało, choć już straszyć nie było czym, już przeżyłem ogień i wodę, takie studia przeszedłem za te prawie jedenaście lat Sybiru a teraz w Azji, widziałem tylu ludzi z Europy Azji, rozmawiałem z nimi, Niemcy, Ukraińcy, Białowie, Białorusini, Koreańczycy, Japończycy, Chińczycy, nawet Czuczcy i Eskimosi prawie dziki lud, porozumiewający się na miigi, bo rosyjskiego nie znali, a ich języka też nikt nie znał. Brakowało tylko murzynów i Indian, błąby cała gama kolorów i skóry.

Po ukończeniu śledztwa przeczytał to co napisał i spytał czy zgadza się, odpowiedziałem że tak, podpisałem ukończenie śledztwa paragraf 204.

Zaznaczając że jeśli to prawda, bo podałem nazwiska tych z którymi siedziałem na Gestapo w 1941 roku, którzy też byli złapani z łapani, nie podałem adresów bo nie miałem.

Śledczy powiedział że to nic, że znajdują i znaleźli bo spotkałem kilku w 1957 roku w Opolu których wzywano do UB pytano ich o mnie, widocznie wypadło pomyślnie, bo po paru miesiącach, zwolniono mnie z trybem natychmiastowym, anulując wszystko i w pełni rehabilitując, było to w pierwszej połowie czerwca 1955 roku.

Ucieszyłem się bardzo ale jeszcze nie mogłem uwierzyć że to prawda, ale wieczorem usłyszałem swoje nazwisko przez radio kolchoźnik, teraz już byłem pewny, chłopcy zlecieli się, gratulować mi takiego szczęścia. Ale kto mi zapłaci za te lata młodości, pracy, głodu, chłodu i szykanów, rano wezwano mnie do naczelnika który pokazał mi paperek, w którym napisane było „niemiędlennno oswobodit” natychmiast zwolnić. Kazano mi zdawać rzeczy, bieliznę koc i inne ciuchy, dano mi dwa chleby, kilka śledzi i trochę cukru, kazano mi iść za bramę, zacząłem prosić żeby mi pozwolono zostać 24 godzin, chciałem się pożegnać z kolegami, którzy są w pracy, bo pracowaliśmy na trzy zmiany, nie pozwolono mi, naczelnik powiedział że napisane jest natychmiast i nie ma prawa zatrzymać mnie ani godzinę dłużej.

Ale nie mówił że muszę zrobić zdjęcie i czekać prawie tydzień na dokumenty, sprawka i bilet przejazdowy Karaganda – Lwów – Stanisławów, miałem nocować w baraku za lagrem, ale że tam były straszne pluskwy i inne insekty.

Postanowiłem poszukać znajomą z kopalni Anię pracowała na kopalni maszynistką, nieraz z nią rozmawiałem, była dobrą kobietą, mąż też był w lagrze, gdy ją znalazłem, przestraszyła się myślała że uciekłem bo wiedziała że mam 25 lat wyroku, uspokoiła się gdy jej o wszystkim opowiedziałem, poprosiłem czy nie może mnie przenocować, zgodziła się, spałem w kuchni a ona z małą córeczką w pokoiku.

Z Saszą już się nie widziałem, bo nie było można, nie miałem już chleba ani pieniędzy, parę rubli musiałem zapłacić za zdjęcie, tak że nic mi nie zostało prócz młodości i tupetu i biedy, Ania pomagała mi przetrwać tych jeszcze parę dni, nawet odprowadziła mnie do autobusu a był dobre parę kilometrów, który jechał do Karagandy, tam czekałem parę dni na pociąg Władywostok – Moskwa.

Pulmanowskie wagony sypialne komfort miałem numer 21 oczko dlatego zapamiętałem, do pociągu wsiadało dużo ludzi, był czas bo nabierano wodę, siedziałem przy oknie, zobaczyłem kobietę z dwoma walizkami, podszedłem do niej, pomogłem jej wsiąść biorąc walizki, spytałem o numer, okazało się że jest sąsiadką obok mnie.

POWRÓT DO DOMU

Tak zaczęła się moja podróż do domu, w nieszczęściu zawsze miałem szczęście, moja sąsiadka podróży zaopiekowała się mną, gdy powiedziałem że jadę z lagru do domu, nie dano mi żadnych pieniędzy tylko bilet przejazdowy, a prowiant już dawno zjadłem, teraz pozostaje mi kraść albo prosić. Uspokoiła mnie że mi pomorze, że pieniądze ma, że jedzie do Leningradu do matki, za to żebym pilnował jej walizki gdy będzie spała, bo tak kradną w pociągach, zgodziłem się bo cóż miałem do roboty, spałem w dzień ona w nocy. Na stacjach gdzie były dłuższe postoje dawała mi pieniądze żebym kupował coś do picia i jedzenia na dworcowych straganach bo tylko tam można było coś kupić, drobne nie chciała przyjmować mówiąc żebym sobie wziął mnie się przydadzą na dalszą podróż, dzięki niej nie musiałem prosić, bo innej rady nie widziałem a jeść muszę.

Dojechaliśmy do Moskwy, tu miałem przesiadkę na Lwów a ona na Leningrad, spytała czy nie chciałbym zwiedzić Moskwę, zgodziłem się, zwiedzaliśmy miasto, jedliśmy w restauracjach, spaliśmy u jej rodziny parę dni, za wszystko płaciła ona nazywała się Tatiana Szorochowa.

Na koniec spytała mnie czy nie chciałbym pojechać z nią do Leningradu, zawahałem się a szkoda, bo już drugiej takiej okazji nie miałem powiedziałem że dziękuję bardzo ale na mnie też czeka matka którą już jedenaście lat nie widziałem, zrozumiała mnie. Odprowadziłem ją na dworzec, pożegnałem gorąco dziękując jej za wszystko co dla mnie zrobiła, a zrobiła dużo, nie wiem co bym zrobił bez jej pomocy.

Pojechałem na Lwów przez Kijów. Wreszcie Lwów tyle wspomnień, moje rodzinne miasto bo urodziłem się we Lwowie na starym wzniesieniu, a chrzciliśmy się w Stanisławowie bo ojca przerwucili tam do pracy, bardzo chciałem pić poszedłem do dworcowej pijalni piwa, lato było gorące, stojąc w kolejce zauważyłem dwóch czekistów patrzących w moją stronę, po wypiciu piwa podeszli do mnie, żądając dokumentów, nic nie miałem prócz sprawki i biletu, oglądnięli oddali mi, odeszli. Pomyślałem sobie, przejechałem prawie całą Rosję, chodziłem po Moskwie i nikt mnie nie sprawdzał aż prawie w domu, na pociąg czekałem do nocy. Rano przyjechałem do Stanisławowa, jestem w domu, matki nie zastałem, pracowała w Delatynie kucharką w stołówce dla dzieci kolonijnych, tego samego dnia pojechałem autobusem do Delatyna.

Wszedłem do kuchni, matka zobaczywszy mnie omal nie upadła z wrażenia, widząc mnie całego i zdrowego, rzuciliśmy się sobie w objęcia, ciesząc się mną zarazem płacząc ze wzruszenia. Matka załatwiła mi pokój u swojej podkuchennej gdzie zostałem do końca turnusu, odpocząłem dożywając się, z dnia na dzień czułem się zdrowiej fizycznie i psychicznie, górskie powietrze i dobre jedzenie postawiło mnie na nogi, wszystko co dobre prędko się kończy, po turnusie musieliśmy jechać do domu.

Pracę nie mogłem załatwić, po ukazaniu pasportu odmawiano mi pracę, nie wiedziałem o co chodzi, miałem kolegę z lat dziecinnych, który zrobił kursy felczerskie w Odessie, dostał stanowisko kierownika sanitarnego wydziału na całe województwo, on załatwił matce pracę.

Poszedłem do niego, poprosiłem żeby pokazał mi swój pasport powiedziałem że nie przyjmują mnie do pracy po ukazaniu pasportu, przeglądaliśmy jego i mój pasport. Wszystko było takie same, tylko u niego było wyznanie grekokatolik, a u mnie rzymskokatolik, numeracja była inna, żadnych adnotacji nie było, a jednak coś musiało być, czego nie mogliśmy zrozumieć.

Próbowałem wszędzie beznadziejnie, nawet chciałem być nocnym stróżem, dowiedziałem się od znajomego że

dwóch wyrzucili z pracy za pijaństwo i są dwa miejsca wolne, on był starszym nad nimi. Ta ochrona podlegała milicji, znowu milicja, ale było mi wszystko jedno, poszedłem przyjął mnie major milicji, spytał dlaczego chcę pracować jako ochrannik, jestem młody, zdrowy dlaczego nie szukam pracy w innym zawodzie i skąd wiem że u nich są wolne miejsca itd.

Poprosił pasport, oglądnał i powiedział że dziś nie ma czasu, żebym przyszedł jutro, na tym skończyła się moja praca, miałem znajomą która pracowała na poczcie przy telegrafach, powiedziała, że gdybym miał prawo jazdy załatwiłaby pracę bo u nich brak kierowców, musiałem znaleźć pracę bo jak tu żyć i za co może czekali na to że zacznę kraść i znajdę nowy wyrok. W drugiej połowie domu mieszkała sąsiadka która pracowała w garbarni przynosiła surowe skóry, a w domu robiła resztę, ja jej pomagałem naciągać, glancować i sprzedawać chłopom. A to było niebezpieczne gdybym wpadł wpadłaby sąsiadka, poszedłem do tej znajomej z poczty doradziła mi żebym poszedł na kursy kierowców zawodowych. Kurs trwał trzy miesiące, ale kosztował 850 rubli, nie miałem tyle pieniędzy, matka sprzedała maszynę do szycia, opłaciłem kurs zostałem kursantem. Otrzymałem prawo jazdy poszedłem do znajomej z poczty, poszła załatwić mi pracę, wzięła moje prawo jazdy i pasport, nic z tego, załatwili mnie tak samo odmownie, teraz to prawo jazdy mam do dziś nie korzystając z niego, nasze władze nie chcieli mi zamienić na polskie, teraz mam trzecie prawa ale inwalidzkie, z niego już korzystam. Biednemu zawsze wiatr wieje w oczy i tak jest i było ze mną, rok 1956 jesień otrzymałem od wuja z Opola zaproszenie dla nas z Mamą i od ciotki z Wrocławia też, znowu spotkanie z milicją i też z majorem, miałem do nich szczęście. Spytał dlaczego chcę jechać do Polski, głupie pytanie, pytanie człowieka nienormalnego, pytać tego który tyle lat przesiedział, a teraz nie chcą mu dać pracę i pytają dlaczego chce jechać z raję.

Zdenerwowany i zły jak diabeł powiedziałem że jadę do kraju tam gdzie będę Polakiem, on na to no tak ale jesteś ruskim obywatelem, ja na to jestem Polakiem i polskim obywatelem, przecież macie w dokumentach, ojciec Polak, matka Polka, obywatelstwo też polskie, a wy chcecie zrobić ze mnie Ruskiego, to się wam nie uda, zrobić z Polaka Ruskiego, już cały się trząsałem ze wzburzenia. On też już miał mnie dosyć i ze złością powiedział oddając mi zdjęcie wyrwane z pasportu, huj z tobą ujeżdżaj w swoję Polsz, wstałem poszedłem do drzwi trzasnąwszy nimi wyszedłem z tego raję. Po paru tygodniach byłem w Opolu z matką potem pojechałem do Wrocławia i mieszkam do dziś, już minęło 35 lat, nie ma już kiedy żyć, życie swoje już przeżyłem, teraz czekam na koniec.

[wolne miejsce woryginale]

Mam sąsiada który jest starym stalinowcem śledczym UB niejednemu dołożył do wyroku, ma się za dobrego Polaka, tylko przeszkadza mu kościół który jest naprzeciw jego okna, mówił mi że gdyby miał armatę zestrzeliliby dzwonnice bo go denerwują dzwony.

Tłumacząc że teraz wszyscy mają zegarki radia telewizory i wiedzą która godzina, a dawniej nie wiedzieli bo nic nie mieli dlatego dzwonili żeby ludzie wiedzieli że jest południe.

W rozmowie zaczął jaka to dobra jest władza i jaki dobry jest Związek Rad. dla nas, jak nam wszystko daje, prawie za darmo, bo tak nas lubi, gdy spytałem co czyta że tak ładnie mówi, odpowiedział że czyta historię partii Marksa Engelsa, nawet dzieła Stalina i partii bolszewickiej, prócz tego nie czyta nic bo go nie interesują książki napisane przez ludzi zaślepionych w tym obrzydliwym zachodzie. Co leninowskie to wszystko dla niego dobre mówiąc jaki Lenin był dobry, jak chciał stworzyć Polskę silną i bogatą, przerwałem mu, dlaczego wysłał w 1920 roku armię Tuchaczewskiego na Warszawę, jak tak bardzo chciał Polskę silną. Spojrzał na mnie, zmieształ się, zmienił temat rozmowy, ja to nie mogłem spokojnie przeżuć, więc mu powiedziałem, że ma wąskie pole widzenia i patrzy przez końskie okulary żeby się nie płoszył, spojrział na mnie z nienawiścią. Zrozumiał że takie bublenie nie ze mną, poczułem że przysposobiłem sobie wroga, od tego czasu rozmawiał ze mną z rezerwą, a gdy zaczynał rozmowę to zawsze mówił, że Polacy nie chcą pracować dlatego jest tak źle.

Powiedziałem co on zrobił dla Polski dobrego kiedy pracował, jak jest młodszy ode mnie o 5 lat a już nie pracuje dwadzieścia, co robił przez te lata i pomyślałem ciężko pałował za to zarobił sobie na ładną emeryturę. Ale jemu się należy reszta to nieważne gdy powiedziałem że widział moją rentę, proszę żeby mi pokazał swój odcinek nie zgodził się mówiąc że to nieważne, dla niego nie, ale dla mnie tak. Więc mu powiedziałem że myślałem że jest porządnym komunistą a okazuje się że jest Bolszewikiem, myślałem że się zawstydzi, ale skąd uderzył się w pierś, uśmiechnął się mówiąc że się tym szczyci że jest bolszewikiem, nic nie powiedziałem odszedłem, na drugi dzień zadzwonił do mnie jak gdyby nic, zaczęliśmy rozmawiać przez telefon, o niesprawiedliwości komunizmu. Zdenerwował się i powiedział, że on dopiero by mi dołożył bo mało mi dali, bo wiedział za co siedziałem i gdzie, bo czytał moje dokumenty. Tak mnie zdenerwował że nie liczyłem się z nim powiedziałem, myślałem że jest człowiekiem nieważne że jest komunistą, bolszewikiem ale jest wielkim „Szują” rzuciłem słuchawkę i do dziś nie rozmawiam z nim, bo szkoda moich nerwów i tak nie mam ich silnych, zniszczyła ich komuna! Tak jak zniszczyła tyle Polaków, dawniej i dziś, a składają kwiaty na grobach tych których mordowali myśląc że są czyści bez krwi na swoich rękach, o duszę się nie martwią, bo dusz nie mają.

A my, my ich schronimy żeby im coś złego się nie stało, mamy krótką pamięć, już zapomnieliśmy ile ofiar, ile ścieżek zdrowia robili sobie z nas, dlatego tak jest, jak jest i tak zostanie, bo do dziś rządzą jak dawniej, śmiejąc się z nas jacy jesteśmy pobłażliwi w stosunku do nich, boję się że z tego pobłażania nic dobrego nie wyjdzie, ale my nigdy

nie braliśmy złego przykładu do serca, płaciliśmy dobrem za złe. Co nam na dobre nie wychodzi, a może? tym razem wyjdzie w co jeszcze raz wątpię, bo już tyle obietnic i rządów widziałem i przeżyłem, może i to pobłażanie przeżyję.

Żona jego też jeździła do Warszawy do KC a w pracy wyzywała się na pracownikach szpitala, bę była przełożoną, i wielce partyjną żoną oficera milicji toteż w 1981 roku kazała zdejmować odznaki Solidarności, bo to są rzeczy państwowe i zabrania noszenia odznak, lekarze, Dyrektor nic nie mówił a ona pielęgniarzka zabraniała.

Za to otrzymała po przyjeździe z Warszawy trzy przydziały na jaki chce samochód, Fiat duży, mały i Wartburg i otrzymała natychmiast na co są świadkowie, co znaczyło należenie do partii, ale dziś się zapomina wszystko, ale ja i tacy jak ja nie zapominają tak prędko, bo za dużo przecierpieliśmy i nigdy nie zapomnimy o tej niesprawiedliwości.

Tych parę słów na marginesie napisałem bo chcę się podzielić z kimś tą niesprawiedliwością którą my mieliśmy za dużo, a im teraz trzeba dać ochronę jak Gierkowi i innym prominentom żeby czuli się zdrowo i bezpiecznie w współżyciu z nami.

koniec brulionu 3

RELACJA

Zbigniewa Pochronia

nagrana 21.02.92 we Wrocławiu przez M.Strasz

zapis rozmowy

ARCHIWUM WSCHODNIE

UWAGA: W zbiorach Archiwum Wschodniego znajdują się także wspomnienia p.Z.Pochronia.

Mindler Jan i jego wuj, bo on był razem z wujkiem. Skorob Witold, tu na tym [zdjęciu] jest, z Lidy, spod Wilna. Chudzikiewicz Stanisław to umarł przy mnie w pierwszym łagrze...

Pyt: W Dżekazganie?

Nie, w pierwszym łagrze [w jakim byłem]. Co Pani jeszcze mogę powiedzieć? Wszystko zostało zapisane, moje trasy mogę Pani pokazać na mapie nawet.

Janowski [?] – to nie więzienie, tylko taki łagier, ponemiecki łagier. Myśmy spali na podłodze, takie klepane, bez okien, bez drzwi, to była zima, nas wywieźli stamtąd na Trzech Króli, to było już było zimno.

Stamtąd pojechaliśmy do Kijowa. W Kijowie kwarantanna. Z Kijowa pojechaliśmy do tego łagru, jak on się nazywa? Mamo, ty tam też byłaś...

Pyt: Byłam, zapomniałam... Nie był Czelabińsk?

Z.P.: A jaki Czelabińsk! Ciemnogorsk, to jest Krasnojarski Kraj, w kopalni węgla...

Stamtąd mnie wywieźli w Nowosybirską obłast, na zsyłkę 5 lat. Tam byłem niecałe dwa lata. Po 2 latach zawieźli mnie z powrotem do Irkucka i tam robili mnie drugi raz śledztwo. Śledztwo było w wewnętrznym więzieniu NKWD, w pojedyncze (tam [we wspomnieniach] piszę wszystko, to wszystko opisuję). Tam byłem pół roku w śledztwie.

Później był sąd w Nowosybirsku. Wojenny Trybunał NKWD, „trójka” tak zwana. Dali mi 25 lat łagru, 5 lat pozbawienia praw i 5 lat wysyłki. Ja mając 23 lata dostałem 35, to był już największy wymiar kary.

Stamtąd mnie wysłali do nowosybirskiego więzienia, z więzienia do łagru, z łagru do Irkucka. W Irkucku znowu łagier. Z Irkucka na budowę BAM – u. BAM to jest Bajkalsko – Amurska Magistrała, my budowaliśmy pierwsze drogi, to znaczy rąbaliśmy las i kładliśmy szyny. I tam robiliśmy tamę, która jest w Bracku. bracka tama. Oni się chwalili, że to robili stachanowcy, ci z czerwonymi krawatami. A to robili więźniowie. I tak jak obliczają, to pod każdą szpałą leży dwóch. Tam umierało ludzi jak muchy.

Stamtąd jeszcze łagry, łagry, oj Pani co pół roku, 7 – 8 miesięcy, więcej nie było – następny łagier. I tak z łagru do łagru, aż nas wysłali do Azji, właśnie do Dżekazganu, do kopalni miedzi. Tam cała rewolucja była... Przyjechali z Moskwy, dwa łagry się złączyli, tam też chyba opisuję to.

No i to nam pomogło. Bo nam powiedzieli, że będziemy mogli pisać listy, będziemy mogli dostawać listy częściej – bo listy były dwa razy w roku i tylko napisać ja pisałem: „żyw, zdrow, nachodis' tam i tam”... i wsio. Jak Pani napisała dwa słowa więcej, już list nie dochodził.

Później można było częściej pisać, ale ja nie miałem do kogo, bo mama wtedy akuratnie na Sybirze też była. Mama uciekła ze Sybiru. I za dwa lata znowu ją złapali i dostała 10 lat Magadanu, na Kamczatce.

Później w Omsku jeszcze byłem, pracowałem przy budowie rafinerii naftowej, tam też opisuję. Wie Pani, każde miasto mówić to trzeba się zastanowić i wszystko opisać: miasta, miasteczka, w tajgach takie baraki, wokoło tajga i jedziesz dzień i noc, nim się przyjeżdża, jeszcze trzeba iść cały dzień, żeby dojść do tego baraku, i tam się mieszkało. Na gołych deskach, bez posłania, bez niczego. Jak miało się kufajkę, tak się ją nakrywało. W ogóle, straszne rzeczy tam się działy. To jak opowiedziałem sąsiadowi, a on był w łagrze w Niemczech w czasie Niemców, to mówi, że tam było jeszcze dobrze, bo oni spali w ziemiankach połowę w wodzie. Tak że wszędzie było niedobrze.

To się nie da opisać, ja tam napisałem, ale to się nie da opisać, wie Pani po tylu latach to się nie da opisać. To są straszne rzeczy, to są rzeczy że człowiek może to wytrzymać!!... Nie wiem jak ja wytrzymałem. Ja tam piszę, czemu wytrzymałem...

Pyt: A na czym polegała ta rewolucja w Dżekazganie?

Bo ludzie już mieli dość pracy. I mało jedzenia. A tam tak było. I ten kto pracował, to dostawał najmniej, a ten kto nie pracował, to dostawał najwięcej, bo on był brygadzystą, każdy brygadzysta miał 2 – 3 takich pomocników i on wszystkie procenta im pisał, i oni dostawali pod pachę cały chleb, a my 600 gram i to trzeba było pracować silnie.

Pyt: W kopalni, tak?

W kopalni czy w lesie. W lesie też ciężka praca. Walić las bez przerwy.

No i oni zrobili taki, jak się mówi u nas... *zapastowka*, nie wiem, jak się mówi...

Pyt: Strajk.

Strajk. Nie wychodzili do pracy, bramy otworzyli, wszyscy wychodzili do drugiego łagru, bo to był łagier przy łagrze i taka brama żelazna, bo w Rosji to były bramy takie drzewniane, bo tam wszystko z drzewa, a już w Dżekazganie to już było wszystko żelazne, wszystko budowane nie z cegły, tylko z kamysza. Mury były jak ten stolik, szersze. Ci chodzili po murze z karabinami. I każdy barak miał jeszcze jedno ogrodzenie. I każdy barak był zamykany na noc, zamykane wejście na kłódki.

Pyt: I kraty na oknach?

I kraty na oknach obowiązkowo, jeszcze prócz krat to były takie zastawnie, żeby nie zaglądać przez okno.

No i oni zrobili strajk: „dlaczego z rodziny nikt nie może przyjechać, dlaczego im nie płacą pieniędzy”... A wydobyć rudy miedzianej to to samo co złoto, bo tam piękna ruda, to najbogatsza ruda w Rosji. Tam jak 3–procentowa ruda, to się biło chodnik dalej, bo im się nie opłacało [wydobywać takiej rudy]. Tam ruda aż szklila, taka czerwona była. To było po prostu złoto. A oni nic nie dawali. Tylko tyle jeść. A później płacili nam, ale wie Pani jak płacili? Odbierali za bieliznę, za pranie, za wyżywienie, za noclegi, za wszystko, tak że Pani dostawała 2–3, 10 rubli, 8 rubli. Ja z kolegą to dostawaliśmy razem nieraz 10 rubli, to już było dobrze, bo kupiliśmy bańki takiego zagęszczonego mleka i machorki. No to już coś było. A tak to nic nie dostawaliśmy.

I ludzie zrobili taki strajk i nie wychodzili do pracy. Oni nas straszili, przejeżdżali naokoło samochodami pancernymi, czołgi stali pod tym, straszili – ale ludzie się nie bali: „niech strzelają, i tak takie życie, to lepiej postrzelają”... A oni codziennie chyba dzwonili do Moskwy i gadali z Moskwą tymi teleksami. I w końcu Moskwa powiedziała przez głośniki, że przyjeżdżają.

I przyjechali. Od nas wybrali 3 ludzi, wszystko po studiach takich, Ruscy, którzy dobrze umieją mówić po rusku. I przyszli wszyscy, z nimi nasze *naczelstwo* lagrowe. To powiedzieli:

– Poszcie wyjść, bo my nie będziemy rozmawiać. Bo wy pojedziecie i wtedy nam dadzą dopiero.

I to *naczelstwo* z Moskwy kazało im wyjść. I oni wyszli jak Niemcy. I dopiero zaczęli wszyscy gadać. I on nam dał słowo, żebyśmy chodzili do pracy, że to nic nie pomoże, musimy wychodzić do pracy, a wszystko to co my mówili, to wszystko oni załatwią. I tak było. Tak samo mnie wypuścili, bo ja napisał, mama pisała i ja pisał, jak Stalin umarł, pisałem takie *żałoby*, jak to się mówi nie wiem... taki pozew o rozpatrzenie mojej sprawy. I przyjechał do mnie z Moskwy, przedstawił się. Pamiętam, lewą ręką pisał, mańkut był.

– *Ja budu takoj, takoj* – zapomniałem, jak on się nazywał, Czerwanow chyba – *ja prijechał po pawodu waszej żałoby i budu działać presliedztwie...* będę robił rewizję procesu.

No i robił tę rewizję procesu prawie 2 tygodnie. Co dzień mnie wzywał, niecały dzień, dłużej, krócej – pisał, pisał, później mi to wszystko elegancko przeczytał, czy ja się zgadzam z tym.

– No tak, teraz się zgadzam.

– A dlaczego pan tak mówił na śledztwie, jak pana sądzili?

To ja mówię:

– Co ja będę panu mówił, pan wie jak było.

– *No da.*

„No jeśli to prawda, co ja mówię to w przeciągu trzech miesięcy będę na wolności. Tylko oni sprawdzą”. I sprawdzali tutaj kolegów wszystkich, z którymi ja siedział na Gestapo.

A wszystko się obruszyło na Gestapo. Bo ja siedziałem na Gestapo w 40 roku – przyszli Niemcy, aresztowali młodzież z ulicy. Ja szedłem do kina z kolegą – raz do bramy i zaprowadzili do więzienia. Tam bitka, zabili 16 chłopaków, tak bili do śmierci nieraz. No i w końcu trzymali nas, trzymali, w końcu się okazało, kto to zrobił. A to zrobiła taka młoda dziewczuszka, chyba niepełnoletnia, ta *Józia*, później ja ją spotkał...

młota kę:13 lat miała.

Z.P.: 13 czy 14 lat, i zrobiła taka młoda kobieta, żona polskiego oficera. Ta [kobieta] szyla, ona mówiła, a ona [dziewczynka] powiesiła – proporczyki białe – czerwone na Pomniku Nieznanego Żołnierza, na cmentarzu. I Niemcy myśleli, że to organizacja jakaś i zaczęli organizacji szukać. Nikt się nie przyznawał, bo to nikt z nas nie zrobił, no to co ja będę mówił, jak ja nie wiem nic, co się będę przyznawał?

W końcu oni to wyjaśnili te sprawy i mnie puścili. A jak siedział w więzieniu, to tak jak w każdym więzieniu. Ja im [Rosjanom?] to tłumaczę, że robili mnie zdjęcia, jak w więzieniu... Ale popatrz się Pani, jakie człowiek ma szczęście – jak nie ma szczęścia w życiu to do końca życia nie ma szczęścia. Nie mogło to się spalić? Ja bym był odsiedział 5 lat i bym był wyszedł. A to akuratnie opalone naokoło, papier tak opalony fest, a w środku wszystko jest i mój podpis, i moje zdjęcie. I mówi:

– To twoje zdjęcie?

– Moje.

– Twój podpis?

– Mój.

Tam było napisane na takiej karcie, większa jak ta karta podzielona na trzy, w języku ukraińskim, polskim i niemieckim, jak kto umiał czytać. Tam parę słów. Jak już wypuszczali:

– Czy widziałeś, co się działo w więzieniu? Nie powinienes mówić ludziom znajdującym się na wolności.

A tam człowiek cuda widział: jak strzelali Żydów, jednych bili, w ogóle wszystko widział. Tak i ja w domu nawet nie chciałem mówić, bo się bałem.

No i wypuścili mnie. I to zostało. Oni mnie aresztowali, dali wyrok 5 lat za nic, a później się do tego dokopali i „gdzie ja jestem” – a ja już na Sybirze – i mnie drugi raz uwięzili i znowu śledztwo. I za to mnie dali 25 lat. Za te fotografie...

Pyt: To znaczy, że co, że współpraca?...

Że „współpraca z Niemcami”. Ja mówię:

– Jaka współpraca z Niemcami, jak ja się bał Niemców jak ognia?... Jak byli *baudzińsci* [?]- ja poszedł z *baudziństwo*. Umiałem pójść z *baudziństwo*. Później poszedłem na kurs samochodowy niemiecki, żeby schwycić jakąś

pracę, bo mówili, że jak będę kursy samochodowe miał, to pracę dostanę. Mama musiała sprzedać maszynę do szycia, bo nie było pieniędzy.

Poszedłem na te kursy. Nic to nie dało. W końcu: „ja pracowałem z Niemcami”. I mówi:

– Kto siedział na Gestapo, to wszystkich postrzelali.

A ja siedział i mnie nie zastrzelili. Ze mną siedziało czterdzieści kilka osób, bo nas tyle złapali w mieście. I wszyscy żyją. I ja daję ich wszystkich nazwiska, tylko od razu zastrzegam, że gdzie oni mieszkają, to nie mogę powiedzieć, bo to była repatriacja, wyjechali, jedni poumierali, drudzy wyjechali, gdzie oni są (bo on pytał o adresy). [...]

– Niczewo, my najdziom.

I tutaj chyba dzwonił na UB. UB chyba tutaj szukało. Tego Gaudina Władka, mam tu gdzieś jego zdjęcie, pytali i tego pytali Kocyka, kolegę mego, na milicji wszystko. On mówił, jak było. No i oni dopiero mnie puścili. I takie to sprawy.

Głupia sprawa, a taki wyrok dostać... To się wierzyć nie chce. Ja jak dałem mamie te papiery wszystkie ruskie, mama poszła przerobić na polskie, to ten po prostu wyszedł i nie wierzył, że tak może być. Jak może człowiek dostać taki wielki wyrok, a później go puścić na wolność i napisać, że „bez podstawy mnie zamknęli i bez winy żadnej”. To znaczy w pełni rehabilitowali mnie.

A gdzie moje 11 lat najlepszych?... Ja miał 21 lat, jak mnie zabrali. Najlepsze lata to mi poszły, i teraz za to jestem Sybirakiem. Z początku parę razy przyszedli, później nie przychodzili, raz ja posłałem zięcia, bo trzeba było zapłacić tam, a to takie wszędzie, wie Pani, po prostu nie chce się mówić. Posłałem zięcia, to tam jakiś staruch siedzi i jemu ciężko otworzyć ten i wziąć pieniądze. To „dzisiaj nie, bo on dzisiaj już nie pracuje, to trzeba jutro, pojutrze”... To nie będą zięcia zrywał z pracy. Machnąłem ręką, mówię:

– A po co mnie to? Co mnie to daje, no co mnie to daje?

Pytam się o to, pytam się o to, jak przyszedli do mnie:

– A nic, bo teraz nie mamy pieniędzy, nic nie możemy...

To po co mnie to? Ja bez nóg jestem i kaleka i to i mnie jeszcze trzeba tam chodzić, płacić czy jak, na tyłku chodzić i płacić? Niech przyjdą, to zapłacę.

mātka: Powinni przyjść.

Z.P.: A powinni przyjść, ktoś powinien przyjść, zobaczyć raz na pół roku czy raz na rok. Nikt nie przychodzi, nikt. Tam jakieś zebranie było, gdzieś jeździli, w jakiejś kawiarni – no gdzie ja pójdę? Powinni przyjść. Zresztą byli u mnie dwa razy, kobieta i mężczyzna, widzieli, jaka sytuacja jest, że ja nie mogę. Jeżeli ja nie mogę, no to do mnie przyjść. No to widzi Pani, do mnie z Warszawy przyjechali, a tu na miejscu nie mogą przyjść. Ja już nie dzwonię...

Ja Pani powiem, że tak mówią, i ja sam już tak mówię – ja jestem strasznie przeciw komunizmowi, a teraz widzę, że było lepiej. Bo jak ja nie mógł dostać samochodu, wydzwaniałem wszędzie o samochód inwalidzki „Trabant”. Wszędzie mi odmawiali. A w końcu sobie myślę: „Kurde, to już nie mam do kogo pisać – piszę ja do Jaruzelskiego”. Ja miałem gdzieś tę kopię, nie wiem. Napisałem mu prosto z mostu: „Panie Generale, jak Pan jechał na Wschód, ja jechałem na Zachód, my się po drodze minęli. Jakie były stosunki tam w lagrach, to Pan najlepiej wie, nie będę Panu tłumaczył” (on też był w lagrach)... Napisałem wszystko dokładnie. Za tydzień mi przyszło odbierać samochód. I zaraz po odbiorze samochodu z partii przyszedł jakiś starszy fracet, taki siwy, pyta się, czy przyszło zawiadomienie. Oni chyba powiedzieli, że ja pisał do Warszawy. Ja mówię:

– Tak, już samochód stoi na podwórku.

I widzi Pani, można było wszędzie dzwonić. Teraz niech Pani dzwoni... Teraz nie ma do kogo dzwonić. Teraz to przyniósł mi kolega, może Pani dzwonić nawet do księdza, że zabrali miejsce i ksiądz mówi:

– Idź Pan do dupy.

Przepraszam za wyrażenie, tak ksiądz mówi. Do kogo będę dzwonił? Do Wałęsy? Nie ma do kogo dzwonić. Teraz co robią, to robią, niech robią, ja mówię: długie życie już mnie nie zostało, teraz już niech robią, co chcą.

Co Ruskie byli, to byli, co komuna była to była, ale wszystko dali. Samochód za pół ceny, dotacja na benzynę. Tylko przyszła nowa władza – wszystko zabrali. Ja się pytał o nowy samochód:

– Niece, my nie mamy pieniędzy, nie...

Ja mówię:

– No to czemuż zabraliście dotację?

– Nie, nawet nic teraz nie mamy.

No to po co mnie ta Solidarność, po co mi ona, do czego mi ona potrzebna? do szczęścia? Płacić co miesiąc? A idź, nie ma o czym mówić, teraz nie ma o czym mówić. Człowiek słyszy co się dzieje w świecie, co się u nas w Polsce dzieje, to jest nie dno. Mnie pisał, no nie kolega, taki niby to – z Mroczina [?] on uciekł do Niemiec. On mi pisze: „Polska to jest dno. Tam na Zachodzie to Polaków nienawidzą, bo przyjechali tam same złodzieje”. A ja mu teraz piszę: „Wiesz co Leszku, Polska to dno do kwadratu”... Polska to jest gorsza teraz jak Trzeci Świat...

żona: Nawet nie da się teraz pomyśleć, jaka jest Polska...

Z.P.: Nawet nie jesteśmy Trzeci Świat. Aż się wierzyć nie chce – człowiek tyle przeszedł, tak czekał na jakąś zmianę, a to widzi Panim zmiana jaka... Każdy się dorywa do władzy tylko, do stanowiska i do pieniędzy, i tak jak było, tak jest. Komuchy się pchali, komuniści, a teraz nasi, Solidarność. Jaka Solidarność? Człowiekowi zabierają wszystko, wszystko. Niech odbiorą życie, teraz się dostać do szpitala, to dobrze, że żona pracowała w szpitalu. To do

szpitala się nie można dostać. To kolega przyszedł, ja go znam, on zachorował na serce, dostał chyba taki lekki zawał. Żona go zawiozła do szpitalu — nie przyjmują, bo nie ma miejsca. Jak mu dała 500 tysięcy, zaraz go przyjęli. No a ja skąd dam 500 tysięcy? To jest pół miliona teraz, to jest nic, ale to są pieniądze. To cała moja renta. Ja mam renty 700 [tysięcy] z groszami. No to co ja dam, jakby nie żona, to że pracuje w szpitalu, że wszystkich zna, bo pracowała w szpitalu tyle lat na jednym stanowisku, ją wszyscy tam znają — mnie przyjęli i jakoś podleczyli. A jakby tak nie, to bym już dawno gryzł ziemię.

Taka Polska jest. Widzi Pani, co się dzieje. Ludzie popełniają samobójstwa, bo już nie da rady wytrzymać. Wie Pani, jak bym był sam, to bym to samo zrobił. To jeszcze dzięki, że żona żyje, jeszcze córka, jeszcze mam wnuczków, wnuczki takie fajne. Pani mówiła: „ja jutro przyjdę”, a tu jutro wnuczki będą, wnuczki nie dadzą pogadać, bo to takie łobuzy, jeden ma 4 lata, a wnuczka 7. Z wnuczką jeszcze można dać radę bo jej powiesz: „cicho, idź się bawić”, a tym małym to nie da rady. Dlatego ja mówię lepiej dzisiaj pogadać, bo tam dziecko będzie wlaźić, nie da pogadać.

Widzi Pani, jak jest. Tu jest na górze taka sąsiadka. Ona przyszła i mnie rugała w dzień wyborów, że ja nie poszedł na wybory: „Oj, to wybiorą komunistę”. A ja mówię:

— Nie, pani się nie boi, komunistów nie wybiorą.

I tak się stało. Nie wybrali komunistów, tylko wybrali Solidarność. A teraz ona już całkiem inaczej mówi. Ona już się kłóci z mężem, mąż jej prawdę mówił, a ona: „Nie, tylko Solidarność, Wałęsa”. Ja też myślałem, że coś z tego wyjdzie, ale od razu się kapnąłem, że coś nie tak, coś nie tak... Takie o duperełki, jak się mówi, za przeproszeniem, to oni to walcowali bez przerwy. A co trzeba walcować, to oni nic nie zrobili. Powiedz mi Pani, co oni zrobili za dwa lata? Nic, absolutnie nic, tylko gorzej i gorzej i gorzej. Tylko zmieniają się tam. Jeden złodziej się na drugiego zmienia, bo teraz jest kupa złodziei, wie Pan, ja każdemu mogę powiedzieć w oczy. O, przyszedłby do mnie minister, ja bym powiedział:

— Pan taki sam złodziej jak inny.

Tylko aby ukraść jak najwięcej. Kradną na chama. Cały bank obkradli. Kradną, uciekają, policja łapie, a oni ich puszczają, proszę Pani. To człowiek po prostu sobie nie wierzy. Ja mówię: „teraz to tylko bandziorem być”. Oni wiedzą, że żyją, bo on ukradnie miliony i może żyć, musi sobie samochód kupić, nie musi nikogo prosić. A człowiek uczciwy może sobie posiedzieć i pogadać tylko, jak jest z kim...

Pyt: Bardzo to przykre, że właśnie to dotyka takich ludzi, co tak wiele już w życiu przeszli...

To dotyka takich ludzi, a wiele nam już życia zostało? No wiele mi, jak skończyłem 69 lat 12 lutego, za rok 70 lat, a zdrowia nie ma, to wiele mi zostało jeszcze życia? Ja wiem, niech to się wali wszystko, jak by nawet bomba, to co mnie to już teraz...

Ale wszystko im. Teraz tak człowiek patrzy, jak kłamią bezczelnie. W jeden dzień mówią, że oni mają tylko 2400 [2 miliony 400 tysięcy] pensji, a 3 miliony z czymś oni mają te dodatkowe. A on zaczyna liczyć, wiele on na telefon wydaje, wiele on musi ubranie kupić, on musi to kupić. I wiecznie płaczą, że im mało. Teraz drugi mówi za parę dni, że mają ponad 5 [milionów]. Teraz mówią, że już mają 10 [milionów]. No to za 10 milionów no to on może żyć, panie, a ja za 700 tysięcy jak żyć?

Jak to w gazecie dzisiejszej jest, że będą znowu mieszkania droższe na 100 procent. My płacimy 300 tysięcy, to będzie 600 tysięcy, tylko mieszkanie. To znaczy cała moja renta pójdzie na mieszkanie. Jak bym był sam, no to co? Tylko wziąć sznurek i powiesić się. A nie ma takiego silnego, żeby wziął karabin maszynowy i poszedł tam gdzie trzeba, tak jak to robią inne kraje. I rozwalą ich tam wszystkich w łeb. Nie ma takiego chojraka.

Oni o Polakach myślą, akurat. Jak wam powiem, kto tam jest Polak, to Pani się za głowę weźmie. Tam i Ukraińcy i Żydzi są, najwięcej. Onyszkiewicz kto jest? Jego ojciec był w UNRA [?], mordował Polaków. I on dostał się do Polski i zrobił się wielki Polak. I tam jeszcze wczoraj wymieniał ich wiele Ukraińców tam. A wiele Żydów — to się już w ogóle nie mówi. A wiele takich sprzedawców, że on sam nie wie, kto on jest. Ten, który podawał w telewizji, to też z przypadku jest Polakiem i on też jest w rządzie, ten taki z brodą, w nocnym programie też prowadzi. On też był Ukraińcem. I on sam mówił kiedyś wywiad był, że on z przypadku jest Polakiem, bo on tam na Ukrainie żył, jest Ukraińcem, a tu przyjechał i się zrobił Polakiem. Z przypadku jest Polakiem.

I taki rząd ma rządzić? Oni myślą, że ludzie nie wiedzą? Ludzie wszystko wiedzą. Proszę Pani, nie takie czasy były i my wszystko wiedzieli. My słuchali radia „Wolnej Europy” w czasie Niemców, bo od nas zabrali radio. I to jeszcze trzeba było zanieść na pocztę. Moja koleżanka, młoda dziewczyna, Nina Popielówna, wszystkie zęby powybijane miała. Brat poszedł, to miał ukończone konserwatorium, poszedł do więzienia też za to słuchanie radia, to jak wyszedł — 24 lat chłopak, siwy się zrobił — i też ludzie wiedzieli... [...]

Pyt: Pan określił te lata w łagrach jako zmarnowane najlepsze lata...

Pewnie że zmarnowane. To tak jakby w więzieniu siedział 11 lat. Tylko więzienie — takie więzienie, jak człowiek ogląda na Zachodzie, to ja bym chciał w takim więzieniu siedzieć i dziś. Tam [w obozie] to robota, to jeszcze mało tego, że więzienie, żeby więzień mógł zjeść i wszystko dawali. Mogę Pani powiedzieć, że za 11 lat to tylko chyba w ostatni rok ja byłem najedzony. Ja już tak nawet myślałem, żeby najeść się do syta i umrzeć.

A w brygadzie miałem brygadzystę Polaka i to księdza, Czesław Grabski się nazywał, i to nazwisko nie zapomnę. I u niego w brygadzie jeden Polak, a cała brygada a w brygadzie 20 — 23 ludzi. A w brygadzie to wieża Babel: wszystkie narody, jakie są w Europie, wszystko było w łagrze. W mojej brygadzie ja jeden byłem Polak, a reszta byli Ukraińcy, Czerkiesi, Ormianie, Eskimosi byli, Czuczki byli...

[...]

Wszyscy wyzwalali. Niemcy wyzwolili od Ruskich, Ruskie od Polski wyzwolili, a teraz znowu wyzwolili nas od komuny Polacy. Mój zięć ma trzydzieści parę lat, córka 30 – oni też nie doczekają lepszych czasów.

Tak i z tą Solidarnością. Jak ja się ucieszył, jak ten znaczek dostałem z tym orłem w koronie, pokazywałem wszystkim. Jaka korona, jak nie ma króla, jaka ta korona? Nie ma króla, nie ma władcy, to jaka korona może być? Był król to była korona, a teraz nie ma króla, to nie powinno być korony. To jeszcze oni tam debatowali, jaka ma być korona: czy zamknięta czy otwarta?

[...]

Mnie wzięli do wojska – nie wzięli, tylko ja sam poszedłem na ochotnika, mama nawet nie wiedziała. Ja przyszedłem i mówię:

- Pakuj mnie, bo ja na ochotnika idę.
- Coś ty zwariował, wojna się kończy.
- Idę.

Zapisałem się na ochotnika. Jak poszedłem, tak na drugi dzień uciekłem. Jakem tylko zobaczył ich, jak chodzę po linijsce, bo nam kazali wziąć ze sobą kufarki i swoje podręczne rzeczy: szczoteczka do zębów i bieliznę i tam... I kto ma – białą i krótką broń. Chłopaki byli to mieli, jeden miał pistolet... I to wszystko wzięliśmy.

Rano nas wypędzają na podwórko, a my byli w tym 11 pułku, czy 6 pułku, wielkie koszary. Nas wypędzają na dwór, za chwilę my zachodzimy, a to wszystko przewracane. Swoich rzeczy nie było, wszystko przetrząsnęli. Każdy się wkurwił:

- Jak to, mówili, że wszystko możemy zabrać...

Podchodzi do mnie oficer rosyjski, już nie pamiętam, major chyba w randze majora, z takimi wylogami i tak patrzy na mnie. A ja ubrany jako oficer: w bryczesach, w butach oficerskich i w takiej czapeczce, z orzełkiem w koronie, piękna korona taka została... Podchodzi:

- *Szto eto na gaławie?*
- *Karol, polski karol.*

Wyciąga z kieszeni paczkę „Kazbeków”, takie papierosy ekstra, to palili ci wojskowi więksi. Tak to machorę palili. Wyciąga paczkę Kazbeków, myślę – chce mnie poczęstować – otwiera, a tam pełno tych blaszek, orłów.

- *Wot – pokazuje – eto snimi, a eto...*

[...]

- To wiejemy w nocy, za takie Polskę będziemy się bić?

I zwialiśmy wszyscy, wszyscy zwialiśmy. Znaczy nie wszyscy, ale ci moi kumple to wszystko zwało. Przychodzą tu do mnie, a taki osąd robią. A to dezercja, bo ja już podpisał my w szkole podpisywali, ja się sam zameldowałem, podpisał. Złapią – dezercja.

I miałem takie chody tam jednego, który pracował w NKWD kierowcą, i poszedł do tego kierownika – ten mi kazał przyjść. Ja przychodzę taki przestraszony, tak patrzę na niego:

- *Sadis, Misza.*

Mnie nikt nie wołał Zbyszek, bo Zbyszek ciężko było wypowiedzieć tylko Misza. Na Sybirze Misza i tak Misza jak poszedł, cały czas i dziewczyny – Misza. Tak jak moja siostra – Szura, bo Urszula. Każdemu dawali inne imię.

- *No szto, Misza, nawojowawsa?*

Taki wstyd i strach... A on tak popatrzył na mnie, coś napisał, zapieczętował kopertę i mówi:

- *Zaniesi w wajenkomat. A ty idi damoj.*

Idę do *wojenkomatu*: stoi żołnierz z karabinem, nie wpuszcza. [...] Czekista siedzi, przeczytał i mówi:

- *Idi, idi, bez tiebia i tak wajnu wygrajem...*

I ten już mu napisał i takem się wypętał, a jak nie – to rozwalka. A ja sam poszedł. Już mi tak było dosyć Niemców, chciałem Niemców bić. Człowiek durny, młody był – wojna się kończy, a ja chcę iść. Przeżyłeś wojnę, przeżyłeś Gestapo, siedź cicho i nie ruszaj się. Ja mówię, żeby się człowiek dwa razy urodził, ten sam rozum miał, to by inaczej myślał. [...] Człowiek ciągle myśli, myśli, i ciągle taki głupi. Rozum przychodzi za późno.

Pyt: Jak Panu zdjęli wtedy wyrok w obozie i wrócił Pan do domu, do Polski, to też musiał się Pan strasznie cieszyć z tego... bo Pan mówi, że nie...

Proszę Pani, ja cieszyłem się strasznie, tylko jednego nie mogę przeboleć – ja jechał w pociągu i spotkałem kobietę, młodą, ładną, która jechała z Dalekiego Wschodu, [...]. Jej lipne papiery wysłali, że matka chora i ona musi przyjechać natychmiast. Ona była na takim [...] północnym, tam płacili fest pieniądze. Tam co ona zarobiła w Rosji, to tam trzy razy tyle płacili. Miała całą walizkę pieniędzy.

Raz ja czyścił zęby pastą do zębów i zbrakło mnie tej pasty. I mówię jej, czy ona nie ma pasty. A ja pilnowałem jej rzeczy, jak ona spała to ja pilnowałem, jak ja spałem, to ona pilnowała. Bo w pociągach okradali złodzieje. To ona mówi:

- *Idi tam, walizki na górnych półkach, weźmi siebia.*

Ja otwieram walizki, dwie walizki takie mniejsze, a tam pełno pieniędzy. Ona mnie prosiła... W Moskwie, takie człowiek szczęście ma, ja byłem ponad tydzień. Nikt mnie nie ruszył. Chodziłem z nią po kinach, po knajpach. Tylko przyjechałem, we Lwowie na stacji, już w domu prawie, tylko przesiadka – już podeszli do mnie, ale w porządku, zasalutowali, widzieli, że ja nie stąd, ubrane po rusku, szerokie spodnie.

– Dokumenty!

Podaliśmy dokumenty. Wiedzieli, że z lagru, ja dokumentów nie miałem, tylko z lagru taką *sprawkę*. Mówię, że z lagru, puścili, zasalutowali. A ja mówię – jak w Moskwie chodził, nikt mnie nie ruszał, a w domu już... Już tak bym coś w lewo, to już by mnie wzięli z powrotem...

Takie szczęście człowiek ma – tam gdzie trzeba, tam nie ma, a tam, gdzie nie trzeba... Szczęście trzeba mieć, ja już wiem, bo grałem w totolotka. Co tygodnia 10 [kuponów]. Jeszcze nigdy nie wygrałem. Co będę grał?... Teraz takie myśli mam: „W tego totka”. Nie wysyłam, tylko tak myślę: „Czy wyjdą moje numery?”. Nigdy. Ostatnio wyszła jedna liczba, siódemka. Bo ja zawsze [stawiam] siódemki, trójki, 21, 13, i 33. Moje numery. I jeszcze nigdy nie wyszły.

Pyt: Tam niedaleko *Dżekazganu* był *Kingir*...

Ja wiem, był *Kingir*, no ja w *Kingirze* nie byłem, tylko słyszałem *Kingirze*...

Pyt: Bo tam takie niezwykle te wydarzenia były, wielkie powstanie...

Ja nie wiem, tylko teraz nie mogę powiedzieć, bo już tyle czasu – czy najprzód było w *Kingirze*, a później u nas, czy od nas poszło do *Kingiru*. Już nie mogę powiedzieć, nie będę kłamał.

Albo od nas to wyszło, albo od nich. W ogóle słyszałem, że nie tylko u nas to było, ale jeszcze tam było. Tam czołgami po ludziach jechali, tam kobiety poginęły. U nas jeszcze tego nie było, bo czołgi nie zajechały, tylko naokoło stały. Do nas przyjechali [z Moskwy – ?]. Może żeby byli nie przyjechali, to [...]. U nas jakoś to się rozeszło po kościołach.

Pyt: A u was tych trzech, którzy byli wystawieni do rozmów z komisją, to byli Rosjanie, tak? Więźniowie rosyjscy?

Tak. Oni elegancko umieli po rusku, znali te wszystkie paragrafy. Ja też po rusku dobrze rozmawiałem, ale za słaby byłem z takimi ministrami gadać. To trzeba było kogoś Ruskiego, zresztą ja Polak, a wszyscy Polaków to tam nie lubili Polaków i mówili:

– *Kak wy gawaricie, ni po czelawieczesku, kak zmije...*

Że my mówimy jak *zmije*, bo my tak przez sze, przez ce, „przy”, „przy”...

Pyt: Ale więźniowie sami?

Więźniowie tak mówili, a przewaźnie mówili ci, którzy nas pilnowali. Nie lubili Polaków, nas nazywali *faszyci*. Dla nich to wszyscy *faszyci*, nie powiedział Polak, tylko *faszysta* i koniec. Bo my jak *zmije*, nie mamy języka, tylko ich język jest ładny [?]. Zdawało im się, że *sykamy*. „*Palaki kak zmije*”...

Ja miałem takich kilku *kumpli* Ruskich. Tu pisał jeden taki *Sasza Zawiałow* [?], jego ojciec był w *Swierdłowsku* jako pierwszy sekretarz partii, wielka *szycha*. I on w wojsku [...]. I dostał 25 lat, i ojciec nie pomógł [...]. Ja się trochę nauczył od niego, a trochę od takiego *Hiszpana* z *Hiszpanii*. Ten *Hiszpan* to mnie tak wymusztrował, bo siedziałem z nim w *BUR* – ze 3 miesiące, a *BUR* to jest *Barak Usilnowo Reżima*. To jest więzienie w jeszcze jednym więzieniu. Naprzód się siedzi w karcerze, a później dostajesz 3 miesiące *BUR* – u. Nie ma o czym gadać, to wtedy się gada. I on mnie nauczył. Mówi:

– *Misza, ty chcesz żyć?...*

Ja mówię:

– Kto taki głupi, że nie chce żyć?

– To rób, tak jak ja ci powiem...

A on jak tylko posłał swego *kumpla*, takiego *sześciorka* tam nazywali, który chodził koło niego, buty mu czyścił, chodził po obiad, jak *kucharz* go nie znał, nowy *kucharz*, jak mu dał taki obiad, jak wszystkim to przychodził do kuchni, za nóż i uszy mu obcinał, innego do kotła gorącego wrzucił, wszyscy się go bali. A *malutki* taki, *malutki*, *szczuplutki*, a *dusza* nie z tej ziemi [?]. Nie chodzi o to, że *wielki*, a *głupi*. *Mały*, ale taki był. Mówi:

– *Misza, jak nie będziesz tak robić, to ty 25 lat tak zapieprzać ty nie wytrzymasz. Sam nie wytrzymasz. Rób tak jak ja.*

Pyt: On był *blatnym*? *Zaliczał się do blatnych*?

Zaliczał się, tak, jego *zaliczali*. Ten *Siergiej* też do *blatnych* się *zaliczał*, jemu *praca* to nie *pasowała*, on miał *białe rączki*. On potrafił *palec* położyć na *pieniek* jak go *wkurzył* ten, który *pilnuje* i do niego, i do niego:

– *Czewo nie rabotajesz?*

A on siedzi przy oknie. Ten jego, bez tego nie było rozmowy:

– Ty takoj *siakoj*...

A ten jemu:

– Ty takoj *siakoj* – i w końcu mówi – Co, chcesz *krwi się* mojej *napić*?...

Ciach *siekierką* i mówi:

– *Pij*.

A ten stał jak *głupi*, *automat* do *góry*: *te, te, te!* I zaraz *przyjechała biedka*, *zabrała* tego. I poszedł do *szpitalki*, tam mu *zrobili opatrunek*, już do *pracy* nie *prowadzali* go. Bo on mówi:

– Ja *sobie rękę* całą *oderzną* i *będę kaleka*. I co ty *chcesz ode* mnie? *Jak chcesz się* *krwi* *napić* to *masz*, *pij*.

Takie *ludzie* byli. *Blatnyj* nie *pracował*, *Pani*, jak by *pracował* to by go *inni* *zabili*. To jest *niepisane prawo* w *lagrach*. *Niepisane prawo*, to *jeszcze* *większe prawo* jak to, że ci *dali wyrok*.

Tam *niech Pani* *popróbuje* *kogoś* *sprzedać* – *koniec* z *Panią*. Ja *widziałem* na *swoje oczy*, jak *Tatar* *zabił* *Ruskiego*, *siekierą* jak mu *dał w łeb*, to *głowa* się *otworzyła* jak *książka*. Do mnie *podchodził* po *siekierkę*. A ja wtedy

miałem taką pracę, że ciosałem takie kołki. Bo darniami obsypywali taki dół, żeby woda lepiej ściekała. Tu linia kolejowa i taki rów. I żeby ten rów się nie napelniał, to jedni rżnęli te faszyny tak zwane, a drugi ciosał kołki i przybijał kołkami, żeby to się trzymało. To ja właśnie te kołki ciosałem. Przychodzi do mnie stary Tatar — nie w naszej brygadzie, a w innej też tam pracował... A wieczorem ja słyszę kłótnię. Kłóć się w baraku. A tam osiemdziesiąt paru ludzi było w baraku, szum jak cholera: te się kłóć, te się śmieją, te grają w karty, te grają w domino, tam gdzie wystrugali te domino. Ale słyszę kłóć się. Ja podeszłem bliżej, a ten brygadzysta w twarz tego Tatara. A ten Tatar taka siwa bródka, starszy facet. I tak patrzy na niego i mówi:

— *Ty papomnisz mnie...* ty mnie zapamiętasz, żeś Tatara uderzył.

Mnie to tak przeszło: ten go uderzył, ten mu odpowiedział, koniec.

[W pracy] kołki ciosam, on idzie, czy ja bym mu pożyczył na chwilę siekiere. Ja mówię:

— Słuchaj ja bym ci pożyczył, ale tu krzyczą 'Misza, *kołuszki, kołuszki*'... Nie zdążę, jak narąbię tych kołków, to ci dam.

I on poszedł. Kto inny mu dał. Ja słyszę za chwilę: ta, ta, ta, ta... I lecę tam — leży [brygadzysta]. A on położył się na kufajki, ogień koło niego się pali, tak ciepło: głowa porąbana na pół, jak książka, tylko mózg z krwią. Zaraz dwie *biedki* przyjechali. Jego zabrali do kostnicy, a tego [Tatara] zabrali...

Pyt.: I zabrali go z obozu? Tego Tatara?

Jego zabrali, musieli zabrać, od razu karcer, BUR a później gdzieś do drugiego lagru. Już go później nie widziałem tego Tatara. To tam zaraz zabierali, bo jak nie on zabije, to drugi zabije. Jeden za drugim, to wie Pani tak jak Żyd. A sprzedać to już było najgorsze świństwo sprzedać.

Tu mój taki znajomy dobry, ja się z nim razem chował, on też był na Sybirze — dowiedziałem się, że oni jemu rękę ucięli, on był bez ręki. On był na Sybirze też z tymi błatnymi był. Musiał kogoś... coś musiał zrobić — bo tak ręki nie ucinali za nic.

Pyt.: On był gdzieś na Północy?

Tak, to wszystko było na północy, a kto był na południu?

Pyt.: *Dżekazgan* był na przykład raczej na południu...

Na południu to byli, czytał ja w gazecie, byli za Morzem Czarnym... Ale przeważnie to na północ, wszystko na północy. No ja byłem cały czas na Dalekiej Północy. A mama była jeszcze dalej. Na *Kołymie*. A ja byłem *Irkuck*, za *Irkuckiem* jeszcze na północ.

żona: A ja byłem w *Magadanie*, na *Czukotce* tam, na złotych *pryskach*. Tam złoto płukałam. Taczki, woda...

Z.P.: Wszystko na taczkach. Kobiety pracowały jak mężczyźni. Tam nie było kobieta albo naukowiec — musiał to robić...

matka: Tylko tak: jak I kategoria zdrowia: *Kołyma*!

Z.P.: A jaka kategoria — my wyszli z BUR — u i dopiero kategoria, my trzy miesiące posiedzieli, a jedzenie mieliśmy tak jak wszyscy w lagrze. Nic nie robili, to każdy się poprawił. Ja taki jak zbój przyszedł jeszcze tutaj. Nakłóli mnie tymi igłami, bo musiałem, choć nie chciałem...

Pyt.: To tatuaż miał Pan, tak?

Tatuaż. Przychodzę taki młody, zdrowy, rozrośnięty, a to było dwóch lekarzy i jedna lekarka. I tak tylko za tyłek cię — I kategoria, koniec. Takie badanie, ani słuchawką nie posłuchała, ani się nie spytała, czy cię boli. Tylko popatrzyła i za tyłek. Jak tyłek był mięciutki to dawała drugą kategorię, a jak całkiem miękki, to trzecią kategorię.

Pyt.: A ten tatuaż to ci błatni, z którymi Pan siedział, Panu zrobili, tak?

Tak, mi Sasza zrobił.

Pyt.: To znaczyło, że przyjął Pana do swojej kompanii?

Jakby przyjął mnie do swojej kompanii. A ja:

— Umiesz rysować?

— Nie.

— No to ja ci narysuję orła.

I narysowałem takiego orła i on mnie zaczął tatuować. Później na tej ręce mówię:

— Napisz 'Sybir'.

To on napisał po rusku 'Sybir'. Ja mówię:

— Nie, pisz po polsku, ja jestem Polak, to ty po rusku, nikt nie przeczyta!

To on przerobił z tego C na S.

Pyt.: I potem jakby zachowywał się Pan tak jak błatni, tak?

Musiałem.

Pyt.: Nie pracował Pan, tak?

Musiałem, musiałem...

Pyt.: A w jaki sposób próbowano Pana zmusić do pracy?

Mnie zmuszali.

Pyt.: No, ale jak?

Jak? Wyprowadzili do lasu i zmuszali. Jak nie przychodziłem, bo nie chciałem pracować, to nie dawali chleba, nie dawali jeść. „*Parobotajesz, pokuszajesz, nie rabotajesz, nie kuszajesz*”.

Proszę Pani, tak było, że ja mało brygadiera nie zabiłem. Już taki byłem wycieńczony, że ledwie chodziłem, a

kopałem ziemię. [...] Człowiek zmęczony i głodny. Zadzwonili o taki sztaben [?], że obiad przywieźli, a ja tak się oparłem na tej łopacie i tak usnąłem. Zdrzemnąłem się normalnie. Nikt nie zauważył i poszli na obiad. A konwój liczy, czy wszyscy są, czy wszyscy przyszli. Liczą – jeden brakuje. Liczą drugi raz, może się pomylili – nie ma. Wtedy liczą *pa brygadno* tak zwane: każdego brygadiera wywołują i liczą już numery. Każden więzień ma numer... I zaraz się dowiedzieli, że mnie nie ma. I już wiedzą, który brygadzysta. Mówi:

– Idź go szukaj.

I ja tak śpię na tej łopacie i czuję, jak dostaję po plecach takim kolkiem od kilofa. Ja się zerwał. On zaczyna do mnie mówić:

– Takoj, siakoj, ty polska świnió, tyle ludzi na ciebie czeka (nas ponad 200 było w tej pracy) i wszyscy czekają na ciebie, nie mogą obiadu jeść, bo ciebie nie ma.

I mnie tym kolkiem. I tak ja wyleciał z tych wykopów i tak lecę, a on mnie bije. Ja się zmęczył od tego lecenia, a on się zmęczył od tego bicia. Wyższy o głowę ode mnie. Duży, oczy ciemne, nie Ruski. I taki łachmata czapkę miał. I ta czapka go uratowała – miał taką łachmatę, nie wiem czy to baranica była, czy co, taka łachmata czapka...

I on wyszedł. A ja przyszedł i nie mogę jeść. Nikt mnie w życiu tak nie prał. Ja przyszedł i mówię do kumpla:

– Słuchaj, ty zjedz, najwyżej jak zechcesz to chleb mój zabierzesz, a to drugie to wszystko zjedz.

– A co się stało?

– Nie chce mi się jeść.

Poszedłem na *Emcia*, tam były rozwalone samochody, takie o takie klamoty. Ja szukam w tych klamotach, nachodzę taki niecały metr łomek. Rzucam kufajkę z siebie, biorę ten łomek pod pachę i idę. Myślę: „jak on zobaczy łomek, to mi dopiero wycisk da, to chłop taki, że z nim nie ma co się brać do bójkii”... A on jeszcze ma trzech koło siebie takich chłystków. Ja wychodzę, on już wychodził z obiadu. Staję pod takim murem, bo to w marcu było, chłodno jeszcze było. W dzień to jeszcze trochę słońce, ale wieczorem to zimno było. Wychodzą, skręty robią i palą papierosy. Jeszcze papierosy można było dostać tę machorkę, najgorzej było z zapalaniem, nikt zapalków nie miał. No robili takie *katiusze* i każdy jeden od drugiego przypalał. A on tak wychodzi ze stołówki, buty wyczyszczone na glanc, lśnią i on tak po kamyczkach, po ceglach, żeby nie powalać. A ja tak za nim. On tylko się nagiął do jednego przypalić – ja ze siebie tę kufajkę i sam trzymam to żelazo w rękach i biegnę... Już karabin:

– *Stoj!* – krzyczy – *stój!*

Ja mówię:

– *Strielaj!*

– *Stoj!* Job twaju mat’!

Ja mówię:

– *Strielaj!*

A ten, który siedzi w kabinie (taka maleńka budka, on tam ma krzeselko, stół i wąskie przejście) zobaczył mnie, że biegnę z tym łomem i odryglował drzwi. Jak już tam wleciał, to nic nie zrobią. On zobaczył, że ja z łomem, mówi:

– *Bros’ łom!* – rzuć łom.

No to ja rzuciłem.

– *Ruki nazad!* – ruki dajcie do tyłu.

Już kajdanki, już skutu jestem.

– Co ty zrobił?

Mówię:

– *Brygadira ubił.*

Byłem pewny, że nie żyje. Z całej siły go... Ale już siły tej nie miałem, a jego czapka uratowała. Myślałem, że go zabiłem, później się okazało, że on żyje. Jest w Wichorowce [?] w szpitalu, sparaliżowany. Lewa czy prawa strona, już nie pamiętam. I tak mi lżej było, że nie zabiłem, i szkoda, że nie zabiłem. Takie wyrzuty sumienia do dzisiaj. To są jednak wyrzuty sumienia.

I mnie do karceru. Karcer to jest ziemianka, w ziemi taka dziupla, nary, wąska, słoma śmierdząca [?]. I mnie tam, Jeszcze mi tam szpica [?] dał, że ja poleciał. Ręce uwolnił... [albo: ręce mnie bola].

[fragment niesłyszalny; po jakimś czasie (paru dniach?) zmienił się strażnik w karcerze.] On mnie nie znał, nawet nie wiedział, że ja jestem. Zaczął kląć:

– *Job ich mat’!* Czemu oni nie powiedzieli, że ty tu siedzisz? *Niczewo [niszto] nie znał.*

On otwiera drzwi, chciał zobaczyć – może chciał kogoś puścić, może chciał sprawdzić, czy jest czysto (jak było brudno, to inni chodzili, robili porządek...). Jakiś strażnik. Przychodzi i mówi:

– *Job twaju... Szto tak waniajet? Szto ty? Otkuda ty?*

– Od soboty.

– *I nikt nie prichadił?*

– Nikt.

– *Ty nie kuszał?*

– Nie.

– *Nu charaszo.*

Otworzył drzwi... [Przyniósł mi jedzenie]. Trafiłem raz na dobrego człowieka. Poszedł na kuchnię, powiedział, że

[jestem w karcerze], kucharz dał [...] cały bochenek chleba. „Jedz!” Ja zjadł, on pali papierosy. Chce się zapalić; myślę: da mi może...

– *Naczalnik, daj pokurit’.*

[...] Ja sobie zapalił, pojadł. [Strażnik dał mi jeszcze garść machorki i parę zapalek.]

Posiedziałem parę dni, „*Sobiraj s wieszczami!*”.

[...]

– *Sadis’!*

Nie patrzą, czy śnieg, czy woda. *Staisz* – masz siadać. Siadam.

Pyt: Przed bramą jeszcze, tak?

Przed bramą. Wychodzi naczelnik z taką papką [? paczką] pełną dokumentów, bierze u tego Ruskiego – a nas przywieźli też z naszymi dokumentami wszystkimi – i wywołuje po nazwisku i imieniu, zabiera, zabiera do lagru. A ja tak – u końca, mnie nie zabiera. W końcu ten, który nas przywiózł, mówi:

– *No a togo czego nie bierzecie?*

– *A jewo nie bieru. Jewo zabiraj abratno!*

A ten mówi:

– *Wańka! Zawadi maszynu!* – do tego pomocnika mówi: Wańka, zapalaj maszynę. Słyszę: raz, raz, zapalają maszynę, pojechali. Jak pojechali, to musiał mnie zabrać.

Pyt: Nie chciał Pana przyjąć właśnie dlatego, że Pan był *blatny*? Bał się, że Pan coś...

Tak, moje dokumenty przeczytał, a ja już miałem krechę, tak jak ten powiedział „czarną krechę”, to ja miałem czerwoną krechę: „[...] *k pabiegu*”...

Pyt: „*K pabiegu*”?

Tak. My mieli uciekać i ktoś też nas kapnął. Wszystkich wzięli i przez to w BUR – ze siedzieli.

Pyt: Acha, wtedy z tym Saszko?...

Tak. No i tu nam krechę dali – no „[...] *ubit*” to normalne krechy i już. Takiego oni nie potrzebują. Oni potrzebują takiego, żeby robił, po to przyszedł do lagru. Przyszedł do lagru bez brygady, bez jedzenia, bez niczego, ani jedzenia nie dają ani chleba nie dają, nic. Ja jestem w lagrze, ale tak jakbym nie był w lagrze. No ale już wszędzie Polacy są:

– Ty się nie martw, oni cię muszą do jakiejś roboty przydzielić do jakiejś brygady, oni ci dadzą, musisz poczekać.

Ten kawałek chleba, ten zupy, ten to. Czekam. Jak oni to robili – w nocy przychodzi:

– Jest takoj takoj Pochroń Zbigniew? (oni to „Misza”) No to wstawaj, *idiom*.

– *Kuda?*

– *W upelnomocznu.*

– *Niet, nie pajdu. Kak pajdu, to utrom rano.*

I on poszedł. Że rano przyjdzie. A tam stał taki starszy celi i on mówi:

– *Maładiec.*

Bo jak bym był w nocy poszedł, to znaczy że tyś kapował, a żeś ty w nocy nie poszedł, to znaczy, że jesteś swój. I do brygady mnie dali. A do brygady mnie dali naprzód takie roboty, takie roboty...

– Tam nie pójde, tam nie pójde...

W końcu:

– Co ty będziesz robił?

Tak jak na *Dżekazganie*:

– A co ty chcesz robić?

A ja mówię tak:

– Kucharzem mogę być, piekarzem mogę być, nawet mogę [...], mogę keksy przebierać.

A on:

– *Job twoju mać, ot Polaczok! A szto budiesz rabotać?*

– Niczewo, naczalnik, u mnie krótkije ruki...

I tak mu pokazuję, jedna ręka dłuższa, druga krótsza. On tak się patrzy, czy to prawda. A ja mam dwie ręce normalne, tylko tak mu pokazuję. On tak popatrzył, czytał ten mój życiorys, to wszystko:

– *A pamocznik dziesiątnika budiesz?*

Ja tak się zastanowił, sobie myślę i tak się pytam:

– *A szto budu dziełać?*

– Budiesz pomocnikom dziesiątnika. [...] Będziesz z takim młoteczkim chodził...

Tam na jednej stronie było zero, na drugiej była jedynka, ten młotek miał dwójki i trójki, i dziesiątnik mówił:

– *Jedynka.*

To ja do tej farby i jedynka. To był taki materiał budowlany do samolotów, ani jednego sęcška nie było tam. Tam drzewa strasznie wysokie, nie mogło być, to wszystko szło na *Awio – zawod*. A drugi sort to już był tam tego, a trzeci to był na opał. A dziesiątnik miał dziesięć lat, to Żyd był, Tajmanow nazwisko. Dostał 10 lat za *pałowniu* [?] – powiedział kawał i z takimi dwoma był: Mirkos taki był więzień, też docent politechniki, dostał 10 lat za to, że powiedział kawał na Stalina. A ktoś tam dodał jeszcze do tego kawału i dostał 10 lat. Tak samo ten Tajmanow dostał,

za nic dostał 10 lat. Ale Żyd jak Żyd, miał dużą rodzinę w Moskwie, on był z Moskwy i tam wyszperali że *peresledztwo*. Pojechał na *peresledztwo*, na rewizję procesu. I ten naczelnik mnie wzywa i mówi tak:

– Tajmanow pojechał na *peresledztwo*, czy ty byś nie chciał jego zastąpić?

Pyt: Czyli dziesiątnikiem zostać?

Tak, dziesiątnikiem. Ja sobie myślę, no pójdę, to żadna robota, teraz mnie będą musieli dać *markierowczyka*, pomocnika, żeby ten [pracował], a ja będę siedział. I tak było.

Tak było, ale to się źle skończyło. Bo ja 200 ludzi wyprowadzam i wieczorem muszę tym 200 ludziom wypisać procenty i dać jeść. Ja tak dawał, dawał, aż zebrał towarzystwo i mówię:

– Słuchajcie, chłopaki, tak dłużej nie będziemy, bo wy robicie na 50, na 40 procent, a ja wam muszę pisać 101 procent (żeby dostał 650 gramów chleba)...

A on tak patrzy na mnie i mówi:

– *Misza, ty chcesz żyć?*

A ja mówię:

– Co takie głupie pytanie?

– *Piszy, job twoju mać. W Sowieckim Sojusze lesa chwatajet i lesa mnogo.*

Ja tak przyszedł do baraku i tak sobie myślę:

– On ma rację. Co ja będę ludzi głodził, a oni przyjdą i mnie w łeb dadzą i koniec.

Bo i tak było: nie chciał dać, chciał żeby robili wszyscy, to mu głowę ucięli. No ale to wszystko do końca. Przyszedł nowy rok, przyjeżdża z Irkucka *uczot* roczny sprawdzić. Przyjeżdża cała świta i ciągną mnie po lesie:

– Gdzie jest to drzewo pierwszej kategorii, tyle sągów tego, tyle sągów tego...

A tam połowy nie ma. Bo ja pisał na lewo. I wtedy zebrałi mnie i takich jak ja i wszystko pobrali. Jeszcze miałem szczęście, bo jeszcze mi nie dali wyrok, bo oni dawali wyrok. Jak Pani odsiedziała 3 lata i Pani coś zrobiła, to Pani więcej nie mogli dać jak 25, ale 3 lata Pani odsiedziała, to Pani od nowa... Tam jeden taki był, że siedział 15 lat i cały czas miał 25...

Pyt: Ale za co, za takie machlojki gospodarcze?

Za wszystko, nawet mogła Pani zabić, to też z początku – dopiero później przyszedł taki rozkaz, że już za zabójstwo to też ścinali głowę. A z początku to za zabójstwo tylko dodawali wyrok. Można zabijać, najwyżej dodadzą jeszcze trzy lata odsiedziać, pięć lat odsiedziać, osiem odsiedziać – to znowu. Tam tacy byli, że nie chcieli iść albo mówili:

– *Naczalnik, to moj dom radnoj... Dzierzy kolko, ja wiernus...*

Pyt: Co to jest kolka?

Kolka to znaczy te nary, gdzie on spał. Spał na dole, miał dobre miejsce, koło okna...

Pyt: Pan powiedział, że białni nie mogli pracować; ale jednak pewne funkcje mogli pełnić...

Funkcje jak najbardziej, funkcje tak, tylko nic rękami nie robić. Brygadzystami byli, tylko nie rękami, nic ciężko. Ciężko to robili *mużyki*. *Mużyk* nadaje się. On sienie patrzył, że ten też 20 lat ma, też jest... tylko też jemu ani nie było amnestii ani nic. Złodzieje wszystko amnestie mieli, a nam się nie należała amnestia.

Pyt: A co było z tym usiłowaniem *pobiegu*? Pan wspomniał, że BUR za to był?

No my się umówili w trzech: z takim Ruskim, *Achan* jego nazywali, bo on starszy człowiek był. On zabił z kolei swego... strzelił przez okno do swego... w kolchozie największy ten jak się nazywa?

Pyt: Przewodniczący...

Przewodniczącego kolchozu, przy kolacji. On [przewodniczący] jadł kolację, wziął do ust tę kolację i ten go przez okno, strzelił do niego. Bo on był *chodnik*, to znaczy taki myśliwy, on na zimę wyjeżdżał do lasu, znał las na wskroś. I on nas namówił, że on nas przeprowadzi do takiego *zimowia*, gdzie on zimował, strzelał zwierzyne i wyprawiał skórę, a na lato przyjeżdżał do kolchozu, to sprzedawał, za to dostawał pieniądze, worów, wszystko. I nas takich dwóch namówił. My trójka mieliśmy uciekać. Wszystko: noże sobie porobili, wszystko sobie przyszykowali w trocinach [?]. Ktoś musiał albo podglądać, albo wiedział i nas sprzedał. Noc przedtem nas wszystkich...

Pyt: I tam był ten Sasza, ten, który Pana wprowadzał?

Tak.

Pyt: Też miał uciekać, tak?

Nie, on nie miał uciekać, on za bitki był, wiecznie rozbijał się. On tam nie zabijał, ale wiecznie się bił, wiecznie taki rozkwaszony przychodził: albo komuś dołał, albo ktoś jemu dołał, ale przeważnie on dolewał... On strasznie lubiał wypić, a nie było co pić to on pił *czyfir*. Ja miałem tam takie Koreanki – tam była taka młoda Koreaneczka, ona była geologiem. Przychodziła na kopalnię brać próby miedzi. Wynosiła tą miedź i tam robili próby i ona potem mówiła, jaki procent ta ruda ma, czy dobra, czy zła. Ona codziennie była w kopalni. I ja codziennie w kopalni. I ona raz szła, a ja byłem przy sztreku, zachciało mi się – a tam gaz był, zagazowany był teren, a ja nie zauważył, tam było napisane dalej: „Uwaga, gaz”. A ja nie zauważyłem. I tak mi się jakoś słodko zrobiło i taka ławeczka była, ja siadłem na tę ławeczkę i przebudziłem się u niej na kolanach. Ja głowę trzymam u niej na kolanach, a ona mi kompres zrobiła. Ja się patrzę, takie czarne oczy jak węgiel – a ja ją znałem, ona przechodziła czasem koło mnie. Myślę sobie: „co ja tu robię u niej na kolanach?”. A ten felczer podeszedł, mówi:

– *Niczewo, niczewo, żyć budziesz, wsio dziedłane.*

Dali mnie zastrzyk. A ona szła ze sztreku i mnie zobaczyła. I sama nie mogła mnie wiaść, bo taka młoda, mała

babka — a ja kawał chłopą byłem, nie taki jak teraz — i ona poleciała do felczera i z felczerm mnie przeniosła do takiego szpitalka. To taki wydrążony chodniczek był i tam łóżko i narzędzia.

Pyt: W kopalni?

W kopalni, na dole, w podziemiu. Ona mnie tam zabrała i po prostu mi życie uratowała. Jak ona byłaby mnie nie zabrała czy poszła, to każdy by mnie zobaczył, ale mogłoby być za późno.

No i ja z nią się przyjaźnię, a ona [mowi], że ja takie oczy, ona takich oczu nie widziała i „*gołube głazy*”, i „*Misza...*” — ojej, co ja miałem... A ona czarna jak węgiel, oczy czarne jak diamenty, świecące.

I ja mówię Saszy:

— Słuchaj Sasza, ta fajna Koreaneczka, ty ją znasz...

— A co?

— Tak się do mnie przyczepiła, codziennie przychodzi, gadamy.

— Ty poproś ją, żeby ona ci *czyfiru* przyniosła.

— Wiesz, jakoś nie wypada...

Ale on mnie prosi na miłość Boga. Ja mówię:

— No dobrze, powiem.

I mówię jej, czy ona nie mogłaby przynieść. Ona od razu kapnęła, o co mi chodzi — jutro przyniesie. I na drugi dzień przyniosła 3 paczki. Ja mówię:

— Gdzie ty to schowałaś?

— W podwiązki?

— A ciebie nie obszukali?

— Szukają w torebce...

Ale osobistej nie ma, bo musiałaby być kobieta, a tu sami mężczyźni, osobistej nie robią. Ja mówię:

— No to przynieś pół litra.

I ona przyniosła mi na drugi raz pół litra — i tak nas nakryli z tym pół litrem. I ja później mówię:

— Jakby w kopalnię przyszli [inni] 10 minut później, to choć byś coś z tego miała...

A tak nic nie miała. I ją zabrali, dali do drugiej kopalni — i mnie zabrali, do BUR — u posadzili i wtedy ja z tym Saszką byłem. I tego Saszkę durnego posadzili. Nie mogli jeszcze dwa, trzy tygodnie posiedzieć, bo my sobie zrobili *mastyрки*... Wie Pani, co to jest *mastyрка*?

On miał takiego nie kumpla, tylko to był jakiś jego dalszy kuzyn, który był *nariadczykiem*. *Nariadczyk* to jest najwyższa władza między więźniami. On ma wszystko pod ręką. Z nim się bardzo liczyli nawet naczelnicy. On był *nariadczykiem*. I on mu szepnął do ucha:

— Sasza, słuchaj, takich jak ty i Misza i tam jeszcze szykują na wyjazd, do fabryki wolframu. Tam — mówi — jak pojedziesz, to już koniec. Popracujesz pół roku i inwalida.

I on [Sasza] mi to powiedział:

— Misza, musimy zrobić, żeby tu zostać.

Ja mówię:

— A co zrobić?

— *Mastyрки* zrobić.

— Jak zrobimy, z czego.

— Zrobimy takie *mastyрки*, żeby mieć z 40 stopni gorączki. Muszą nas położyć do szpitala.

Ja mówię:

— No to róbmy, ale jak?

Mówi:

— Znam takiego Kazacha, który ma taki bób, ten bób rośnie tylko raz w rok, wiosną czy jesienią, już nie pamiętam, ten bób wyrasta. Jak dasz ten bób do rany, to on podnosi gorączkę do 40 stopni. Ale trzeba sobie ranę zrobić.

Ja mówię:

— Fajno, to ranę się da zrobić.

Wziąłem gwóźdź, wytoczyłem ten gwóźdź, przypaliłem go nad ogniem do czysta i tym gwoździem sobie przekłułem rękę, o tu, jeszcze jest znak. A to była taka [spuchnięta] ręka, podnieść do góry nie mogłem... I mówimy jemu [Kazachowi]:

— No robimy *mastyрки*, no robimy... Masz czym?

— Mam.

— No to dawaj, tylko dużo nie dawaj, tak jak [...].

Dobra, uszczyptałem kawałek — wie Pani, sam sobie to jest trochę ciężko tak dziugać, jakoś nie wchodzi... Tak zamknąłem oczy: ciach! — jest. On [Sasza] na górze spał, ja na dole. Pyta się mnie:

— Misza ty *uże*?

Ja mówię:

— *Da*.

Mówi:

— *Dawaj swoju ruku, bo ja nie magu* (masz moją rękę, bo ja nie mogę)

Ja sobie myślę: „Jak sobie mogłem, to i jemu” — biorę jego rękę: chap, raaaz mu!...

— *Wsio?*

— *Wsio.*

I on pyta mnie:

— *Tiebie bieriot?*

A ja krzyczę:

— *Niczewo.*

Mówi:

— *My za mało dali.*

— *To dodamy.*

To jak sobie dodali, to za chwilę ja patrzę się na sufit, a sufit mi chodzi taką karuzelą. I mówię:

— *Sasza, mnie uże bieriot...*

— *Mnie toże. Wołaj dniewalnego.*

Dniewalny to taki stróż niby, cały czas w baraku, wody nosi... Krzyczymy:

— *Dniewalny!...*

A *dniewalny* też Tatar był, podchodzi:

— *Szto z wami?*

— *Biegnij do szpitala, my mamy gorączkę.*

Popatrzył na nas, widzi, że takie czerwone, poleciał, za chwilę przychodzi dwóch sanitariuszy, mnie na nosze, do szpitala, za chwilę jego.

— *Co wam jest?*

— *Nie znaju.*

— *Rano rano przyjdzie lekarz, to was zbada.*

Leżymy do rana. Rano ja wstaję, ręką nie mogę ruszyć. Ręka taka — jak czyraki nabierają, tak mnie tu nabrało — a tu nie mogę ruszyć, węzły chyba. Ja mówię [do Saszy]:

— *Jak tobie z ręką?*

To samo. Przychodzi lekarz — więzień: bo tam był lekarz prawdziwy, kapitan, to przychodził raz na tydzień, dwa razy w tygodniu nieraz. A był lekarz, który codziennie przychodził; ten lekarz to był Łotysz, też więzień. Przychodzi ten Łotysz:

— *Szto was bolit?*

— *No tu, tu...*

My tam gramy wariata, że „my nie wiemy”...

— *Snimitie rubaszki...*

No to ja chcę zdjąć rubaszkę, tę rękę podnoszę, a tę nie mogę podnieść. A on tak popatrzył i mówi:

— *Dawaj rubaszku, ściagniemy... i szto, mastyrka?...*

I jemu [Saszy] też mówi:

— *A ty toże mastyrka?*

A on tak mówi:

— *Job twoju mać, mać, bo gorłu zubami peregryzu (ty milcz, bo ci gardło zębami przegryze)...*

— *Niczewo, niczewo, rebiata, niczewo...*

Zabrali nas na *perewiesku* [?]. Tam siostra. On kazał przywiązać nas, nasypał jakiś proszek, bo nie było lekarstw ani zastrzyków. Nawet w więzieniu jak byłem, to tam każdy chciał zobaczyć tę Tatarkę — taka ładna Tatarczka była w więzieniu lekarzem. I jak poszli raz do niej, to przyszli na celę i „jaka piękna!”... Ładna była cholera Tatarka. Każdy chciał ją zobaczyć, choć ją zobaczyć — no to każdy szedł, bo „chory jest”. Tego boli ząb: no to mu pigułka. Tego boli gardło: no to mu ta sama pigułka. U tego gra w piersiach: to mu ta sama pigułka. Wszystko pigułka...

No a o czym ja mówił i przerwał?...

Pyt: Że mastyrka...

No i my sobie te *mastyrki*. No i nas położyli do szpitala — nam jak w sanatorium. Ściany bielutkie, łózko bielutkie, prześcieradło, kołderka, jasiczek, poduszka. Trzy razy dziennie jeść i to dobrze jeść, biały chleb dawali, i cukru codziennie łyżeczka. Dawali nam ten, co ja w domu nie chciałem pić, że mama dawała mi 10 groszy: tran. Ja się tak przyzwyczaiłem, że ja tran jadłem z chlebem. Tylko żyć nie umierać.

No ale to trzeba w głowie mieć, a jak ktoś pije wódkę, to i nie ma mowy... A on [Saszka] tylko, żeby się wyrwać do lagru, tam się nachlać wódki, przyjść i rozrabiać. No to jeszcze porozrabiał, tam go znali, że on lubi rozrabiać — a on się tam bierze za dziewczachy, i to za te wolne dziewczachy, co przyszli do mężów!... Ja mówię:

— *Sasza, daj spokój.*

A my tylko czekamy, kiedy odejdzie transport. W końcu się dowiadujemy, że transport odebrali — a on się dowiedział, to leci na *czyfir*. „Teraz mogą zamykać”... I my by jeszcze ze 2 tygodnie posiedzieli. A my tak: rana się goi, ja mówię:

— *Sasza, co robić, rana się goi. Jeszcze nas wezmą raz na *pierewieskę*, jak zobaczą, że wszystko w porządku...*

Mówi:

— *Niczewo...*

Skrobie ze ściany wapno, mówi:

– Syp!

Ja sypię. Na drugi dzień rano taka ręka czerwona!... My sobie tak dodawali. Przychodzimy na *pierewieskę*, siostra:

– No jak to, ostatni raz byli, to się tak ładnie ręka goiła?...

Mówię:

– Może jakieś zakażenie?

– No ale my nic nie mamy na zakażenie.

I znowu proszek. W końcu przyszedł lekarz, zobaczył, co się dzieje, już nic nie mówił tylko wypisał. Ja mówię:

– I czego, wariacie, wapno zdrapywać, my mogli posiedzieć...

A on mówi:

– Dobrze, że etap poszedł...

I tak człowiek kombinował na wszystkie sposoby, żeby jakoś wyżyć. Bo jakby tak robił, jak robił, to bym nie wytrzymał 11 lat. Człowiek już nie mógł chodzić potem – chodził, a wiatr nim kołysał. To co to za życie? A robić trzeba, oni się nie patrzą, że człowiek nie może – norma jest i musisz robić. Nie ma normy, to ci dadzą 400 gramów chleba i dwa razy zupę i koniec.

I *kipiatok, czaj*... U nich się nie mówiło, nawet na zsyłce nikt nie mówił „herbata” – *czaj, z małakom jeszcze, z mlekiem*. Tyle wody i łyżka mleka. To był *czaj*. I bez cukru.

Pyt: A Pan pił *czyfir*?

Piłem, próbowałem.

Pyt: Jakie to jest wrażenie?

To jest jak dobry spirytus. Po ćwiartce to już jesteś całkiem... Ale serce strasznie wali, oczy czerwone – ja patrzyłem na niego [Saszę]: onjak głupek, oczy czerwone jak u zająca. Sam czerwony, oczy czerwone, to to długo nie popijesz. Tak jakby spirytus kto pił, albo denaturat. Ja raz popróbowował trochę i mówię „dziękuję”, a byli tacy, którzy brali „na *wtorniaczok*”:

– Daj mnie, jeszcze sobie drugi raz doleję i sobie wypiję...

To jest najmocniejsze pierwszy raz. 50 gramów herbaty na szklanke, to może Pani wiedzieć, jaka herbata.

Pyt: I to się gotuje?

To się gotuje. To się nie tyle gotuje, co się zaparza. I to stoi trochu, później taka esencja.

Pyt: A ta *mastyрка* to w *Dżekazganie* była?

To był *Dżekazgan*.

Pyt: A ta próba ucieczki?

A to był w tym w *Tajszecie*, *irkucka obłast*.

Pyt: I tam tego brygadzystę uderzył Pan, próbował Pan zabić, tak?

Tak, tak. Nie, to było nie w *Tajszecie*, tylko to było w *Omsku*. Na tej robocie przy dołach. My kopali doły i zasypywali później cementem. W zimie 55 stopni mrozu – tam się cement zasypuje. Pani sobie wyobraża, jak to na wiosnę wyglądało? Jak ta budowa później wyglądała? Na ponad 50 – stopniowym mrozie zasypywać cement. Deskami nakrywali, ale to co to dało, przy takim mrozie nie wolno cementu – pęka później... Ale oni tak robili.

Pyt: Ale jakoś trzeba to było potem poprawiać, czy nie zwracali na to uwagi?

Nic nie trzeba było poprawiać. Później to już zaschło, na to kładli mury i tak fabryka stała. Jak tam ona stoi, to nie wiem, ale tak budowali. A po drugiej stronie ulicy to kobiety pracowali. Fińskie domki robili. Rano Pani idzie: kupa drzewa, poskładanego, ponumerowanego. W wieczór Pani wraca: już dom stoi. Za dwa dni już wykończony. A za dwa dni to przysyłali takie młode dziewczyny fajne i oni włożyli na strych i zasypywali szutrem, żeby ciepło było. A te zobaczyli, że my w pracy – wychodzili [kobiety] do okienka takiego na strychu, zdejmowali wszystko ze siebie i bili się i mówili:

– *Ej, malczyki, tawar prapadajut!* (chłopcy, towar przepada)

Pyt: One wolne były?

Nie, też więźniarki. A te chodzili wściekle. Ale fajne babki, bo tam same młode, bo takich starych to nie posyłali. Tam cuda się działy. A co się działo w *Tajszecie* w przesyłce, w *bani*? Tam wpadali te *blatne* do *bani* i koniec – nie było baby, żeby... Jak chcieli – koniec. Tam przed etapem to rozwalili cały piec i wleźli do babskiego baraku i całą noc byli w baraku. A później nas odłączyli. Kobiety strajk robili. Kobiety strajk robili. No bo to już nie było do wytrzymania – każda kobieta w ciąży. A jak w ciąży trzy miesiące nie pracuje. A później dziecko [rodzi], to też parę miesięcy nie pracuje, później to dziecko zabierają. [...]

Korytarz taki, z jednej strony korytarza kobiety, z drugiej mężczyźni...

Pyt: W *Suzumi*, tak? Jaki jest rejon?

Nie w *Suzumi* to było – *Czarnogorsk*, pierwszy.

I tam w *Suzumi* spotkałem – takie dziewczyny, z którymi byłem, kuzynki dwie – z ich matką się spotkałem w *Suzumi*, z matką i ojczymem. A jak jechałem, oni [dziewczyny – kuzynki] pytali się, gdzie ja będę:

– Oj, to dobrze, bo ja tam mam matkę.

Dała mi adres, poszedłem – w *Nagornym* mieszkała, starsza pani. A już razem byliśmy. Raz śpię, przebudzam się, tak ładnie pachnie, otwieram oczy – taka miska stoi i nakryta talerzem. Patrę się, a to kasza gryczana ze słoniną,

cieplutka. Ona dostawała paczki i mnie chciała poczęstować, a nie mogła mnie tak dać, bo wie, że ja nie wezmę, to przyniosła i położyła. A ja wiedziałem i potem ją pytam:

– To ty, Kasia, przyniosła?

– Nie. To Ina przyniosła...

Ta Zina, ta Ina. I to Ina przyniosła. Ja pytam tą Inę:

– Ina to ty przyniosłaś?

– Nie, to Zina przyniosła.

Więc ja:

– No czego kłamiecie? Przynieśliście, to przynieśliście, ja wam bardzo dziękuję, ale nie przynioscie mi.

To jakoś tak krępowało. Człowiek głodny był, ale krępowało człowieka. Później ona wyszła w łagrze za męża, tam w Czarnogorsku. A ja z kolei spotkałem drugą żonę tego, za którego ona za męża wyszła. Taka Luba Zubakowa, też taka ładna dziewczyna była.

Pyt: W innym obozie Pan spotkał?

Nie w obozie, na zsyłce. A ta [Luba Zubakowa] też była tam, gdzie ja byłem, i ten jej mąż był, bo tam mężczyźni z kobietami. I ona wyszła za męża. Ale jak wyszła za męża, jak on był żonaty?

Pyt: Polityczni na początku byli razem z kryminalnymi, prawda?

Do końca. Do końca – nie było tak, żeby [oddzielnie]: i w więzieniu razem, nawet w więzieniu w Nowosybirsku, w tym, gdzie dostałem taki wyrok, w pojedynce siedziałem, najprzód jeden siedziałem, to myślałem, że zwiariuję... Prawie 3 tygodnie siedziałem jeden, jak palec. A później siedziałem z takim bandytą, on mi wszystko powiedział. Zabił męża i żonę, zarznął nożem, normalnie, jak świniaka, i zabrał pieniądze. Jakoś szukał te pieniądze, nie wiem. Wiedział, bo już mu w więzieniu ktoś powiedział, że oni mają dużo pieniędzy, nie mają dzieci. On wszystko to dokładnie powiedział. Ja się bał później spać z nim, bo mnie, myślę, zarznąć. Ale co on mnie może zarznąć, jak ja nic nie mam?... Ale tak nieraz myślałem, to jak on taki bandziora, to mnie może zarznąć. A fajny chłopak był i ładny na twarzy. Młody chłopak, taki mój wiek, może rok starszy ode mnie. Dymidow się nazywał. On dostał 20 lat. On razem na sprawie był. Razem skuty. Nas wyprowadzili z więzienia – i też nie wszystkich, tylko chodzi taki jeden, taka gęba kwadratowa, jakiś *nasmieni*, Ruski, przygląda się:

– Wychadi... – na mnie – Wychadi.

I na tego Pietkę [Dymidowa]:

– Wychadi...

Pyt: A Ukraińców jak Pan wspomina?

Ukraińców, co ja mogę ich wspominać? Ja byłem z Ukraińcami, z banderowcami. Później jak przyjechałem do domu, to ich spotykałem na ulicy.

Pyt: Tak? Z łagru?

Spotkałem jednego, z którym byłem w łagrze, ale on był przede mną i on już odsiedział chyba, bo miał 5 lat. Odsiedział, ja przyjeżdżam do Stanisławowa, jego na ulicy Sobieskiego spotykam.

– Fiedia!...

On patrzy się:

– Misza! A co ty tu robisz?

On z jakiejś wioski przyjechał coś kupić. Gdzieś tu jest na zdjęciu. To był taki pierwszy brygadzysty pomocnik. [patrz zdjęcia] Tu on jest. Tu jest kierownik, też Ukrainiec, wolny. Fiedia to jego pomocnik, prawa ręka. Tu mnie nie ma, bo wtedy byłem na innej zmianie.

Pyt: To jest brygada jedna?

Cała brygada. Tu jest paru Polaków, ale nie ma dużo. Tu Wojtek jest, mój kumpel, jeszcze paru Polaków. A to wszystko *nasmieni*, wszystko z Kaukazu. Nawet widać po twarzy.

Pyt: A czy w Dżekazganie zdarzały się zabójstwa donosicieli?

Tak.

Pyt: Wszędzie, we wszystkich obozach?

Wszędzie. Ja już byłem w takim obozie, gdzie dwóch przyszło i dwóch stało w sieniach. I mu od razu... Jak ktoś się podniósł – bo to przecież dwie zmiany, niektórzy byli na zmianie, a niektórzy byli w baraku, odpoczywali – i przyszli, od razu:

– Mużyki, łóżys!...

Kto siedział czy stał, musiał się kłaść.

– Adwiernis!... Odwrócić się i kłaść się!

I ja tak okiem tego i patrzę: zarzucili mu na szyję ręcznik i trzyma, trzyma, trzyma – i koniec. I wyszli. Teraz przychodzą i wyzywają wszystkich, którzy byli w baraku, i pytają, kto. Nikt nic nie wie. „Nam kazali się obrócić, a kto był zamaskowany, no to nie wiemy, nie wiedzieliśmy dokładnie kto”...

Pyt: Nie pamięta Pan, gdzie to było? W którym obozie?

To było w obozie, w Irkucku jak byłem, w którymś obozie. Nie pamiętam, to trzeba numerację tych obozów pamiętać, gdzie ja pamiętam... To co pamiętam to mówię, co nie pamiętam, to nie będę kłamać.

To już było [patrz zdjęcia] po tej rewolucji, to nam zrobili zdjęcia, nam gitary dali, [...] dali, fotografa dali.

Przysłałem do domu. Mamy nie było jeszcze, przysłałem mamie taki portrecik ołówkiem zrobiony, mnie jeden zrobił. Tylko gdzieś, a to warto byłoby przetrzymać, bo to pamiątka. Tak rysował, że narysował mnie tak, jak na zdjęciach.

Pyt.: A czy błatni się jakoś, na przykład strojem, różnili od *muzyków*?

Tak, proszę Pani. Oni chodzili w szerokich spodniach, to u nich moda była. Z dwóch spodni robili jedne, szerokie. Każdy był porządnie ubrany, lepiej w każdym razie. Buty miał takie wyczyszczone, że można się było przegłądać w nich.

Pyt.: Znaczą skórzane buty?

Skórzane. Oni tych kierzowych nie nosili. Oni już z więzienia przyjeżdżali w skórzanych, bo tam zdejmowali buty z nas. Nasz etap jak przywieźli do Kijowa, to pół etapu rozebrali. W nocy rozebrali, rano szum się zrobił, naczelnik przyszedł, tam ludzie zaczęli się żalić – wyrzucili nas wszystkich na korytarz i robili rewizję, i ani nawet chusteczki do nosa nie znaleźli. Okazało się, że oni w nocy to wszystko tymi kofmami na drugie piętro, tam pukali po ścianach, oni znali to pukanie, ten mors nie mors, inaczej oni pukali – i oni tam się dogadali z górą, przysłali im takiego konia, haczyk i to wszystko było wciągnięte na górę. A później tylko im nosili papierosy, jedzenie, wszystko. Oni żyli nawet w więzieniu jak królowie, tylko w karty grali. Jeden siedzi goły prawie, w kalesonach, a u drugiego kupa ciuchów. To co z tymi ciuchami robić? Dobrze ciuchy, sprzedawali. A kto sprzedawał? Wolny sprzedawał, on też coś z tego miał. I te ciuchy przyniósł, przypuścmy, jak rozebrali kogoś, miał porządne futerko czy porządny garnitur, czy marynarkę – to przyniósł pół bochenka chleba i paczkę machorki i koniec. A on za to wziął pieniądze. A co im zabierzemy?

Pyt.: A można było w karty przegrać na przykład palec?

Nie, o to nie grali, to ktoś mówił głupoty. Przegrywali w karty na rzeczy – palec, co im z palca? Przegrywali tylko rzeczy. Karty sami robili. Sam widział i sam grałem w te karty. Ja nie grałem, ale czasem zagrałem. Karty robili z gazety: gazeta do gazety i takim klejem, z chleba robiliśmy klej, jak skleili, to taka była karta. Ładna. To wszystko robili ekstra, nie robili byle jak – ekstra robili. Kolory podrabiali, czarne to czarne było, a czerwone to taki żółty – czerwony... A jak robili [tatuaze]... Jeden to miał order Lenina na piersiach. To ciężko zrobić, bo za wielki [...]. Dobrze się [trzeba było] patrzeć, że to nie prawdziwy. Byli artyści w tej sprawie. Ten Sasza to bazgrał, ale robili niektórzy rzeczy... Tu nawet w gazecie jest, jak to opowiadam. Robili myszki i kotka na dwóch pośladek. Ja to widział na swoje oczy, jak wkłuwali, ja się lubiłem patrzeć. Jak robi krok, to myszka się chowa, a kotek wystawia łapki. Robi drugi krok, to myszka wychodzi i kotek cofa łapki. Takie rzeczy robili. Japończycy to robili.

Ja z Japończykami byłem więcej jak pół roku, też w Irkucku – sami oficerowie japońscy. Umierali jak muchy. Im to jedzenie nie pasowało. W końcu jakoś Moskwa na to zareagowała, musiał ktoś pisać albo co, bo strasznie umierali, od tego chleba i od tego jedzenia. W końcu im dawali już *suchyj pajok* tak zwany. Mąki im dawali, kaszy i sami sobie robili. To wszystko przyzwyczajone do ryżu, na takich lekkich jedzeniach, a tu im... A przez to, że on był taki nienajedzony strasznie, przez to poszedł na tamten świat. Mnie dawał tę zupę, ja też głodny był. Bo on w łagrze nie pracował, bo on miał ukończone konserwatorium muzyczne, grał na fortepianie i jego widzieli po tych dokumentach i on pisał „muzyk”. Jego zostawiali w zonie. Jak go zostawili w zonie, jak on szedł na obiad to już mu kucharz dawał tyle, ile on chciał. Akurat była ta [...], te flaczki – i jemu całą michę dali, najadł się i taki baniaczek mnie zostawił, położył na kuchni. On to dostał o 12 – 13 godzinie, a ja przyszedłem dopiero w nocy. I on taki ucieszony mówi:

– Zbyszek, mam dla ciebie flaczki. Będziesz jadł?

Ja mówię:

– Pewnie, głodny jestem.

Zjadłem tę kolację, ale zawsze człowiek głodny był. Biorę te flaczki, wyciągam łyżkę – a oni tak śmierzdzą. Już były przykiśnięte, za dużo na tej kuchni stali. Ja mówię:

– Wiesz co Stasiu, ja nie będę tego jadł.

– To dawaj, ja zjem.

I jemu oddałem. Za parę godzin słyszę:

– Zbyszek, Zbyszek.

– Co ci jest?

– Strasznie mnie boli – mówi – idź do tego...

– Gdzie teraz pójde, jak to barak zamknięty. Musisz ścierpieć do rana.

O szóstej dopiero otwierają barak. On jęczy. W końcu ja już do tego baraku stukam, pukam – widzę, po podwórku chodzą, no nikt nie otworzy baraku, musi mieć klucz. Musi ten *nadziratel* otworzyć. W końcu idzie. Ja mówię, że tu chory. To on poleciał, przyszli z noszami. Jak go zobaczyli, miał straszną gorączkę, zabrali go do szpitala. Ja na śniadanie i do pracy. Z pracy wychodzę i ta zmiana, która mnie mija:

– Staszek Chudzikiewicz nie żyje.

Ja mówię:

– Jak nie żyje, głupstwa gada, dopiero ja go zawiózł rano.

Przychodzę po pracy i w te szpitalne okno zaglądam – a tam pościel czysta, nikogo nie ma. Siostra wychodzi, ja mówię:

– Siostra, tu takoj leżał...

– No on pomierł.

– A można go uwidit?

– Niet.

Później spotykam jego matkę – to samo pyta. To wieczne pytanie. Ja mówię:

– Ja to już Pani opowiadałem, tak jak było.

Bo jej się śniło w ten dzień – czy to były święta, czy coś takiego, ona mi opowiadała – że Staszek ją woła. A ja się pytam tę siostrę [w łagrze]:

– Czy on coś mówił?

– Nie nic nie mówił, tylko mamę wołał.

I wtedy jej się śniło, że on woła ją. I ona się przebudziła. Tak mi opowiadała, ja wiem, czy to prawda? Ale tak mi opowiadała później. I to tak pasowało – on też jakoś wiosną, chyba na Wielkanocne Święta, pierwszy czy drugi dzień Świąt, nie pamiętam. I koniec. Nie było ratunku dla niego. Może gdyby byli od razu jakieś płukanie – a kto tam, jak on całą noc do rana leżał... Zatrzał się na śmierć chłopak. Młody chłopak był, 2 lata starszy ode mnie. Miał 20 albo 21 [rok życia]. Już miał ukończone konserwatorium, to musiał być starszy ode mnie.

Pyt: Ci Japończycy w Irkucku, co robili tatuaze dobre, oni byli też błatnymi, czy tylko po prostu potrafili to robić?

Oni potrafili. Oni potrafili dużo rzeczy. Oni za to żyli. Pięknie masaze robili. Te *błatnyje* wszystkie masaze u nich robili. Oni masowali – mówił ten, który masował się, że on się czuje, jakby 10 kilo z niego ściągnęli. Oni za to chleb dostawali, tytoń, inne rzeczy. Każdy znał język. Ten ze Lwowa to znał francuski, to my go prosili:

– Pogadaj z nimi, czemu oni takie okulary mają?

On się ich pytał. Każdy umiał po francusku, a jak nie po francusku, to po angielsku – tylko ruskiego nie znali. A ruski to wszyscy musieli znać. Więc oni co – tam był taki jeden, co nie umiał „idź spać”. On nie umiał tego powiedzieć. Albo „wstawać”, on nie umiał powiedzieć „wstawać”, tylko cały czas „kanczaj noczować”. Ale musiało się dogadać. I po rusku każdy musiał umieć.

Pyt: To był taki język panujący w obozie?

Panujący, no jak wszystko – co, Ruski znał języki? A musiał z nim coś dogadać się. Niemcy byli, Niemców dużo było.

Pyt: Ale ci Niemcy z wojny, czy ci nadwołańscy?

I ci, i ci, co na wojnie byli tak. Jeden Niemiec to tak pięknie robił szachy, później za to żył i nasza cela żyła. On tak robił szachy z chleba.

Pyt: Też w Irkucku?

Tak, znaczy nie w łagrach, a w więzieniu. Naczelnikowi robił, naczelnik jak komuś pokazał, to każdy mu dawał i chleba i białego i czarnego, i wszystko mu dawał, żeby tylko robił mu te szachy. Za to nasza cela cały czas miała dolewki. Jak dostawała zupe, to tylko pod naszą celę jechały, my wszyscy dostawaliśmy jeszcze raz zupe, póki on tam siedział. Taki wysoki, Niemiec ale też po rusku nie umiał, tylko po niemiecku, nic po rusku, tylko tyle, co parę słów. Ale dogadał się. Rozmaici ludzie siedzieli.

Pyt: A ci Japończycy, oni się trzymali zawsze razem?...

Oni się trzymali razem, mieli osobny barak, wszystko osobno mieli. Wszystko w swoich mundurach, piękne mundury mieli, tak jak u nas za Polski, to sukno takie.. Ja miałem tylko czapkę – szedłem na etap i byłem bez czapki, i ktoś mi przez okienko wrzucił czapkę. Ja do dzisiaj nie wiem kto; japońska czapka. W tej czapce ja spał, futrem podbita lisem we środku, klapki na uszy miała z guziczkami, mięciutka, ciepłutka. Jak ubrał na głowę, zapiął się, to ciepło, jakby poduszkę miał. A kto mi rzucił, to nie wiem.

Pyt: A dokąd wtedy Pan na etap szedł?

Z etapu na etap, do drugiego lagru. I ktoś zauważył, że nie mam czapki i rzucił przez te drzwi więźniarki. Bo tam rozmaicie było, jechaliśmy i taki krowimi więźniarkami, i tymi stołypińskimi, takie jak Pulmany – ale tam znowu jak śledzie w becze. Ani ubikacji, ani nic. Po 16 osób w jednym przedziale, i spać trzeba i wszystko. To się jechało nie jeden dzień, jechało się z Kijowa do Czarnogorska ponad 2 tygodnie. Tajga, tajga, później wyjeżdża Pani z tajgi i jedzie Pani step, step, dzień i noc step. A później przystanki, bo to jeszcze szli wojska, jeszcze szli amerykańskie samoloty poskładane na [...], a my czekaliśmy na bocznicy. To się jechało i jechało. Żeby teraz tak jechać, to kupę pieniędzy trzeba by mieć – a tak jechał za darmo.

Najgorzej to, że jeść *suchoj pajok*, i mało wody. Dali śledzie, dali takie suchary twarde... Dla mnie to śledź był, sucha ryba, jak patyk. Tam dobrej ryby nie mają. Ja tylko raz jadł dobre ryby, to do dzisiaj pamiętam. Pani też nie jadła i nikt nie jadł i nikt nie będzie ją jadł – ona tylko żyje w Bajkale. Już Amerykanie próbowali wyhodować – omul. Żadnej ryby takiej nie jadłem. I już nie był taki bardzo świeży. Jak nam już dawali czasem takie coś lepszego, to już takie było [nieświeże], świeże to wszystko dla wojska. Nam to albo nieświeże, albo zamrożone. W zimie nam kartofle przywozili, to rozbijali żaganami. To się sypało jak kamienie. Co takie kartofle warte? Później gotowali to czarne, miękkie, kapusta to samo, marchewka to samo. Wszystko zamrożone, nic nie było świeżego, prawie nic. W lecie by przywieźli i poskładali jakoś w piwnicy – a tam zimą przywozili.

Nikomu nie życzę tego „dobra”...

* * *

koniec

spisał Tomasz Głęb